

MOC CZYTANIA | Rosiak: sądne dni Gazy ■ W co wierzą Terlikowski i Stawiszyński
Ten swojski Duda ■ Juliusz Verne na nowe czasy ■ Dlaczego z kina zniknął seks

Kraków 6 – 12 sierpnia 2025 nr 32 (3970)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

KOLEJ NA NOWO ŁĄCZY
POLSKĘ. CZY NADAŻY
ZA NASZYMI
POTRZEBAMI?

Znów kochamy pociągi

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



7700414808505



GDAŃSKA



KOLEKCJA



WSPÓŁCZESNEJ



GDAŃSK

GDAŃSKA
KOLEKCJA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ

To istniejący od 2017 roku program, dzięki któremu Miasto Gdańsk gromadzi sztukę dziejącą się teraz, tworzy z niej kolekcję i zachowuje ją dla przyszłych pokoleń. Partnerem działania jest Muzeum Narodowe w Gdańsku. Każdego roku możesz zgłosić swoją propozycję.

KS. ADAM

Boniecki: Czas na przyszłość

ROZMOWA ARTURA SPORNIKA Z TOMASZEM TERLIKOWSKIM i Tomaszem Stawiszyńskim „Kościół pod turbo-papieżem”, którą właśnie publikujemy, głęboko poruszy wierzących i tych, którzy z uwagą patrzą na katolicyzm. Terlikowski, który – wydaje się – przeszedł już tyle faz „bycia katolikiem w Polsce” (piszę o tym bez cienia ironii), pytany o przyszłość Kościoła, odpowiada szczerze: „nie jestem prorokiem i tego nie wiem”. Też tak myślę, już niejeden raz tak wiele się przecież zmieniło w Kościele, a i on sam zmieniał się, niemal nie do poznania.

Nasz stosunek do Kościoła jest raczej obyczajowy niż rozumny i krytyczny. Odwracamy się od niego, twierdząc, że swoje sprawy z Bogiem załatwiać będziemy sami na swój sposób. Faktem jest, że przez wieki Kościół wprowadził wiele praw i zasad, by zaaplikować jakąś swoją interpretację myśli Boga. Dziś (nie tylko zresztą dziś, bo i w historii) wiele z tych interpretacji unieważniło się albo uległo zmianie. W końcu człowiek poznaje swoją naturę, może staje się coraz bogatszy w wiedzę, co zresztą wcale nie znaczy, że jest mądrzejszy. W każdym razie tej mądrości oczekuje od Kościoła, który w ciągu wieków dał jej dowody. Choć nie zawsze i nie natychmiast.

W moim życiu przeżyłem wiele takich zmian, przeżywalimy je wszyscy, nie tylko ja, nie będę ich tu szczegółowo opisywał. Wspomnę tylko jako przykład przepisy o poście eucharystycznym, czy o przyczynach uznania małżeństwa za nieważne. W ciągu stuleci takich zmian było nieskończenie więcej. Dziś, jak się wydaje, Kościół stoi wobec konieczności kolejnej rewizji, czym jest i jak ma służyć ludziom do zbawienia, jak spełniać misję Chrystusa.

Chrześcijaństwa bez krzyża nie ma. Żadne chwytły retoryczne nie mogą tego skreślić. „Niech weźmie swój krzyż” – mówi Jezus

i taka jest droga chrześcijańska. Jaki krzyż, kiedy go wziąć – o to już Pan Bóg się zatroszczy. Oczywiście nie jest dobrze, jeśli produkcją naszych krzyży zajmują się nasi bliźni, choć tak niestety często bywa.

Rozmowa w „Tygodniku” kończy się konkluzją autora książki „Reformacja 2.0”, że „pewien model kościelności, myślenia teologicznego i władzy wyczerpał się”. Mogę spokojnie powiedzieć, że i ja nie jestem niczego w tej sprawie pewien i nie wiem więcej, niż wiem. Historia nie ma w zwyczaju się powtarzać, parodii w ostatnich czasach mieliśmy już dość. Pomyślmy o tym na serio: reformy zaczynały się zwykle w jakimś środowisku, zakonnym lub innym *stricto* kościelnym. Zwykle spotykały się z przeciwnym tych, którzy obawiali się jakiegokolwiek zmiany. Stopniowo jednak zmiany wchodziły w życie, jedne łatwo, inne z wielkim mozołem. Jestem pewien, że taki proces już ma miejsce, choć nie ośmieliłbym się powiedzieć, gdzie i jak się dokonuje. Decyzje papieża od Jana XXIII, w różny – pewnie właściwy epoce i papieżstwu – sposób, w tym partycypowały. Konieczne – tak, bez wątplenia konieczne – zmiany następują i będą następowały. Z poplątania języków rodzi się nowy język Kościoła. Ale też proces ów będzie trwał i będzie wiele kosztował ludzi dobrych intencji i dobrej woli. Dla mnie niezwykłym znakiem czasu są wybory ostatnich papieży. I ich odwaga we wprowadzaniu zmian, połączona z powściągliwością. To jest niezwykle i widać w tym logikę Bożą.

Rady? Mogę dać tylko jedną radę: przyrzycmy się uczciwie własnej wierze i w obliczu Boga (jeśli trzeba), z Ewangelią w rękę (mówię to z lękiem) skorygujmy ją. Chrystus jest naprawdę blisko. ©

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.



GRAŻYNA MAKARA

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MATKA BOSKA POLKA

Monika Białkowska na 15 sierpnia o szczególnej protekcji Maryi nad Polakami oraz innych narodowych mitach.

UWAŻAM, ŻE TO NIESŁUSZNE

Gwendoline Riley, brytyjska pisarka, o modzie na terapeutyzowanie w literaturze i zrzucaniu całej winy za błędy własnego życia na matki.

TERAPIA DLA NARODU

Zofia Miłska-Wrzościńska o zdrowiu psychicznym i psychoedukacji Polaków, a także sporach wokół ustawy o zawodzie psychologa i psychoterapeuty.

Wertując kalendarz z ubiegłego roku, podliczyłam swoje podróże koleją: było ich 94. Łącznie 22 tys. kilometrów przejechanych pociągami. Żadnych znaczących opóźnień, przesiadki zgodnie z planem. Dworce kolejowe, te małe i urokliwe, jak w Szczecinku, te działające coraz rzadziej, jak w Starym Łupkowie, i te nowe czy odnowione, dostosowane wreszcie do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Za to w kilka miejsc nie udało się zaplanować podróży pociągiem wcale.

W podróż po Polsce widzianej z okna pociągu zabiera nas w tym numerze **MARCIN ŻYŁA**. „Pociągi zmieniły się jak nasz styl życia. Są szybkie, wożą nas do pracy o różnych porach, a w wagonach bezprzedziałowych nie trzeba patrzeć obcy w oczy” – pisze.

W maju tego roku Polacy wsiedli do pociągów 37,7 mln razy. „Jaką Polskę widać z lokomotywy?” – pyta Marcin Żyła **URSZULĘ CALIK**, maszynistkę w PKP Intercity. „Bardzo zieloną. W końcu tory prowadzą najczęściej przez lasy i pola” – odpowiada.

W 2000 r. kolej zrezygnowała z połączeń na ponad tysiącu kilometrach tras, co przelożyło się na komunikacyjne wykluczenie setek tysięcy Polaków. I choć proces ten powoli się odwraca, jego skutki odczuwamy do dziś.

„Wojna w Ukrainie pokazała, jak ważnym elementem systemu obrony państwa jest kolej – i to jeszcze jeden, rzadko dyskutowany kontekst zmian na naszych torach” – odpowiada Żyła.

Pociągi nam towarzyszą. O tym, że są tłem intymnych historii i historycznych wydarzeń, przekonał nas w ubiegłym roku Maciej Drygas w filmie „Pociągi”, do którego wrócimy w jednym z najbliższych wydań.



A w tym numerze w podróż zabierają nas także **MONIKA OCHĘDOWSKA** – z Juliuszem Verne’em w głąb oceanów, tam, gdzie nie dociera już światło. I **MONIKA BIAŁKOWSKA**, która organizuje pielgrzymkę z „obrzeży Kościoła” na Jasną Górę. Zaproszeni są wszyscy „zgorszzeni – odepchnięci – fałszywie oskarżeni – zranieni – zniechęceni – wszyscy ci, którzy zaczęli wątpić, czy rzeczywiście Kościół jest jeszcze naszym miejscem”. ©P

ANNA GOC,
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu”, „Głuszy”, za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij”.



18 Prezydent prezesa, prezydent Polaków JACEK K. SOKOŁOWSKI

Uczynny, pobożny chłopak, łapiący porwaną przez wiatr hostię: oto nowa odsłona nieodzownej w naszym modelu prezydentury swojskości. Większość Polaków po prostu lubiła Duda.



30 Kościół pod turbopapieżem ROZMOWA Z TOMASZEM STAWISZYŃSKIM I TOMASZEM TERLIKOWSKIM: Wyczerpał się model samopotwierdzającego się Kościoła. Musi pojawić się nowe.



86 Cisza na łożu MICHAŁ WALKIEWICZ:

Pytany o celowość scen erotycznych w swoich filmach, reżyser David Cronenberg odpowiadał: „Jeśli można, to trzeba”. Takie było podejście do seksu w kinie lat 90. Zupełnie inaczej jest teraz. Dlaczego?

■ ■ **OBRAZ TYGODNIA**

6 Sądne dni
DARIUSZ ROSIAK

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ **KRAJ**

18 Prezydent prezesa, prezydent Polaków
JACEK K. SOKOŁOWSKI

22 Brońmy urn przed politykami
STEFAN SĘKOWSKI:
Podważając wiarygodność powszechnych wyborów, politycy uderzają w legitymację całego państwa. Czy jest na to jakaś recepta?

24 Dozwolone do lat osiemnastu?
MARTYNA PIETRZAK-
-SIKORSKA: *Dorosłość nie musi wykluczać dziecięcej radości*

■ ■ **Z ODDECHEM**

30 Kościół pod turbopapieżem
ROZMOWA Z TOMASZEM
STAWISZYŃSKIM
I TOMASZEM TERLIKOWSKIM

■ ■ **ŚWIAT**

36 Czeski zwrot
MARTYNA WASIUTA

39 Nie milczymy pod ostrzałem
ANTONINA PALARCZYK
Z CHARKOWA:
Co chcą powiedzieć politykom i światu protestujący młodzi ludzie na ulicach ukraińskich miast?

42 Oczami Izraelczyków
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Masakra Hamasu zmieniła także moje życie

■ ■ **WIARA**

44 Kwant Bożego Królestwa
ROZMOWA Z ANDREW BRIGGSEM,
FIZYKIEM KWANTOWYM:
Technologie kwantowe mają zbyt wielki potencjał, żeby uciekać od tajemnic

47 Czerwone czy białe
PAWEŁ RAKOWSKI: *Co Jezus pił z uczniami podczas ostatniej wieczerzy?*



BLANKA BIERNAT DLA „TP”

TEMAT TYGODNIKA

12 Kolej jak życie

MARCIN ŻYŁA

Dlaczego znów kochamy pociągi? Bo zmieniły się jak nasz styl życia. Są szybkie, wożą nas do pracy o różnych porach, a w wagonach bezprzedziałowych nie trzeba patrzeć obcom w oczy.

15 Z okna maszynistki

ROZMOWA Z URSZULĄ CALIK,
MASZYNISTKĄ W PKP INTERCITY

■ **STRONY SPECJALNE** ■

54 NAGRODA POLIN.

DLA TYCH, KTÓRZY SIĘ NIE BOJĄ

**59 SZTUKA WCHODZI BEZ PUKANIA.
JAK TO ROBIĄ W GDAŃSKU**

■ **FELIETONY** ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ 28 ZUZANNA RADZIK

84 PAWEŁ BRAVO 90 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
BLANKA BIERNAT DLA „TP”

49 Gitara zamiast karabinu

STANISŁAW ZASADA: *Polscy muzycy uczą dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej, jak zapomnieć o wojnie i przemocy*

52 Pielgrzymka wykluczonych

MONIKA BIAŁKOWSKA

53 Czytania

O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ **HISTORIA**

56 Polska Marlena Dietrich

STANISŁAW CALIK *o Lenie Żelichowskiej, gwiazdzie kabaretu i kina przedwojennej Polski*

■ ■ **NAUKA**

68 Zmień sobie osobowość

ROZMOWA Z MAGDALENĄ LESZKO,
PSYCHOLOŻKĄ I GERONTOLOŻKĄ

■ ■ **KULTURA**

72 Zew oceanu

MONIKA OCHĘDOWSKA:
Juliusz Verne na nowe czasy

76 Nie ma czytania bez chichotania

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ
WĘGRZECKĄ, REDAKTORKĄ
NACZELNĄ „ŚWIERSZCZYKA”:
Zawodowo zajmujemy się produkcją endorfin

78 Ostatni bis

JACEK TARAN: *Black Sabbath zrobił coś, co rzadko udaje się w muzyce*

81 Polecamy

82 Ostatni taniec

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Życie Chucka” Mike’a Flanagan*

83 Teatr inicjacyjny

LEKTOR *o książce „Siedem dni u Silbersteinów” Etienne’a Leroux*

■ ■ **ZMYSŁY**

86 Cisza na łożu

MICHAŁ WALKIEWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ WAKACYJNĄ OFERTĘ NA STRONIE

29



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ X /TYGODNIK ■ @ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



SĄDNE DNI

Z Izraela płynie coraz więcej głosów nazywających działania w Gazie ludobójstwem. Czy od użycia tego słowa zależy przetrwanie moralnego porządku, na którym opiera się świat po Holokauście?

DARIUSZ ROSIAK

POWYŻEJ:

Kobieta zbiera rozsypaną mąkę w pobliżu punktu Fundacji Humanitarnej dla Gazy, gdzie panuje powszechny głód. Strefa Gazy, 1 sierpnia 2025 r.

TO BYŁ JEDEN Z NAJBARDZIEJ TRAGICZNYCH i symbolicznych tygodni w Gazie i w Izraelu. We czwartek co najmniej 91 osób zostało zabitych, a 600 rannych w trakcie prób dotarcia do punktów rozdania żywności. We środę zmarło z głodu siedmioro dzieci (ogółem ofiary głodu w Gazie to 154 osoby, prawie setka to dzieci). Liczba palestyńskich ofiar wojny przekroczyła 60 tysięcy.

CO SIĘ DZIEJE W GAZIE | To dane podawane przez kontrolowane przez Hamas władze Gazy (niektóre źródła podają jeszcze wyższe liczby), ale praktycznie wszystkie organizacje humanitarne i medyczne obecne w Strefie potwierdzają zarówno przypadki śmierci z głodu, jak i chaos w dostawach pomocy rozdzielanej przez kontrolowaną przez Izrael i USA Fundację Humanitarną Gazy (GHF). Według ONZ od maja co najmniej 1373 Palestyńczyków zostało zastrzelonych przez żołnierzy izraelskich podczas prób dotarcia do punktów dystrybucji żywności GHF.

W ostatnich dniach Islamski Dżihad i Hamas opublikowały filmy propagandowe pokazujące dwóch wychudzonych zakładników przetrzymywanych w tunelach. Na jednym z nich płaczący Rom Braslavski mówi, że nie ma co jeść, nie może utrzymać się na nogach i stoi „na progu śmierci”. Na drugim wygłodzony Evyatar David kopie dziurę w ziemi, która – jak mówi – ma być jego grobem. Zdjęcia dokumentujące bestialstwo palestyńskich terrorystów są dla wielu Izraelczyków dowodem, że to Hamas jest winny głodzenia ludzi w Gazie, a przenoszenie odpowiedzialności na Izrael to wynik palestyńskiej propagandy.

Wbrew doniesieniom organizacji międzynarodowych, zeznaniom świadków, w tym żołnierzy izraelskich, dokumentacji filmowej i satelitarnej władze Izraela upierają się, że ich siły obronne (IDF) nie popełniają w Gazie zbrodni, w Strefie nie ma głodu, a problemy z dostarczaniem żywności są wynikiem rozkradania jej przez Hamas i kampanii propagandowej prowadzonej przeciwko GHF. Jed-



STRINGER / REUTERS / FORUM

posiłków, tyle że Izrael zlikwidował działające wcześniej kilkaset punktów rozdawania żywności i zamienił je na cztery ośrodki, które nawet jeśli działałyby sprawnie, nie byłyby w stanie zapewnić dostaw dla ponad 2 mln. Powołując Fundację, Izraelczycy chcieli stworzyć bufor między Palestyńczykami a Hamasem, który według Izraela wykradał żywność rozdawaną przez międzynarodowe organizacje. Celem miało być odwrócenie się ludności Gazy od Hamasu. Jednak raport organizacji USAID, cytowany niedawno przez Reutersa, zaprzecza, jakoby Hamas systemowo wykradał żywność i inną pomoc. Nieskuteczne, za to drogie i logistycznie skomplikowane okazują się też zrzuty pomocy z samolotów.

CZY TO LUDOBÓJSTWO | Z Izraela płynie coraz więcej głosów nazywających działania w Gazie ludobójstwem. Takiego sformułowania użył m.in. znany pisarz Dawid Grossman. Organizacje B'tselem i Lekarze na rzecz Praw Człowieka – Izrael opublikowały raporty, w których tłumaczą, dlaczego, ich zdaniem, działania Izraela w Gazie spełniają warunki prawnej definicji tej zbrodni przeciwko ludzkości. „Widzimy intencjonalne działania i skoordynowane praktyki, których celem jest zniszczenie społeczeństwa palestyńskiego w Gazie” – powiedziała magazynowi +972 szefowa tej pierwszej instytucji, Yuli Novak. Raport B'tselem nosi znaczący tytuł „Nasze ludobójstwo”. Opisuje on cztery filary działań Izraela w Gazie: masowe zabójstwa, przymusowe przesiedlenia ludności, systematyczną destrukcję infrastruktury (ponad 70 proc. wszystkich budynków w strefie jest zburzonych) i niszczenie społeczeństwa palestyńskiego na każdym poziomie.

Omer Bartov, badacz Holokaustu i weteran wojny Jom Kipur, w dzienniku „The New York Times” zwraca też uwagę na regularne próby odhumanizowania Palestyńczyków, podejmowane przez członków rządu (używanie wobec mieszkańców Strefy określeń typu „ludzkie zwierzęta”, nawoływanie do całkowitego jej zniszczenia i wygnania z niej Palestyńczyków). Bartov uważa, że od uznania przez międzynarodową opinię publiczną faktu ludobójstwa dokonywanego przez Izrael w Gazie zależy przetrwanie moralnego porządku, na którym opiera się świat po Holokauście, a przedstawianie krytyków zbrodni IDF jako antysemitów (co jest regularną praktyką władz Izraela) to atak na „kulturę pamięci”, stworzoną w ostatnich dekadach wokół Zagłady. Opierała się ona przecież na założeniu, że zbrodnia dokona-

na na Żydach przez Niemców ma być przestrogą wobec każdego aktu ludobójstwa w każdym miejscu na ziemi. Bartov ostrzega, że umniejszając zbrodnie IDF w Gazie, Izrael osuwa się w moralny relatywizm.

Inny badacz Holokaustu profesor Daniel Blatman pisze w dzienniku „Haaretz”: „Przez trzy pokolenia Izrael kulturował tożsamość ofiary, odnosząc się do różnych zbrodni na Żydach od czasu Holokaustu do 7 października. Zaprzeczając swoim własnym zbrodniom, żyje w permanentnie wykrzywionej rzeczywistości”.

ŚWIAT PATRZY, NETANJAHU

ROBI SWOJE | Francja, Wielka Brytania i Kanada zapowiedziały uznanie państwa palestyńskiego na najbliższej sesji ONZ we wrześniu, kilka innych krajów rozważa podobny ruch. Ma to być zapewne forma nacisku sojuszników Izraela na rząd Netanjahu, ale jak na razie wynikiem tych działań jest jedynie satysfakcja Hamasu. Jeden z liderów ugrupowania Ghazi Hamad zadeklarował, że uznanie przez kolejne kraje państwa palestyńskiego to owoc ataków z 7 października.

Nie słabnie też poparcie USA dla Netanjahu. Na początku tygodnia Donald Trump wyraził oburzenie w związku z postępującym głodem w Gazie, ale kilka dni później krytyka ze strony administracji ucichła. W piątek wysłannik Trumpa Steven Witkoff odwiedził ośrodek GHF w Gazie i oświadczył, że Amerykanie mają plan zakończenia wojny. Nie podał szczegółów.

Nic nie wskazuje też na to, by taki plan miał Benjamin Netanjahu, który ciągle nie godzi się na zakończenie wojny ani wycofanie IDF ze strefy. Co prawda ciągle wisi nad nim proces o korupcję i odpowiedzialność za dopuszczenie do ataku Hamasu 7 października, ale aby oskarżenia wobec niego przepisały się na konkretne działania, potrzebne jest zakończenie wojny, o czym Netanjahu ciągle nie chce mówić. Po wojnie 12-dniowej z Iranem gospodarka izraelska rozwija się doskonale, OECD przewiduje wysoki wzrost w 2025 r., giełda w Tel Awiwie notuje rekordowe wzrosty, rośnie także wartość szkła.

Nie ma również przełomu w myśleniu Hamasu, co dobitnie pokazały nie tylko filmy propagandowe z udziałem wygłodzonych zakładników. Organizacja zapowiedziała, że nie rozbroi się, dopóki nie powstanie niezależne państwo palestyńskie, co w tej chwili nie jest realne. Równocześnie Hamas zapowiada gotowość wypuszczenia wszystkich zakładników w zamian za zakończenie wojny. ©

nak przez cały marzec i kwiecień Izrael blokował dostawy żywności, a jeśli w maju wznowił je, to – nawet według własnych statystyk – w stopniu niewystarczającym dla przeżycia 2 milionom ludzi.

FIASKO POLITYKI IZRAELA | W Izraelu taka polityka nie budzi znaczącego sprzeciwu społecznego. Protesty antywojenne w tym kraju w większości nie dotyczą brutalności Izraela wobec Palestyńczyków, tylko losu 49 izraelskich zakładników porwanych 7 października 2023 r. i ciągle przetrzymywanych w Gazie [więcej o nastrojach w Izraelu pisze Karolina Przewrocka-Aderet w dziale Świat – red.].

Kolejne raporty i doniesienia ze Strefy potwierdzają zbrodnie armii izraelskiej – pod koniec czerwca dziennik „Haaretz” opublikował świadectwa żołnierzy IDF, którzy twierdzą, że otrzymywali rozkazy strzelania do nieuzbrojonych Palestyńczyków czekających na pomoc humanitarną, nawet kiedy nie było zagrożenia dla żołnierzy.

Stworzenie przez Izrael i Amerykanów wspomnianej Fundacji Humanitarnej Gazy okazało się kompletnym fiaskiem. GHF twierdzi, że rozprowadziła już ponad 100 milionów



Cud nad kasą

MAREK RABIJ

WUBIEGLYM TYGODNIU RZĄD najpierw potwierdził wzrost wydatków na armię w przyszlórocznym budżecie, zapowiedział zgłoszenie do unijnego programu pożyczkowego SAFE krajowych inwestycji w obronność o wartości 45 mld euro, a przed weekendem podpisał jeszcze długo negocjowaną umowę na drugą partię 180 koreańskich czołgów K2.

Na zapleczu polskiej armii trwa tymczasem demontaż. Ministerstwo Obrony Narodowej – jak pisze „Rzeczpospolita” – podcina skrzydła Agencji Uzbrojenia odpowiedzialnej za zakupy dla wojska. Instytucja, która obsługuje kontrakty warte przeszło 500 mld złotych, zatrudnia raptem 500 osób (drugie tyle pracuje w podległych jej instytucjach). Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz obiecał wzmocnienie AU, ale nadal nie dorzucił jej etatów. Na papierze pozostają także zapowiedzi nadania Agencji uprawnień, które pozwoliłyby jej zaciągać zobowiązania oraz połączenie jej z pokrewnymi instytucjami, np. z Wojskowym Centrum Normalizacji, Jakości i Kodyfikacji.

Jak wpłynie to na program modernizacji polskiej armii? W latach 2024-2035 zsumowane wydatki na zbrojenia to 643 mld zł. Prognozy MON przewidują, że

polski budżet obronny, złożony z pieniędzy tego resortu i pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych, przestanie rosnąć z roku na rok dopiero od 2028 r., ale za 10 lat nadal powinien być równy tegorocznemu (186,5 mld zł). Rządzący mogą pompować tę pozycję w wydatkach, bo wiedzą, że niezmiennie cieszy się to znacznym poparciem społecznym. Za zwiększaniem budżetu na obronność jest aż 72,9 proc. Polaków, przeciw tylko 18,2 proc., a nie ma zdania 9 proc. – tak wynika z badania przeprowadzonego pod koniec ubiegłego roku przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej”.

Rząd chętnie chwali się wykonaniem budżetu MON, który w zeszłym roku wydano w 99,96 proc. Przemilcza za to fakt, że kapitał zgromadzony w FWSZ w zeszłym roku zdołał spożytkować jedynie w 65,3 proc. Tempo, w jakim udaje się wydatkować te pieniądze, było właśnie jednym z argumentów za wzmocnieniem Agencji Uzbrojenia. Tym trudniej zrozumieć więc strategię MON, który w tej sprawie co innego zapowiada ustami swojego szefa, a co innego robi. Chyba że chodzi właśnie o to, by ogłosić jak największy budżet na obronność, ale wydać z niego jak najmniej. ©©



Kanon hipokryzji

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KOLEJNĄ AWANTURĘ O LEKTURY MOŻNA BY ZBYĆ milczeniem. Gdyby nie fakt, że wywołali ją sami rządzący. I że jest to w gruncie rzeczy spór MEN z jego własnym eksperckim zapleczem z Instytutu Badań Informacyjnych, które wyszło w zeszłym tygodniu z całkiem rozsądną i ciekawą propozycją nowych porządków w nauczaniu języka polskiego.

Istotą tej propozycji – będącej częścią planowanej na 2026 rok reformy – jest rozstanie z hipokryzją. Z udawaniem dzieci, że czytają wszystkie lektury. Z udawaniem nauczycieli, że wszystkie te książki „przerobili”. Z udawaniem nas wszystkich, że każdy człowiek opuszczający polską szkołę rusza w świat dożgonnie wyposażony i ukształtowany przez ten zapisany w rozporządzeniach nieśmiertelny zestaw.

Eksperci postanowili się z tą hipokryzją rozprawić. Ale nie zaproponowali rewolucji, nie skalali – jakby można sądzić po historycznych głosach z prawej strony sceny politycznej – polskiej kultury i tradycji.

Zaproponowali m.in., by w klasach 4-6 porządek czytania wyznaczały bliskie dziesięć- czy dwunastolatkom „kregi tematyczne”, takie jak „rodzina”, „relacje rówieśnicze” czy „przyjaźń”, pod które sami uczniowie i nauczyciele podkładaliby interesujące ich lektury (nie znaczy to, że zniknęłyby obowiązkowe teksty, jak choćby fragmenty Biblii czy wybrane mity greckie). Z kolei dla klas 7-8 zaproponowali okrojona – głównie o najdłuższe lektury – listę, pozostając jednak przy logice kanonu. Ale kanonu urealnionego, tak by zerwać ze świętą tradycją zarzynania w dzieciach przyjemności czytania.

Kłopot w tym, że ledwo robocze plany IBE ujrzały światło, a szefowa zespołu dr Kinga Białek udzieliła „Gazecie Wyborczej” wywiadu, od propozycji odciął się rząd. MEN zapewniło, że to tylko niezobowiązujące propozycje ekspertów, zaś rzecznik rządu oświadczył surowo: „Kanon lektur pozostanie bez zmian”.

„Nowacka mówiła, że nie boi się »panów biskupów«, ale wystraszyła się obrońców kanonu” – usłyszałem od eksperta współpracującego z MEN. Inny powiedział mi, że to fatalny sygnał dla zespołów przygotowujących reformę: „Możecie sobie opracowywać, co chcecie, a i tak ocenią to politycy”.

Oceniają po uważnej lekturze i wnikliwej analizie – wpisów na X oraz sondażowych słupków. ©©



Czołg K2 podczas ćwiczeń na poligonie w Braniewie, 24 czerwca 2025 r.

NA PUNKTY

OFERTA

PiS zaproponowało Konfederacji podpisanie „Deklaracji Polskiej”, obejmującej m.in. konieczność walki z nielegalną migracją, „centralizacją UE” oraz współpracę z Donaldem Tuskiem, za to poparcie dla sojuszu z USA, „suwerenności energetycznej” i nakierowanej na obniżenie cen polityki mieszkaniowej.

OSTROŻNOŚĆ

„Kaczyński swoją fałszywą deklaracją tak naprawdę nie chciał zachęcić nas do współpracy” – skomentował Sławomir Mentzen. „Trzeba patrzeć na PiS z najwyższą ostrożnością” – dodał i nazwał lidera tej partii „politycznym gangsterem”.

OBSKURANTYZM

W ramach „politycznego gangsterstwa” na profilu TVP Info w mediach społecznościowych zamieszczono nagranie podsumowujące 10 lat prezydentury Andrzeja Dudy. Była to, opatrzona podkładem muzycznym, kompilacja wpadek, lapsusów i kontrowersyjnych wypowiedzi odchodzącej głowy państwa; „prymitywizm tego materiału” skrytykował nawet Roman Giertych. ©



Krajewski zajmuje stanowisko

EDWARD AUGUSTYN

KAZANIE KARD. KONRADA KRAJEWSKIEGO (na zdjęciu), wygłoszone w Rzymie 31 lipca do polskich uczestników Jubileuszu Młodych, nie przestaje być tematem dyskusji i komentarzy. Papięski jałmużnik skrytykował antyimigracyjne demonstracje organizowane w Polsce, uznając je za sprzeczne z ewangelią. „Nie byłoby miejsca dla Jezusa, bo »Polska jest dla Polaków«” – mówił, nawiązując do hasła nacjonalistów i przypominając, że Jezus też był uchodźcą.

Słowa Krajewskiego wiele osób oburzyły, choć nie powinny dziwić. W kazaniu sam mówił o przemianie, jaka dokonała się w jego życiu 13 lat temu, gdy Franciszek mianował go swym jałmużnikiem. „Watykański Robin Hood”, jak nazywały go media, zdjął sutanę, wyszedł na ulice Rzymu, rozdawał jedzenie, budował prysznice i ambulatoria. Szczególną troskę okazywał uchodźcom i imigrantom, podobnie jak argentyński papież, który dla niego tę rolę wymyślił.

Dziwić może jedynie tak mocne i bezpośrednie nawiązanie do wydarzeń politycz-

nych w Polsce, czego dotąd kardynał unikał (przynajmniej publicznie, bo w rozmowach prywatnych nieraz piętnował antyimigracyjną postawę polityków i biskupów). Skąd taka zmiana? Ważnym powodem była chęć okazania solidarności z kard. Grzegorzem Rysiem, stojącym

obok przy ołtarzu. Łódzki metropolita, który w głośnym liście do

wiernych potępił nacjonalistyczną retorykę, coraz częściej goszczącą w debacie publicznej, był w ostatnich

tygodniach krytykowany za „naiwną i anachroniczną” postawę wobec problemu nielegalnej migracji. Tak-

że przez księży i biskupów, którzy dodatkowo obwiniali go o ujawnianie podziałów w polskim episkopacie.

Kazanie Krajewskiego było demonstracyjnym opowiedzeniem się po jednej stronie tego sporu. A jeśli sprawdzą się pogłoski o powrocie kardynała do kraju i objęciu jednej z diecezji (Leon XIV ma mieć odmienną – bardziej umiarkowaną niż franciszkańską – wizję urzędu jałmużnika), ten głos nabierze dodatkowego znaczenia. ©



Asystent osobisty przywraca życie

ANNA GOC

WJAKIM STANIE MOŻE BYĆ człowiek, który każdej nocy budzi się co dwie godziny, by przewrócić swoją żonę na drugi bok? Wstaje o piątej rano, żeby wspomóc ją w porannej toalecie i ubraniu się. Robi śniadania, obiady i kolacje, herbaty i kawy. Zawozi do pracy, odbiera. Pomaga w korzystaniu z toalety. Drapie po nosie i pilnuje, żeby nie uduśiła się śliną – mówi Renata Orłowska, psycholożka, która choruje na rdzeniowy zanik mięśni.

– Mój mąż robi to od trzydziestu lat – dodaje. – Dzięki

asystentom osobistym wracamy do życia nie tylko my, osoby z niepełnosprawnościami, lecz także nasi najbliżsi.

Rozmawiamy chwilę po tym, jak premier Donald Tusk, zapytany w Pabianicach o ustawę o asystencji osobistej, powiedział, że „przeciętne państwo NATO-wskie wydaje na zbrojenia 2,5 proc., a my musimy 5 proc.”. I wyliczył, że 2 proc. PKB to 80 mld zł. I choć kilka dni później zapewnił w wywiadzie dla TVN, że rząd kontynuuje prace nad projektem ustawy, w środowisku zawrzało.

– Zawrzało, bo to ustawa wycozekiwana, odkąd znalazła się na liście stu konkretów KO.

I jest właściwie gotowa. Przemysłana i jak rzadko która porządnie skonsultowana ze środowiskiem – mówi Małgorzata Szumowska, prezeska Fundacji Centrum Edukacji Niewidzialna, która od lat angażuje się w działania na rzecz OzN.

Prace nad projektem ustawy o asystencji osobistej powierzono Łukaszowi Krasoniowi, pełnomocnikowi rządu ds. osób z niepełnosprawnościami przy Ministerstwie Rodziny, Pracy

i Polityki Społecznej. Projekt pojawił się pod koniec 2024 roku.

Ustawa ma zapewnić m.in. ciągłość asystentury, możliwość wyboru asystenta i dostępność w każdym powiecie. Szacuje się, że skorzysta z niej ponad sto tysięcy osób. Pytanie jednak, czy zgodnie z ostatnimi zapowiedziami rządu, wejdzie w życie w 2027 roku i czy w tym kształcie, w którym została przygotowana.

– Dla nas to nie tyle opóźniony termin, lecz taki, który może okazać się za późny – dodaje Orłowska.

Na wtorek 5 sierpnia osoby z niepełnosprawnościami zaplanowały protest przed Kancelarią Premiera. ©

Tekst ukończono 4 sierpnia.



ARTEPICS / ALAMY / BE&W

Portret kardynała Newmana (fragment), autorstwa Johna Everetta Millaisa, 1881 r.

Doktor John Henry Newman

TEOLOGIA ■ „Niezależnie od tego, czy Rzym ogłosi go świętym, czy nie, zostanie on kanonizowany w myślach ludzi różnych wyznań w Anglii” – napisał „The Times” 12 sierpnia 1890 r., dzień po śmierci kard. Johna Henry’ego Newmana. Rzym długo zwlekał z pójściem za radą publicysty: brytyjskiego konwertytę beatyfikował Benedykt XVI w 2010 r., a kanonizował dziewięć lat później Franciszek. Nie oznacza to, że był postacią drugoplanową: jego wpływ na teologię i duszpasterstwo katolickie XX w. (w tym na Sobór Watykański II) jest poza dyskusją. Leon XIV ostatniego dnia lipca 2025 r. ogłosił kolejne wyróżnienie Newmana – niebawem zostanie doktorem Kościoła. To tytuł nadawany teologom, którzy potrafią opowiedzieć Ewangelię językiem swojej współczesności i których nauczanie wnosi istotne wartości do rozwoju doktryny. Brytyjczyk dołączy do grona dotychczasowych 37 doktorów (w tym 4 kobiet).

John H. Newman urodził się w 1801 r. w Londynie, w wieku 15 lat przeżył głębokie nawrócenie, co skłoniło go do podjęcia studiów teologicznych, po których został anglikańskim duchownym. Zafascynowany katolicką tradycją liturgiczną, teologiczną oraz pismami ojców Kościoła, współtworzył tzw. ruch oksfordzki – środowisko intelektualne starające się o odnowę duchową anglikanizmu. Ostatecznie uznał, że anglikanizm zbyt

zamknął się w swoich ideach. W 1845 r. konwertował na katolicyzm, a dwa lata później przyjął święcenia kapłańskie. W 1879 r. papież Leon XIII wyniósł go do godności kardynalskiej.

Newman uważał, że teolog nie może ignorować postępu naukowego. Podkreślał, że nie istnieje chrześcijaństwo w czystej postaci, objawienie bowiem odkrywa się stopniowo, przez kolejne wieki refleksji i modlitwy. Myśl ta stanowi fundament katolickiej koncepcji rozwoju dogmatów.

Wbrew pozorom Newman nie nadaje się na patrona tych, którzy chcieliby widzieć przewagę katolicyzmu nad protestantyzmem. Jak podkreślał w 2010 r. filozof z KUL prof. Jan Kłos, „przekaz Newmana w zasadzie niewiele się różnił w okresie, kiedy był anglikaninem i gdy przeszedł na katolicyzm”, ponieważ „człowiek, który jest blisko Boga, jest poza tą kwestią ortodoksyjności czy nieortodoksyjności: anglikanizm czy katolicyzm”.

Papież Franciszek, interpretując w encyklice „Dilexit nos” motto Newmana „*Cor ad cor loquitur*” (Serce mówi do serca) podkreślił, że Bóg „zbawia nas, przemawiając do naszego serca ze swojego Najświętszego Serca”. Dlatego dla Newmana „miejszem najgłębszego spotkania z samym sobą i Panem nie była lektura czy refleksja, ale modlitewny dialog, z serca do serca, z żywym i obecnym Chrystusem”. © MACIEJ MÜLLER

Sam widok osoby chorej uruchamia nasz układ odpornościowy

ZDROWIE ■ Rzeczywistość usiana jest zagrożeniami, więc ciągła czujność u dziko żyjących zwierząt jest zrozumiała – lepiej przesadzić z reakcją, niż popełnić śmiertelny błąd. I choć ludzie nie reagują sprintem na każdy szelest liści, to wciąż występują u nas głęboko zakorzenione odruchy. Takie jak wstręt wywołany przez zepsute jedzenie, krew i wydaliny ustroju. Ma stanowić ochronę przed zatruciem i zakażeniem. Tego typu zachowania i obronne reakcje tworzą mechanizm, który amerykański psycholog Mark Schaller nazwał behawioralnym systemem immunologicznym.

Teoria Schallera zakłada, że niektóre emocje i zachowania mają za zadanie zminimalizować ryzyko zachorowania i nie dopuścić do sytuacji, kiedy to fizjologiczny system immunologiczny będzie musiał reagować.

Zagadnieniem z pogranicza obu tych systemów zajęli się badacze z uniwersytetów w Lozannie i Genewie. Ich wnioski opublikowało „Nature Neuroscience”. W badaniu na grupę ochotników wirtualnej rzeczywistości oddziaływały trzy rodzaje awatarów. Poprzez gogle VR w przestzeń osobistą badanych wtargnął mógł awatar neutralny, taki z twarzą pełną przerażenia lub wykazujący objawy infekcji, jak kaszel i wysypka. Następnie przy pomocy rezonansu magnetycznego oraz oceny aktywności elektrycznej mózgu badano reakcje na te trzy spotkania. Zarówno twarz chorego, jak i twarz przerażona odbierane były jako zagrożenie i uruchamiały aktywność tych samych obszarów mózgu. Co więcej, potencjalne źródło infekcji w najbliższym otoczeniu stymulowało również oś podwzgórze–przysadka–nadnercza. Te ostatnie produkują adrenalinę i kortyzol – hormony stresu.

Naukowcy pod kierunkiem Camilli Jandus i Andrei Serino sprawdzili również wpływ zagrożenia infekcją w najbliższym otoczeniu na układ immunologiczny. Okazuje się, że w myśl zasady „chcesz pokoju, szykuj się do wojny” układ odpornościowy jeszcze przed kontaktem z patogenem uruchamia nieswoiste komórki limfoidalne (ILC), w tym komórki NK (naturalni zabójcy), których celem jest obrona przed nieznanym jeszcze wrogiem. Zatem sama obecność kaszlącego lub kichającego kolegi z pracy wywołuje rzeczywistą reakcję immunologiczną.

Grupę, u której zaobserwowano ten mechanizm, porównano z pacjentami zaszczepionymi przeciwko wirusowi grypy. U obu reakcja na bodziec była podobna – aktywacja nieswoistych mechanizmów układu odpornościowego, czego nie powodowały awatar neutralny i przerażony. Autorzy pracy dowodzą, że postulowany przez Schallera behawioralny system odpornościowy ma łączność z rzeczywistym układem immunologicznym. Nie ma jednak pewności, że ta wczesna reakcja faktycznie pomaga w walce z infekcją i skracza czas choroby.

Warto podkreślić, że gogle VR i awatar schorowanego człowieka nie zastąpią np. sezonowej szczepionki na grype, która buduje trwalszą i bardziej precyzyjną odporność. © BARTOSZ KABAŁA



ZARUBA ONDRÉJ / ADOBE STOCK

Mrówkojad wielki (*Myrmecophaga tridactyla*) występuje na terenach Ameryki Południowej i Środkowej

Historia naturalna mrówki i mrówkojada

EWOLUCJA ■ Mrówki i termity odniosły niebywały sukces ewolucyjny. Łatwo to sobie uzmysłowić, biorąc pod uwagę np. fakt, że w takich tygłach bioróżnorodności, jaką są tropikalne lasy Ameryki Południowej i Środkowej, jak mówi paleontolog Thomas Vidá magazynowi „Science”, łączna masa mrówek i termitów przekracza łączną masę wszystkich pozostałych owadów oraz płazów,

ptaków i ssaków. Jedne i drugie owady zapewniają nie tylko cenne i niezawodne usługi środowiskowe w postaci rozkładu materii – przez samą swoją liczebność stanowią także bardzo atrakcyjne źródło pożywienia. Tak atrakcyjne, że przystosowania do zjadania wyłącznie mrówek i termitów (obserwowane dzisiaj u niespokrewnionych z sobą mrówkojadów żyjących w Amerykach czy występujących w Azji i Afryce łuskowców oraz mrówników) wyewoluowały w historii niezależnie przynajmniej u 12 linii ewolucyjnych ssaków. Takie wnioski płyną z badań paleontologów i zoologów, ze wspomnianym Thomasem Vidą z Uniwersytetu w Bonn na czele, z których

raport ukazał się w czasopiśmie „Evolution”.

Badacze przeanalizowali naturalną historię mrówek i termitów oraz ich zjadaczy, przyglądając się skamieniałościom tych owadów, a także ewolucji i diecie przeszło 4 tys. gatunków ssaków. Okazuje się, że choć mrówki i termity pojawiły się we wczesnej kredzie – epoce dinozaurów – ok. 100-130 mln lat temu, to jednak dopiero po wyginięciu tych gadów bujnie się rozwinęły. Sprzyjała im następująca wówczas ekspansja roślin okrytonasiennych (produkujących kwiaty). To wtedy miały powstać wielkie kolonie mrówek i termitów, które aż prosiły się o to, by pocze-

stować się ich mieszkańcami. Przejmujące panowanie w ekosystemach po dinozaurach ssaki nie mogły przegapić takiej okazji.

Przystosowania do mrówko- i termitożerności obejmują długi, klejący język i silne przednie kończyny, potrzebne do rozgrzebywania kopców i mrowisk. Adaptacją jest też redukcja lub całkowita utrata zębów, których utrzymanie, niepotrzebne przy diecie opartej na małych owadach wyzyskiwanych z ziemi, byłoby niepotrzebnym wydatkiem energii. Poza tym wydzielające kwas w reakcji obronnej owady najlepiej połykać w całości – przeżuwanie ich byłoby proszeniem się o odwet. Wydawałoby się więc, że przestawienie się wyłącznie na taki pokarm – badacze udokumentowali ewolucję mrówkożerności z bardziej ogólnej diety opartej na owadach, a nawet z mięsożerstwa – to ewolucyjna droga w jedną stronę. Jednak przypadek ryjkonosa krótkouchego nieco przeczy temu wyobrażeniu. Przodkowie tego niewielkiego ssaka zamieszkującego południowo-zachodnią Afrykę jeszcze ok. 13 mln lat temu zjadali wyłącznie mrówki – współczesne ryjkonosy urozmaiciły dietę także innymi owadami.

© ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





TEMAT
TYGODNIKA

KOLEJ JAK ŻYCIE

Dlaczego znów kochamy pociągi? Bo zmieniły się jak nasz styl życia.

Są szybkie, wożą nas do pracy o różnych porach,
a w wagonach bezprzedziałowych nie trzeba patrzeć obcym w oczy.

MARCIN ŻYŁA

Na dworcu Wrocław Główny,
sierpień 2022 r



TOMASZ PIETRZYK / AGENCIA WYBORCZA.PL

TĘ PODRÓŻ ZACZNIEMY JAK KIEDYŚ: od dźwięku sprężarki i bucza ostrzegającego przed zamknięciem drzwi. I od silnego szarpnięcia przy ruszaniu – być może głównego powodu, dla którego kiedyś nie wnoszono do wagonów kubków pełnych kawy.

Jest 6.49. Gwizdek kierownika, komunikat przez radio: „trzydzieści cztery, sześćset pięć, gotów do odjazdu”, buczech, drzwi, szarpnięcie. Pociąg Regio „Beskidek” rusza ze stacji Kraków Główny w drogę do Bielska-Białej.

To jedna z ostatnich linii obsługiwanych jeszcze przez niezmmodernizowane składy EN-57, czyli dawne „osobówki”

w żółto-niebieskiej malaturze. Przez kolejarzy ochrzczone „kibelkami” (domyślą się Państwo, dlaczego), na trasach górskich żartobliwie nazywane „Strzałami Południa” (jako jedyne pociągi, które od razu po odjeździe osiągały prędkość maksymalną), EN-57 pojawiły się na torach tuż po tym, gdy z kosmosu wrócił Jurij Gagarin. Przez następne dekady przewiozły do pracy i szkół miliardy pasażerów, stając się jednym z symboli PRL.

Ostre cięcie

Ten najdłuższy w świecie produkowany elektryczny zespół trakcyjny – czyli po-

ciąg bez lokomotywy, za to z tzw. czółami sterowniczymi – niedługo trafi do skansenów techniki. Niewygodny (często z twardymi, plastikowymi siedzeniami), brudny i wolny – był jak cała polska kolej. I to jeszcze długo po zmianie ustroju. Bo jeśli uznamy, że w 1989 r. w kraju zmieniło się wszystko, dla ścisłości trzeba dodać: wszystko oprócz PKP.

W latach 90. XX w. Polskie Koleje Państwowe były wciąż biurokratycznym monolitem, o mitycznych wpływach wśród polityków; po rolniczych i górniczych to właśnie kolejowe związki zawodowe miały u nas najsilniejszą pozycję. Upadek kopalń i wielkich państwowych zakładów zmniejszył dochody z przewozów towarowych, lecz nie wymusił na kolejarzach modernizacji. Dla pasażerów symbolami „luksusu” musiały pozostać wagony z magnetowidami czy takie połączenia, jak kursujący do Zakopanego „Kasprowy”, w którym modernizacja EN-57 polegała na wstawieniu nowych foteli i przemalowaniu składu.

Tamten świat – skrót „PKP” rozwijanego jako „płać konduktorowi połowę”, nieuprzejmych sokistów, cuchnących toalet i złodziei usypiających gazem pasażerów w nocnym pośpiesznym z Przemysła do Wrocławia – skończył się niepostrzeżenie. Ale jego odejście przyćmiła inna, gwałtowna zmiana.

3 kwietnia 2000 r. kolej zawiesiła połączenia pasażerskie na 1028 kilometrach tras. Z dnia na dzień setki tysięcy Polaków odcięto od pociągu. Decyzję o likwidacji linii lokalnych uzasadniano, zgodnie z duchem czasu, ich nierentownością. Dopiero po latach stała się symbolem neoliberalnego, niebaczącego na społeczne potrzeby, spojrzenia na gospodarkę. Skutki „ostrego cięcia” odczuwamy do dziś – o czym przekonamy się za chwilę, na stacji końcowej naszego pierwszego połączenia.

Pociąg „Beskidek” – korzystając z wybudowanych niedawno łącznic w krakowskim Podgórzu i Kalwarii Zebrzydowskiej, dzięki którym nie trzeba już zmieniać kierunku jazdy – o 8.16 planowo melduje się w Wadowicach. A niecałą godzinę później dociera, też zgodnie z rozkładem, do stacji Bielsko-Biała Główna. →

Miasta dla pociągów

→ Hubert Maślanka transportem zajmuje się zawodowo. Jest w Bielsku-Białej prezesem MZK oraz szefem Stowarzyszenia Kolej Beskidzka, które przez lata walczyło o modernizację linii z Żywca do Suchej Beskidzkiej. Walczyło skutecznie – w 2026 r. wróca na nią pociąg.

– Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że nic z tego nie będzie. Linia do Suchej, zapomniana, poddana bezwzględnej logice nierentowności lat 90., była na transportowej mapie Polski martwym punktem – mówi Maślanka. – A jej degradacja zbiegła się z nieszczęśliwym dla Podbeskidzia podziałem między województwa śląskie i małopolskie.

To właśnie samorzady pierwsze na nowo dostrzegły potencjał kolei. Jednak początki były trudne: debiut Kolei Śląskich (2011) opóźniały protesty pracowników PKP, którzy bali się zwolnień. Pierwsze dni kursowania pociągów nowego przewoźnika to niedobór wagonów (pożyczono je z Czech) i chaos w systemie sprzedaży biletów.

Gminom docenienie kolei zajęło jeszcze dłużej. Gdy w centrum 30-tysięcznego Żywca na dwa lata rozebrano most na Sole, Stowarzyszenie Kolej Beskidzka zaproponowało miastu, aby samo uruchomiło zastępcze połączenia kolejowe.

– Odpowiedź władz brzmiała: „Miasto nie jest od tego, żeby płacić za pociągi”. Dopiero teraz podejście samorządów powoli się zmienia, również dzięki presji mieszkańców i pieniądзом z Unii Europejskiej – tłumaczy Hubert Maślanka. – Długo problemem była nie tyle bieda, co mentalność. Nie dostrzegano, że transport to nie koszt, lecz inwestycja w rozwój społeczności.

Teraz w południowej części województwa śląskiego inwestycja goni inwestycje: trwa modernizacja torów ze Zwardonia do Czechowic-Dziedzic, ruszają prace na trasie Skoczów–Bielsko-Biała, a w samym Bielsku za pół miliarda złotych powstaje centrum przesiadkowe i nowy węzeł komunikacyjny.

– Nasze marzenie: żeby każdy mieszkaniec powiatu żywieckiego, bielskiego czy cieszyńskiego mógł przemieszczać się transportem publicznym w maksymalnie 30 minut, jest w końcu realne – mówi Maślanka.

Inna epoka

Był grudzień 2005 r., gdy na czynnej wtedy jeszcze górskiej linii Żywiec–Sucha Beskidzka doszło do wypadku, w którym tylko dzięki przytomności maszynistów nikt nie zginął. Zjeżdżający w stronę Żywca skład EN-57 nie mógł wyhamować na oblodzonych szynach. Zbliżającemu się tym samym torem z naprzeciwka pociągowi do Suchej nakazano zmianę kierunku jazdy i jak najszybszą „ucieczkę”. Oba składy najechały na siebie, szczęśliwie, z różnicą prędkości wynoszącą tylko 20 kilometrów na godzinę. Współwinne wypadku okazały się stosowane w starych pociągach wkładki hamulcowe.

To było zaledwie 20 lat temu, a jakby w innej epoce. Teraz odnowiona linia Żywiec–Sucha Beskidzka ma być lepiej wyprofilowana, a kursować będą po niej nowoczesne składy.

– To tylko 35 kilometrów torów, a zyski społeczne i środowiskowe nieproporcjonalnie większe: czas przejazdu skróci się niemal o połowę, zwiększy się dostępność komunikacyjna wsi położonych wzdłuż linii, przybędzie turystów – wylicza szef Stowarzyszenia Kolej Beskidzka. – Co więcej, linia może się stać częścią większego układu transgranicznego. Już kilka lat temu słowackie ministerstwo transportu zadeklarowało gotowość uruchomienia wspólnego połączenia, np. z Bratysławy. Problem był po naszej stronie. Ten problem właśnie znika.

Odrodzona linia została już wpisana do ministerialnego planu transportowego, co otwiera drogę do finansowania połączeń przez przewoźników regionalnych i PKP Intercity. – A pomyśleć, że na początku słyszeliśmy głównie „nie”. Że to linia marginalna, że wzdłuż niej mieszka mało ludzi. Wszystko zmieniła presja mieszkańców – mówi Hubert Maślanka.

Na podobną zmianę czeka jednak jeszcze wiele lokalnych linii: z Jeleniej Góry do Zebrzydowej, z Rybnika do Jastrzębia-Zdroju, największego miasta bez dostępu do kolei; czy z Rzeszowa do Ocie.

Piętrowe pociągi

Z Żywca i Suchej Beskidzkiej już blisko pod Tatry. Od 7 lat działa tu współfinansowana przez gminy Podhalańska Kolej Regionalna. Kiedy samorzady połączyły siły, pomysły kontestowano. Teraz podróż pociągiem między Nowym Targiem a Zakopanem – gdzie podczas świąt, waka-

cji i ferii zimowych na jednopasmowej „zakopiance” tworzą się nawet półtorgodzinne korki – trwa 37 minut.

A to i tak nic w porównaniu z rewolucją, która wkrótce czeka kolejową „zakopiankę” – czyli linię z Krakowa. Kosztem prawie 2 mld zł w wymagającym terenie powstaje jej nowy wariant – prowadząca m.in. ponadkilometrową estakadą i tunelami o łącznej długości prawie 6 km linia z Podłęża do Piekietka. Za kilka lat, po modernizacji trasy z Chabówki do Nowego Sącza, nową trasą pomkną pociągi pod Tatry (czas przejazdu z Krakowa ma wynosić półtorej godziny). Podłęże-Piekietko będzie pierwszą linią kolejową w polskich Karpatach, która nie powstała za panowania Franciszka Józefa I.

Nowa inwestycja pomoże rozwiązać problem zatłoczonych pociągów. 15 sierpnia, kiedy kolej zwykle bije rekordy frekwencji, w bezprzedziałowych wagonach TLK „Małopolska” z Zakopanego do Gdyni potrafi stać lub siedzieć na własnych bagażach po 60-70 osób. Brak wagonów to jedna z największych bolączek kolei – mają ją zmniejszyć zakupy i modernizacje, na które z Krajowego Programu Odbudowy PKP Intercity dostało już ponad miliard zł. Spółka planuje też kupno nowoczesnych wagonów dwupiętrowych.

Szybciej, czystiej, dalej

To właśnie na trasach łączących największe miasta zmiana na kolei jest najlepiej widoczna. W pierwszym kwartale 2025 r. na liniach Poznań–Szczecin, Szczecin–Warszawa czy Poznań–Toruń liczba pasażerów wzrosła o połowę w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego. Kolej rosła też w regionach przez lata niedofinansowanych (w okolicach Białegostoku wzrost przewozów o 35 proc.). W maju tego roku Polacy odbyli 37,7 mln podróży pociągami.

Nasze pociągi są czyste, stosunkowo punktualne (PKP Intercity mieści się pod tym względem w europejskiej średniej), coraz szybsze (nie chodzi wyłącznie o Pendolino) – w czym zresztą bardziej zasługa zmodernizowanych torów – oraz wciąż stosunkowo niedrogie (jeszcze raz: bez Pendolino). W wielu składach InterCity standard drugiej klasy dorównuje dawnej pierwszej. Dworce, przejścia między peronami i same wagony są bardziej dostępne dla osób z niepełnosprawnościami.

Stacje i przystanki z chybliwymi płytami chodnikowymi zastąpił zunifikowany design i system informacji przestrzennej – może nie najpiękniejszy, pomagający za to odnaleźć się na dworcach także nieznającym języka polskiego.

Przybyło też sensownych połączeń międzynarodowych, choć i tu są braki: jesteśmy dobrze skomunikowani z Niemcami czy Austrią i wciąż fatalnie ze Słowacją czy Litwą. Nawet wybredni dziennikarze kolejowi z Wielkiej Brytanii

chwalą „Baltic Express” z Pragi do Gdyni. Z kolei słynny pociąg do chorwackiej Rijeki był raczej świetnym zagranem PR-owym: biorąc pod uwagę ceny biletów, trudno sobie wyobrazić jadące nim na wczasy rodziny z dziećmi.

Wreszcie – znak czasów: zmienili się problematyczni klienci warsu. Zamiast dżentelmenów przedawkujących piwo, stali się nimi menedżerowie rozkładający laptopy na stolikach przeznaczonych do jedzenia.

Na wszelki wypadek

Na zmiany w polskiej sieci kolejowej liczą także generałowie.

Wojna w Ukrainie pokazała, jak ważnym elementem systemu obrony państwa jest kolej – i to jeszcze jeden, rzadko dyskutowany kontekst zmian na naszych torach.

Jedną z głównych słabości obecnego systemu łączności w Polsce jest analogowy sygnał „Radio-Stop”, który umożliwia każdemu, kto posiada prosty zestaw →



INTERCITY / MATERIAŁ PRASOWY

Z okna maszynistki

MARCIN ŻYŁA: Jak to jest – prowadzić pociąg?

URSZULA CALIK: Tak naprawdę dopiero, gdy ktoś o to pyta, uświadamiam sobie, że na co dzień ciągnę za sobą wagony z pasażerami o masie kilkuset ton. Bo gdy wsiedlam do kabiny, najważniejsze jest dla mnie, żeby dojechać bezpiecznie. I, najlepiej, planowo.

Ta praca to ciągłe skupienie i konieczność dużej podzielności uwagi. Obserwujemy szlak przed nami, sygnalizację, wszystkie wskaźniki. Musimy pamiętać, co było na poprzednim semaforze, bo on informuje o tym, co będzie na następnym. Przez radio dyżurni mówią o sytuacji na szlaku, np. ostrzegają, gdy ktoś się kręci przy torach. Pociąg nie zatrzyma się przecież

od razu – przy prędkości 160 km na godzinę droga hamowania to aż 1300 metrów. Mamy wprowadzić nowszy tabor, są silniejsze lokomotywy, ale wciąż trzeba mieć oczy dookoła głowy.

Czy kierowanie takim składem jest trudne?

W starszym taborze nastawnik jazdy ma formę kierownicy. Ona oczywiście nie działa jak samochodowa – wybierając odpowiednią pozycję, można zwiększyć moc i przyspieszyć. W nowych lokomotywach jest joystick. Ale trzeba nim manipulować delikatnie. Gdy jest duże pochylenie, mokro, liście, to jednak szyna i metalowe koło nie zawsze chcą ze sobą współpracować. Pociąg też może wpaść w poślizg.

Często kursuję na linii Kraków–Zakopane. Teraz, po remoncie, nie ma już na niej wielu trudnych miejsc. Wcześniej zdarzało się jednak, że gdy było mokro, leżał śnieg bądź występowały problemy z napięciem, to pociąg nie wyjeżdżał pod górę. Trzeba było się cofnąć i spróbować jeszcze raz. Sytuację utrudniały ograniczenia prędkości. Pamiętam, że przed swoją pierwszą służbą na tym szlaku stresowałam się przez tydzień.

Oczywiście na każdą trasę musimy mieć tzw. znajomość szlaku. Zanim pojedziemy samodzielnie, czterokrotnie towarzyszymy innemu maszyniście. Poznajemy profil szlaku, miejsca, w których trzeba zachować szczególną uwagę.

Jaką Polskę widać z lokomotywy?

Bardzo zieloną. W końcu tory prowadzą najczęściej przez lasy i pola. Zachwycają mnie widokami zwierząt i natury. Jeżdżę też do Przemyśla, Lublina, Warszawy, Wrocławia. Wszędzie coś się buduje, widać kraj, który się rozwija.

A pasażerowie? Też się zmieniają?

Wiele jest naprawdę zainteresowanych koleją. Kiedy widzą kobietę w lokomotywie, są często zaskoczeni, zagadują. Zdarzają się też pasażerowie zagubieni, którym na peronie służę za punkt informacyjny. No i spóźnialscy, którzy biegną do drzwi, nawet gdy pociąg rusza. Jako maszynistka naprawdę muszę mieć oczy dookoła głowy.

Nasza praca różni się jednak w zależności od rodzaju służby. W Krakowie dwie lokomotywy spalinowe zajmują się np. przetaczaniem pociągów. Mówimy na to: obrządzanie składów. Gdy pociąg zjeżdża z trasy, jest sprzątany, opróżniane są toalety; jeśli w którymś z wagonów coś się zepsuło, jest zastępowany innym, sprawnym. Dla pasażerów to praca raczej niewidoczna, ale właśnie dzięki niej na peron może wjechać pociąg gotowy do drogi. ©

URSZULA CALIK jest maszynistką w PKP Intercity

→ nadawczy i zna właściwą częstotliwość, zatrzymanie wszystkich pociągów w zasięgu. System wprowadzono po tym, gdy na przełomie lat 70. i 80. w trzech katastrofach kolejowych zginęły 104 osoby – i do dziś na kolei ratuje on życie. Jednak liczba nieuprawnionych użyć sygnału wzrasta – w 2023 r. pociągi stanęły po jego użyciu 775 razy. W kwietniu dolnośląska policja zatrzymała 57-latkę, który wielokrotnie paraliżował ruch we wrocławskim węźle kolejowym.

Obawy o możliwość ingerencji w system, która w kluczowym momencie może go „wyłączyć” – czy choćby dywersji, która wpłynie na transportowane koleją dostawy broni dla Ukrainy – są więc uzasadnione. Tym bardziej że służby zatrzymywały już ludzi umieszczających kamery przy ważnej strategicznie linii E-30 łączącej Zgorzelec i Przemysł.

Sieć kolejowa to element infrastruktury o podwójnym przeznaczeniu. Rząd od lat inwestuje w modernizację – bądź odtwarzanie torów – w pobliżu poligonów i baz (m.in. do Ręgien, Orzysza, Maszewa Łęborskiego). Już ok. 6 tysięcy kilometrów torów uznano za linie o znaczeniu obronnym lub priorytetowym dla transportu wojskowego. Zaplanowano połowe stacje przeładunkowe. Tak na wszelki wypadek.

Jest pociąg, będą pasażerowie

O to, czy pociągi w Polsce rzeczywiście jest za co kochać, zapytałem Karola Trammera, autora książki „Ostre cięcie. Jak niszczone polską koleją”, redaktora naczelnego dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn”.

– Liczba pasażerów rośnie od lat, z wyjątkiem pandemicznego dołka, kiedy nie tylko ograniczono liczbę połączeń, ale wręcz straszono transportem publicznym. Po covidzie wrócił trend wzrostowy. Jednak pod względem liczby podróży na mieszkańca nadal odstajemy od Europy. Szwajcarzy odbywają średnio 50 podróży kolejowych rocznie, Czesi – ponad 20. W Polsce ten wskaźnik wynosi niecałe 11 – studzi entuzjazm Trammer.

Jego zdaniem Polacy na nowo nauczyli się korzystać z kolei w miejscach, gdzie ta zaczęła ich wreszcie dostrzegać. I tu znów wracamy do konsekwencji masowej likwidacji połączeń sprzed ćwierć wieku.

Oraz pułapki wpatrywania się przez kierownictwa spółek kolejowych w arkusze Excela. Bo w statystykach – przekonuje ekspert – nie widać wszystkiego.

Przykład? Kiedy przed rokiem na trasie Białystok–Ostrołęka pojawiły się dwa pociągi dziennie, wydawało się, że to oferta zbyt uboga, by mogła kogokolwiek zainteresować.

– Przez lata mieszkańcy na tej trasie organizowali sobie dojazdy w „szarej strefie” – tłumaczy Trammer. – Umawiali się przez grupy na Facebooku z kierowcami, płacąc za miejsce w aucie. Te przejazdy nie były rejestrowane, nie istniały w żadnych statystykach, zaspokajały jednak realną potrzebę mobilności. To, jak była duża, pokazały wznowione połączenia. Na reaktywowanej po 24 latach linii do Ostrołęki składy są wypełnione. I to mimo faktu, że dziennie są tylko dwa połączenia i to w dość przypadkowych godzinach.

Polacy chcą więc jeździć pociągami. Oprócz Ostrołęki, pokazują to np. rosnące statystyki na linii Jasło–Zagórz. Choć pociągi PKP Intercity kursują tam tylko dwa razy dziennie, często brakuje w nich miejsc.

Problem w tym, że nie wszędzie mogą. Powód? Ograniczona oferta i niewystarczająca częstotliwość połączeń. Tu już nie chodzi tylko o miejsca, do których ciągle kolej nie dociera. Do wielu miejscowości można – ale pod warunkiem dostosowania całego dnia do rozkładu jazdy. A przy współczesnym stylu życia to już dla wielu bariera nie do przeskoczenia.

Karol Trammer: – Zasada jest prosta: pociągi, które jeżdżą regularnie i często, wypełniają się od razu. Wystarczy spojrzeć na trasę Kraków Główny–Wieliczka Rynek-Kopalnia, gdzie przez większość dnia kursy odbywają się co pół godziny. Efekt? Stabilne wzrosty liczby pasażerów. Tam, gdzie pociąg kursuje raz na kilka godzin – np. z Białegostoku w kierunku Ełku – nie ma mowy o realnej alternatywie dla samochodu.

Kolej jak życie

Nie wystarczy sama reaktywacja połączeń – liczą się też pory odjazdów. PKP chwali się np. modernizacją linii z Poznania do Szczecina. Przed modernizacją ostatni pociąg do stolicy województwa zachodniopomorskiego odjeżdżał z Poznania po 21:30, a teraz – choć czas jazdy

się skrócił – ostatnie pociągi odjeżdżają o 19:46 (InterCity) i 20:31 (droższy ekspres).

– To za wcześnie. Wieczorne czy wczesnoporanne kursy są kluczowe dla dojeżdżających osób pracujących, studiujących, ale też uczestniczących w koncertach czy spektaklach. Brak połączeń wyruszających około dziesiątej wieczór to jeden z głównych powodów, dla których wiele osób wciąż na średnich i długich dystansach wybiera samochód – mówi Trammer. – Kolej, jeśli ma być masowa, musi być dostępna także w tych „skrajnych” godzinach.

Są regiony, które pokazują, jak może wyglądać ambitne podejście do wykorzystania kolei. Województwo dolnośląskie przejmuje nieczynne linie, remontuje je i przywraca do ruchu – co więcej, robi to samodzielnie, budując model zarządzania infrastrukturą równoległy do państwowego. W połowie czerwca pierwszy po blisko ćwierćwieczu pociąg dojechał do Karpacza.

W Podkarpackiem powstała kolej aglomeracyjna – z nowymi przystankami i infrastrukturą dojazdową – choć na razie poprawiła sytuację głównie w okolicach Rzeszowa. Górny Śląsk, mimo gęstej sieci torów, wciąż nie osiągnął poziomu, który byłby godny metropolii. Z Katowic do Gliwic pociągi kursują często – ale już z Katowic do Rybnika tylko raz na godzinę.

Są też przykłady jednoznacznie negatywne. Województwo warmińsko-mazurskie na sztywno określiło liczbę tzw. pociągokilometrów na rok. W efekcie każde nowe połączenie musi być sfinansowane... po likwidacji innego.

Piękne, puste dworce

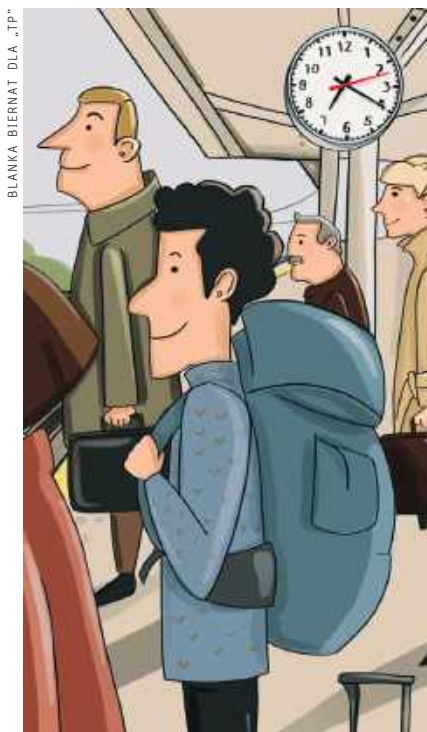
Zmiany na kolei obejmują największy w historii Polski program inwestycji dworcowych. W latach 2016-23 kosztem ponad 3 mld zł zmodernizowano lub zbudowano od nowa prawie 200 obiektów; druga część programu zakłada unowocześnienie 150 dworców. Chodzi o zwiększenie ich dostępności dla osób z ograniczoną możliwością poruszania się oraz o poprawę bezpieczeństwa.

Tempo i skala tych zmian są tak duże, że pytania o sensowność wyburzania starych budynków padają często po czasie. Tak było z głównym dworcem Katowic – kiedyś postrachem dla wszystkich przejeżdżających się tu po zmkroku – którego

brutalistyczną bryłę z charakterystycznymi „kielichami” z betonu można było, zdaniem wielu architektów i miłośników kolei, zachować. Inwestycję prowadzono jednak w przyspieszonym trybie, przed Euro 2012, i pozwolenie na budowę wydał wyjątkowo wojewoda, a nie prezydent miasta.

W Częstochowie, która na początku lat 90. XX w. jako jedyne duże miasto otrzymała nowy, modernistyczny dworzec, wciąż toczy się spór o jego wyburzenie. Jest on za duży, a większość powierzchni handlowych świeci pustkami – ale dla niektórych to już zabytek, świadectwo marzeń o kolorowej nowoczesności z początku przemian. W Trójmieście problem był inny – za dziesiątki milionów odrestaurowano zabytkowy dworzec Gdańsk Główny, lecz także tu były problemy z wynajmem powierzchni komercyjnych.

Problemy, dodajmy, w dużej mierze związane z tym, że zmienił się nasz sposób korzystania z dworców. Jesteśmy na nich krótko, bo podróże są szybsze i bardziej płynne. Z mniejszych stacji znikają kasy, bo większość biletów kupujemy w sieci. Nawet internetowe systemy rezerwacyjne dopuszczają już krótsze niż kiedyś czasy przesiadek – także dlatego z dworców znikają handel i gastronomia, a w mniejszych miejscowościach do zabytkowych budynków samorządy wprowadzają biblioteki i domy kultury.



BLANKA BIERNAT DLA „TP”

Polacy na nowo
nauczyli się
korzystać
z kolei w miejscach,
gdzie ta zaczęła
ich wreszcie dostrzegać.

Miliard w wagonach

Co nas czeka na kolei w najbliższym czasie? Zbliża się – odwołane na skutek lobbingu spółek PKP – otwarcie linii kolejowych dla konkurencji z zagranicy. Ministerstwo Infrastruktury szykuje się do wprowadzenia cyklicznego rozkładu jazdy; chodzi o to, aby na najważniejszych trasach pociągi odchodziły regularnie, o tych samych godzinach. Powoli rozpęda się (okrojony po zmianie władzy jesienią 2023 r.) program inwestycji kolejowych związanych z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego. Oficjalnym celem władz jest osiągnięcie na polskiej sieci kolejowej wyniku 500 milionów pasażerów rocznie.

Karol Trammer: – Jeśli spojrzeć na europejskie standardy, ten cel powinien być dwukrotnie wyższy. Miliard podróży rocznie to poziom, który realnie zbliżyłby nas do Niemiec, które są krajem nieco ponad dwukrotnie ludniejszym od Polski. Tam kolej wozi rocznie ponad 2,5 mld pasażerów, czyli sześć razy więcej niż w Polsce. Żeby ten miliard osiągnąć, potrzebne są trzy rzeczy: reaktywacja linii kolejowych, zagęszczenie rozkładu jazdy i rozbudowa oferty o połączenia wczesnoporanne i późnowieczorne.

Potrzebna jest też zmiana myślenia o kolei. To już nie kosztowny obowiązek, a bardziej: narzędzie społecznej integracji. W wielu miejscach kraju pasażerowie wciąż czekają na swój pociąg.

© MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zaleski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
Monika Białkowska, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
Michał Okoński, Marek Rabiń, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Łamza
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik),
Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredycja: Grażyna Makara (kierownicza),
Katarzyna Bultowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierownicza), Oliwia Świątek,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik),
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierownicza),
Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszynski
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski,
Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabala, Eliza Kačka, Marcin Kędziński, Bartek Kieźun,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Piotr Sikora, Tadeusz Stawek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik,
Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH SWADAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny



PREZYDENT PREZESA, PREZYDENT POLAKÓW

Uczynny, pobożny chłopak, łapiący porwaną przez wiatr hostię:
oto nowa odsłona nieodzownej w naszym modelu prezydentury swojskości.
Większość Polaków po prostu lubiła Dudę, mimo iż rzadko miał odwagę postawić się prezesowi.

JACEK K. SOKOŁOWSKI



OTO NAJCIEKAWSZA – I W PEWNYM sensie arcy-polska – cecha naszego modelu prezydentury: oczekiwania społeczne wobec tego urzędu są nieadekwatne do jego realnej roli w systemie politycznym. Instytucja prezydenta pełniącego funkcję nadzorca parlamentu powstała [patrz: ramka] jako jednorazowa, doraźna konstrukcja mająca chronić interesy PZPR. Później miała wspierać interesy postkomunistów, obawiających się (jak się okazało, niepotrzebnie) uruchomienia po wyborach w 1997 r. dekomunizacji i lustracji przez rząd AWS. Zabiegi te legitymizowano opowieściami o „strażniku konstytucji” i rzekomej ponadpartijności urzędu.

Z chłopca król

Ale lud w te opowieści uwierzył. Nie dlatego, że były tak bardzo przekonujące, tylko dlatego, że ich potrzebował. Społeczna funkcja prezydentury jest bowiem zupełnie inna niż systemowa. Jest nią ucieleśnianie polskiego snu, ten zaś zawiera się w sloganie „z chłopca król”. Ów rys naszej prezydentury zawdzięcza przede wszystkim swojemu momentowi założycielskiemu, którym były pierwsze wybory powszechne w 1990 roku.

Lech Wałęsa wygrał ze Stanem Tymińskim nie dlatego, że był z Solidarności, tylko dlatego, że był lepszą opowieścią o sukcesie człowieka znikąd. I była to opowieść, której wtedy Polacy najbar-

Prezes Jarosław Kaczyński i kandydat PiS na prezydenta RP Andrzej Duda podczas wieczoru wyborczego Prawa i Sprawiedliwości. Warszawa, 16 listopada 2014 r.

dziej potrzebowali. Opowieść o kimś, kto – choć trafił na salony i rozmawiał jak równy z Reaganem i papieżem – pozostaje jednym z nas. I w jakiś sposób wszystkich nas – i nasze sprzeczne pragnienia – symbolicznie wyraża.

W przedziwnym twiście kodów kulturowych postać ta przypomina najbardziej elekcyjnego monarchę Rzeczypospolitej szlacheckiej, którym wszak – teoretycznie – zostać mógł każdy z panów braci. W perfekcyjny sposób pragnienia te zrealizował Aleksander Kwaśniewski, tańczący disco polo i pijący wódkę, a zarazem pozujący do sesji fotograficznych z Jolą w gronostajach.

Z wyjątkiem Lecha Kaczyńskiego, każdy z prezydentów – lepiej czy gorzej – starał się w ten społeczny konstrukt wpisać. Tyle że monarchiczność wymaga bycia ponad wszystkimi (w tym ponad partiami politycznymi) i okazywania tego poprzez siłę. Tego właśnie elementu zabrakło np. Bronisławowi Komorowskiemu, za co też został przez lud ukarany.

Pod żyrandolem

A jak było z odchodzącym właśnie z urzędu Andrzejem Dudą? Jego kandydatura była, co do zasady, twórczym rozwinięciem pomysłu... Donalda Tuska. W 2010 r. to właśnie lider PO zdeprecjonował polską wersję prezydentury w głośnym wywiadzie, określając ją jako „prestiż, żyrandol i weto”, a następnie wystawił jako reprezentanta swojej partii wspomnianego Komorowskiego – osobę lubianą, ale pozbawioną większych ambicji.

Na podobnej zasadzie młody Duda, nie tyle drugo-, co wręcz trzecioligowy polityk z otoczenia Lecha Kaczyńskiego, miał być w zamyśle posłusznym wykonawcą woli prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. I co do zasady był nim (z kilkoma istotnymi wyjątkami), co jednak, inaczej niż u Komorowskiego, nie przeszkodziło mu w reelekcji.

Druga kadencja Dudy była efektem kolejnej zmiany zachodzącej w polskim systemie politycznym: rosnąca polaryzacja zaowocowała wzrostem frekwencji, →

→ a tym samym elektorat partii z wyborów parlamentarnych zaczął w znacznie większym stopniu pokrywać się z elektoratem głosującym na kandydata tejże partii w wyborach prezydenckich. Niezbędny do zwycięstwa, jak to się w żargonie politologów określa, *margin* głosów nie pochodzących od wyborców partyjnych znacznie wówczas zmalał (a do tego w 2020 r. były to w dużej mierze głosy ludzi głoszących nie tyle „za Dudą”, co „przeciwko Trzaskowskiemu”).

Urządzący prezydent zwyciężył w nich nie z powodu entuzjastycznej oceny jego realnych posunięć. Po prostu Prawo i Sprawiedliwość było wtedy – mimo rozpoczynającej się pandemii – wciąż u szczytu popularności. A także dlatego, że Dudzie udało się zmobilizować przeciw konkurentowi około połowy głosów oddanych w pierwszej turze na pozostałych kandydatów. Razem z Trzaskowskim podzielili ich między siebie niemal po równo (z wyjątkiem wyborców Hołowni), ale Duda miał po prostu większy „zapas” głosów partyjnych z I tury (w której otrzymał blisko 8,5 mln głosów, Trzaskowski ledwie niecałe 6 mln).

To nie był Adrian

Do tego zwycięstwa – w mojej ocenie – znacząco przyczyniły się też jednak osobiste cechy urzędującego prezydenta.

Po pierwsze: Duda był lubiany. Co prawda nie przez wszystkich, ale przez wystarczająco wielu. W apogeum popularności cieszył się zaufaniem ponad 70 proc. Polaków i do dzisiaj poziom ten nie spadł poniżej 50 proc. Mimo że wywodził się z inteligenckiego, hermetycznego „Krakówka”, nie był bufonem. Moje pokolenie studentów wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego zapamiętało go jako życzliwego asystenta, pomocnego i łatwo przechodzącego z nami na „ty”.

I w jakimś sensie taki właśnie pozostał. Uczynny, pobożny chłopak, łapiący porwaną przez wiatr hostię. Była to nowa odsłona nieodzownej w polskim modelu prezydentury swojskości, ale w stosunku do wersji Kwaśniewskiego i Komorowskiego zmodernizowana; taka o pokolenie młodsza.

Po drugie: Andrzej Duda, mimo mocno przyklejonego do siebie wizerunku „Adriana” z „Ucha Prezesa”, miał jednak własne poglądy i przekonania. Nie był ich

chyba do końca pewien i nie umiał o nie walczyć, jednak wystarczyły one, by prowokować całkiem poważne tarcia pomiędzy prezydentem a jego własnym obozem politycznym. Któremu – w przeciwieństwie do Komorowskiego – potrafił się w kilku ważnych momentach przeciwstawić.

Przeegrany bój o sądy

Starcia te jednak w większości przegrał. Najbardziej dotkliwie w przypadku sporu o kształt zmian w sądownictwie, zainicjowanych przez Zbigniewa Ziobrę. Ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa i o Sądzie Najwyższym zostały przez Dudę zawetowane w lipcu 2017 r., po to tylko, by po kilku miesiącach zostały ponownie wniesione – w nieznacznie zmienionym kształcie – jako projekty prezydenckie.

W ten sposób zmarnowano gigantyczną szansę, i to w dwóch wymiarach. Możliwe było bowiem przygotowanie w inny sposób projektów zmieniających organizację sądownictwa i zarazem rozbijających kontrolę sprawowaną nad nim przez dotychczasową elitę sędziowską (co było zasadniczym, politycznym

Po co Polsce prezydent?

WYMYŚLONO GO przy Okrągłym Stole: miał być gwarantem, że proces transformacji nie wymknie się spod kontroli, nie doprowadzi do wyjścia Polski z Układu Warszawskiego i nie zagrazi najważniejszym interesom partii komunistycznej. Do których wtedy – w 1989 r. – partia ta zaliczała wciąż utrzymanie się przy władzy.

PLAN jednak szybko okazał się nieaktualny. Powstał niekomunistyczny rząd, a następnie wybuchła „wojna na górze”, której uczestnicy uznali, że o tym, kto ma być w nowej Polsce najważniejszy, zdecydować należy w pojedynku – to znaczy w wyborach bezpośrednich. W ten sposób stołek stracił

generał Wojciech Jaruzelski, a prezydentura po wyborach w 1990 r. wpadła w ręce Lecha Wałęsy, przy okazji uzyskując najmocniejszą możliwą legitymację. Wałęsa nie miał jednak własnej partii i zajął się zwalczaniem wszystkich istniejących.

NIEZALEŻNIE od jego osobowości, przyznać trzeba, że kształt, jaki nadano urzędowi głowy państwa przy Okrągłym Stole, nie nadaje się do prowadzenia jakiegokolwiek innej polityki niż negatywna. Jej wpływ na rząd jest niewielki, podobnie rzecz ma się z możliwościami inicjowania polityki legislacyjnej. Prezydent to po prostu wybierany w wyborach powszechnych nadzorca parlamentu,

w zasadzie wbrew idei trójpodziału władzy (skoro to parlament ma być wyrazicielem woli suwerena).

W POŁOWIE LAT 90. Polska była o krok od wprowadzenia systemu parlamentarno-gabinetowego: przygotowany w II kadencji Sejmu projekt Konstytucji znacząco okroił urząd prezydenta z jego uprawnień, np. pozbawiającego weta. Tyle że w 1995 r. wybory wygrał Aleksander Kwaśniewski, a tracący poparcie postkomuniści zmienili zdanie – w Konstytucji z 1997 r. weto pozostawiono, nieznacznie je tylko osłabiając.

ZWALCZANIE RZĄDU wpisane było jednak w *modus operandi* tego urzędu nie tylko w czasach kohabitacji: pamiętamy przecież „szorstką

przyjaźń” Kwaśniewskiego z Millerem, choć obaj pochodzili z jednego obozu. Niezależnie od walki o rząd dusz w środowisku elity postkomunistycznej, jej podłożem był fakt, że prezydent poza utrudnianiem życia rządowi niewiele może zrobić.

ROZWIĄZANIEM tego problemu okazało się uzależnienie prezydenta od partii. Stworzony w 2001 r. z inicjatywy Ludwika Dorna system ich finansowania z budżetu ustabilizował scenę polityczną w Polsce, ale uniemożliwił wygranie wyborów prezydenckich bez przeprowadzenia kampanii kosztującej 20-30 mln zł. Takimi funduszami w naszych realiach dysponuje tylko partia.

© JACEK K. SOKOŁOWSKI

celem Kaczyńskiego). Czyli w taki sposób, który pozwoliłby zmniejszyć skalę zarzutów o naruszenie norm konstytucyjnych i nie prowadziłby do bezpośredniego, politycznego przejścia przez PiS poszczególnych instytucji.

Gdyby prezydentowi udało się wówczas takie projekty przygotować – i gdyby wytrzymał wywieraną przez własny obóz presję – był on w stanie przyjęcie takich rozwiązań po prostu wymusić. Zyskałaby na tym Polska, ale też – w wymiarze bieżącej gry politycznej – zyskałby ogromnie Andrzej Duda, budując sobie pozycję gracza równorzędnego wobec Jarosława Kaczyńskiego.

Zabrakło mu do tego zapewne determinacji, ale przede wszystkim – zabrakło *know-how*, i to z powodów głównie systemowych: Kancelaria Prezydenta nie dysponuje zasobami intelektualnymi i ludzkimi, pozwalającymi projektować politykę publiczną. Andrzejowi Dudzie nie miał po prostu kto opracować założeń do takich ustaw, gdyż niezbędnym do tego aparatem i wiedzą dysponują tylko ministerstwa. Urząd prezydenta projektowany był wszak do czegoś innego.

Skromna autonomia

Duda zmuszony był więc pójść na ustępstwa wobec Ziobry i Kaczyńskiego, stając się następnie tychże ustępstw zakładnikiem: wypracowanie po październiku 2023 r. jakiegokolwiek kompromisowego rozwiązania w kwestii wymiaru sprawiedliwości okazało się niemożliwe, po części ze względu na nieustępliwość rządzącej koalicji, ale po części również dlatego, że prezydent nie mógł zgodzić się na usunięcie z zawodu żadnych – nawet najbardziej skompromitowanych polityczną dyspozycyjnością – sędziów (przede wszystkim tych z Izby Dyscyplinarnej SN), gdyż sam ich na te stanowiska, na podstawie przez siebie wniesionej ustawy, mianował.

Pozostałe konflikty z partią matką rozgrywał ze zmiennym szczęściem, narzucając swoje zdanie właściwie tylko w trzech przypadkach. Były to: weto do ustawy o Regionalnych Izbach Obrachunkowych (mającej stanowić wstęp do przejścia przez ówczesny rząd kontroli nad finansami samorządów), weto do tzw. Lex TVN oraz weto wobec zmian w ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego.



ADAM CZERNEŃKO / EAST NEWS

Cena, jaką Duda zapłacił za zachowanie dość skromnej autonomii, to pasmo poniżeń w TVP Kurskiego i delegitymizacja w oczach radykalnego skrzydła PiS.

Nienawiści obozu liberalnego to nie zmieniło.

Cena, jaką zapłacił za zachowanie tej dość skromnej autonomii, to pasmo poniżeń w TVP Jacka Kurskiego i delegitymizacja w oczach radykalnego skrzydła PiS; przy nieustannej nienawiści, jaką darzył go i darzy do dziś obóz nazywany liberalnym. Niepowodzenie inicjatywy referendum konstytucyjnego może natomiast zapisać odchodzący prezydent wyłącznie na swoje konto: najważniejszą umiejętnością polityka jest zdolność do dobrania sobie kompetentnych współpracowników. Ktokolwiek wymyślił i z uporem podtrzymał ten nieszczęsny pomysł, zaszkodził Andrzejowi Dudzie. Na jego szczęście, raczej krótkoterminowo, gdyż dzisiaj chyba mało kto pamięta, że ów projekt w ogóle zaistniał. Była to jednak kolejna zmierzona okazja na wzmocnienie pozycji prezydenta wobec partii.

Ukraina plus

Dwie kadencje Dudy nie wpłynęły na kształt polskiej prezydentury, zdeterminowanej przez uwarunkowania systemowe. Nie zmieniły też losów Polski. Gdyby nie wygrał wyborów w 2015 r., to wygrałby je (on lub inny kandydat PiS) w 2020. I tak samo mielibyśmy reformę sądownictwa w ziobrowskiej wersji, tyle że później. Możliwe natomiast, że nie mielibyśmy (lub mielibyśmy dużo później) 500+, gdyż, jak sądzę, prezydent z PO zawetowałby tę ustawę. Motywując to potrzebą ochrony budżetu przed nieodpowiedzialnym rozdawnictwem. Oraz, oczywiście, konstytucją, na straży której musi stać.

Andrzej Duda odegrał natomiast – w mojej ocenie – znaczącą rolę w kreowaniu polskiej polityki wobec zaatakowanej przez Rosję Ukrainy po 24 lutego 2022 r.

Zdecydowane zaangażowanie w pomoc wojskową, dostarczaną od pierwszego dnia wojny, przyczyniło się do obrony ukraińskiej suwerenności i w tym wymiarze zasług prezydentowi odmówić nie można; podobnie jak nie można mu odmówić trafności w doborze współpracowników w tym akurat obszarze (choć, jak przekonuje Jacek Gądek w książce „Duduś”, współpraca między nimi bynajmniej nie przebiegała bezkolizyjnie).

Jednak skuteczność Dudy we wspótkreowaniu sieci międzynarodowych kontaktów i działań na rzecz wspierania Ukrainy była efektem nie czego innego, jak zgodności tej polityki z linią partii. Prezydent mógł skorzystać ze swoich (niezbyt jasnych) uprawnień w polityce zagranicznej przede wszystkim dlatego, że nie rodziło to ryzyka konfliktu z Kaczyńskim. Co, w wymiarze systemowym, po raz kolejny każe postawić pytanie o sens instytucji prezydenta.

Kolejna szansa na odegranie przez osobę zajmującą ten urząd równie pozytywnej roli nie zdarzy się prędko. Przed nami bowiem co najmniej dwa lata koha-bitacji. Która, z powodów systemowych, wyglądać będzie zapewne tak jak wszystkie poprzednie. © JACEK K. SOKOŁOWSKI

Autor jest politologiem i prawnikiem, łączy pracę w kancelarii prawnej z zajęciami w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ.

Autor książki „Transnaród. Polacy w poszukiwaniu politycznej formy”.



Liczenie głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Wrocław, 18 maja 2025 r.

Brońmy urn przed politykami

STEFAN SĘKOWSKI

WYBORY | Powszechne wybory to największa akcja obywatelska w Polsce. Podważając ich wiarygodność, politycy uderzają w legitymację całego państwa. Czy jest na to jakaś recepta?

PO PREZYDENCKIM WYŚCIGU OPADŁ kurz, wygasły oskarżenia o fałszerstwa wyborcze, Karol Nawrocki może spokojnie wprowadzić się do Pałacu. Jednak ziarno niepewności zostało zasiane i pewnie prędzej czy później znowu wykiełkuje, rozsadzając fundamenty naszej demokracji i życia obywatelskiego. Jeśli według sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej” aż 40,1 proc. Polaków uważa, że wybory mogły zostać sfałszowane (przeciwnego zdania jest 45,3 proc.), oznacza to, że mamy poważny problem. Nie tylko nowy prezydent, ale także każda kolejna głowa państwa oraz posłowie, senatorowie i inne osoby sprawujące urzędy oparte na wyborach,

będą działać ze zwichniętym mandatem. Skoro wybory można próbować „przekręcić” raz, i to nawet nie będąc u władzy, to czemu miałyby to być wyjątek?

Tworzenie atmosfery spisku krótkoterminowo może być skuteczne dla utwardzenia elektoratu przez poszczególne ugrupowania polityczne, nawet te dotychczas szczyjące się rzekomą racjonalnością. Na dłuższą metę szkodzi jednak państwu i społeczeństwu obywatelskiemu, które w ostatecznym rozrachunku wybory przeprowadza. Insynuowanie fałszerstw, które mogłyby wpłynąć na demokratyczny wybór Polaków, to bardzo poważne oskarżenie dla wielu spośród prawie trzystu tysięcy współoby-

wateli, którzy w dwie niedziele wyborcze zasiadali w komisjach.

Każdy pilnuje każdego

– Ilekroć słyszę, że wybory zostały sfałszowane, czuję się osobiście dotknięty – mówi „Tygodnikowi” Bogusław Gosz, którego do pracy w lokalu wyborczym w areszcie śledczym w Wejherowie wytypował komitet Rafała Trzaskowskiego. W komisjach zasiada od 20 lat i nie przypomina sobie, by kiedykolwiek spotkał się bezpośrednio z próbą wpłynięcia na wyniki przez komisję. – Na podstawie swoich doświadczeń powiem, że to nie ma prawa się zdarzyć. Atmosfera w komisji jest zazwyczaj bardzo dobra, choć oczywiście zdarzają się spory, zwłaszcza przy ocenie ważności głosów. Istnieje coraz większa świadomość członków komisji, o co toczy się gra. Patrzymy sobie nawzajem na ręce – tłumaczy.

O bezstronności zaświadcza mi także członkini komisji z Lublina, która nie chce zdradzić, jaki komitet ją wystawił. – To nie ma znaczenia. W dniu wyborów wszyscy pracujemy dla państwa – ucina. Podobnie jak Gosz, jest oburzona zarzutami dotyczącymi fałszerstw. Mieszka na swoim osiedlu od 50 lat i zgłosiła się do pracy w komisji na prośbę koleżanek. Jak mówi, to ważne, by zasiadali w nich przedstawiciele lo-

kalnych środowisk. – Jeden pan zdziwił się, że karta wyborcza ma ucięty prawy górny róg. Awanturował się, że jego głos nie zostanie uwzględniony. Powiedziałam mu: „jesteśmy sąsiadami i zapewniam pana, że wszystkie głosy policzymy uczciwie”. Wy tłumaczyłam, że brak rogu jest po to, żeby można było nałożyć specjalną nakładkę dla osób niewidomych. Uspokoił się. Dobrze, gdy w komisjach są osoby znane miejscowym. Sąsiadom ufa się bardziej.

Pożyteczny mit fałszerstw

Rozmawiałem też z innymi osobami pracującymi w tym roku w komisjach. Ich motywy były różne. Są wśród nich osoby, które robiły to dla pieniędzy (za pierwszą turę można było dostać 500 zł, przewodniczący komisji otrzymywał 700 zł); znalazły się też takie, którym zależało, by patrzeć przedstawicielom innych komitetów na ręce. Kolejne chciały zobaczyć, jak to wygląda od środka, przeżyć coś ważnego lub spotkać – hurtowo – dawno niewidzianych sąsiadów. To osoby doświadczone i nowicjusze, reprezentujący komitety prorządowe, opozycyjne albo skierowane do uzupełnienia składów przez urzędy gminy. Trudno mi w nich zobaczyć uczestników ogólnopolskiego spisku – niektórzy politycy oraz ich najzgorzalsi fani to jednak dostrzegli.

Nie pierwszy raz. Podobne podejrzenia to fragment tradycji rozpoczętej w 2014 r. (wcześniej takie zarzuty miały dużo mniejszy kaliber). Wtedy to Jarosław Kaczyński wprost powiedział, że wybory samorządowe zostały sfałszowane, choć zaskakująco wysoki wynik PSL wynikał głównie z umieszczenia jego kandydatów na pierwszej stronie karty do głosowania. Po tej dość niechlujnej, ale jednak uczciwej elekcji działacze pravicowi założyli nawet Ruch Kontroli Wyborów (RKW), który miał pilnować, by kolejne nie zostały „ukradzione”.

Poważne wątpliwości co do formy przeprowadzenia wyborów doprowadziły do pierwotnego odwołania ich – w formie korespondencyjnej – w 2020 r. Z kolei jesienią 2023 r. ówczesna opozycja wysłała do lokali społecznych obserwatorów – dla zabezpieczenia przed potencjalnym fałszerstwem ze strony władzy sprawowanej przez pravicę. Podobnie było przed tegorocznymi wyborami, ale w podejrzeniach przodował już PiS. Zbliżony do partii RKW

organizował szkolenia dla członków komisji, w trakcie których przedstawiał możliwe (i całkiem niemożliwe) metody fałszowania wyników. Rozpuszczano plotki o możliwości wielokrotnego głosowania (dzięki zaświadczeniom umożliwiającym udział w wyborach poza domem), a RKW stworzył nawet aplikację, która miała rzekomo pomagać członkom komisji w weryfikacji tych zaświadczeń. W dniu wyborów narobiły one sporo zamieszania, gdy niektórzy członkowie komisji odmawiali wydania kart po wpisaniu numeru dokumentu tożsamości w ten bezprawny i wadliwy program. Pogłoski o fałszerstwach powtarzali zwłaszcza politycy związani ze Zbigniewem Ziobrą.

Wyglądało to na przygotowywanie wczasu mitu skradzionych prawicy wyborów. Gdy prezydentem został Karol Nawrocki, głosy o rzekomych fałszerstwach natychmiast ucichły. Podniosły się za to po stronie zwolenników Koalicji Obywatelskiej. Co jest o tyle absurdalne, że przecież to ona tworzy rząd, formalnie organizujący wybory.

Dzień członka komisji

Kto i jak w praktyce miałyby je „skręcić”? Komisji wyborczych było w tym roku ponad 28 tys. Zasiadało w nich ponad ćwierć miliona osób, a pierwszeństwo zgłaszania członków miały komitety wyborcze kandydatów. To zapewniało zróżnicowany skład, ale myli się ten, kto sądzi, że sale były pełne działaczy politycznych. Polskie partie nie są zbyt liczne, w związku z czym komisje obsadza się często ludźmi niezaangażowanymi w politykę.

Mniej więcej dwa tygodnie przed wyborami członkowie komisji przechodzą szkolenie i wybierają prezydium. W sobotę przed elekcją oglądają lokal wyborczy, odbierają karty do głosowania, są także przy plombowaniu urny.

W dniu wyborów przychodzą ok. godz. 5, by podstemplować karty do głosowania i otworzyć lokal, który będzie czynny od godz. 6 do 21. To długo, więc dzielą swą pracę na tury, tak żeby nikt nie musiał być na miejscu przez cały dzień i mógł odpocząć w domu – w lokalu musi być zawsze co najmniej połowa członków komisji. Prócz przekazywania wyborcom kart muszą pilnować urny, dbają o porządek, uspokajają krewkich rodaków, zdarza się też, że trzeba komuś pomóc. Wszystko nadzoruje przewodniczący, a w razie wąt-

pliwości dzwoni do okręgowej komisji po wytyczne. O godz. 21 lokal jest zamknięty i nikt nie może do niego wejść, ani z niego wyjść. Otwiera się urnę i kilkakrotnie liczy głosy. Jeśli ktoś zauważy błąd, powtarza się procedurę – wszystko może się skończyć już w połowie nocy, ale też przeciągnąć do południa. Potem informatyk wpisuje do komputera dane, które podaje mu przewodniczący komisji lub jego zastępca. Po wydrukowaniu protokołów (w czterech kopiach) wszyscy muszą się podpisać i mogą iść do domu. Zostaje praca dla przewodniczącego, który zawozi karty i protokoły do siedziby okręgowej komisji wyborczej.

Przepisane z błędem

Wrażliwy moment to liczenie głosów. W sieci krąży filmik pokazujący, jak przeciwnicy Nawrockiego w komisjach mogliby rysować sobie na palcu krzyżyk i odciskać go w kratce przy nazwisku drugiego kandydata, czyniąc cały głos nieważnym. Sfałszowanie w ten sposób poważnej liczby głosów byłoby zadaniem karkołomnym – tym bardziej że nie jest trudno odróżnić krzyżyk narysowany od odbitego. Zresztą, nikt takiego faktu nie zgłosił i nie udowodnił.

Emocje w komisji może wzbudzić decyzja, czy dany głos jest ważny. – W tym roku jeden z głosów sprawdzaliśmy za pomocą zooma w telefonie, aby nikt nie miał wątpliwości, że linie w kratce się przecinają – mówi Gosz, którego zdaniem podobne wątpliwości dotyczą zazwyczaj ledwie kilku przypadków. Gdy się je wyjaśni, wszystkie głosy oddane na kandydatów porównuje się z liczbą ważnych kart do głosowania.

Podczas wyborów prezydenckich w niektórych komisjach głosy oddane na Trzaskowskiego przypisano Nawrockiemu i odwrotnie. Stało się tak najpewniej przypadkowo, na etapie przepisywania danych z brudnopisu do cyfrowego formularza przez informatyka. – Zazwyczaj nie czyta się mu całego protokołu, tylko konkretne liczby. Można się wtedy „machnąć”. System podkreśli błędy, jeśli suma liczb się nie zgadza, jednak nie wychwyci, czy prawdziwe dane wpisaliśmy do odpowiednich rubryk – mówi Maciej Dołbień, który zasiadał w jednej z komisji w Warszawie.

Zwolennicy tezy, że wybory „skręcili dla PiS” przewodniczący komisji wraz

→ z informatykami – uważają, że do przestępstw doszło w komisjach, gdzie była nadreprezentacja ludzi skierowanych tam przez komitety prawicowe. Abstrahując od faktu, że składy w zdecydowanej większości były pluralistyczne, to co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób w skali kraju, w porozumieniu, podejmując ryzyko wpadki (i pozbawienia wolności do lat 5), musiałoby zrobić to tak doskonale, by wiele tysięcy pozostałych członków nic nie zauważyło. – Gdyby tak się stało, wszystkie mafie świata powinny przyjechać do Polski na szkolenie z omerty – uważa prof. Jarosław Flis, socjolog z UJ.

Co można poprawić?

Do fałszerstw nie doszło, ale do błędów na pewno. Teoretycznie protokół powinni dokładnie przeczytać wszyscy podpisujący się pod nim członkowie komisji. Ale różnie z tym bywa. Wiele osób przelatuje tylko liczby wzrokiem albo nie robi tego wcale. Praca członka komisji trwa kilkanaście godzin, a ludzie są zmęczeni i pod presją czasu. – Im szybciej się podpisze protokół, tym krócej przewodniczący będzie czekał w kolejce w okręgowej komisji. A tam można spędzić nawet cztery godziny, zanim odda się protokół i głosy – mówi Gabriel Jędról z jednej z komisji w Nowym Targu.

Inny (anonimowo) przyznaje, że w komisjach pracują różni ludzie. Zwłaszcza wśród tych, którzy przyszli tylko dla pieniędzy, są osoby „nieogarnięte”, które się do tej pracy nie nadają – i nie jest to opinia odosobniona. Tak naprawdę jednak wystarczy, by część komisji miała głowy na karku, a ryzyko błędu będzie minimalne.

Teoretycznie można by przeprowadzić surowszą selekcję. W praktyce, przy wyśrubowanych warunkach, trudno byłoby znaleźć wielu chętnych. A kompetencje zawodowe to nie wszystko. – W komisjach potrzebny jest cały przekrój społeczeństwa. Choćby młodzi i silni mężczyźni, bo czasem trzeba pomóc jakiemuś schorowanemu wyborcy. Z kolei starsi członkowie lepiej tonują ludzką nieufność – mówi członkini komisji z Lublina.

Państwo na łódce

Mimo zastrzeżeń proces przeprowadzania wyborów w Polsce jest transpa-

rentny i godny zaufania (nawet jeśli od lat kwestionuje się bezstronność mediów publicznych). Jest zdecentralizowany i oparty na ogromnym zaangażowaniu uczciwych obywateli. Nawet jeśli ktoś nie ufa Państwowej Komisji Wyborczej, której skład ustalają politycy, na sam koniec może samemu podliczyć publicznie dostępne wyniki częściowe. Słabym punktem systemu jest oczywiście status Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która stwierdza ważność wyborów.

– Przy tak wielkiej skali przedsięwzięcia błędy muszą się pojawić i nie należy ich bagatelizować. Jednak ich skala jest naprawdę minimalna – uważa prof. Flis, współautor opracowania „Fałszerstwa czy fałszywe alarmy? Statystyczna kontrola wyników II tury wyborów prezydenckich 2025”. Wynika z niego, że „choć błędy w liczeniu głosów rzeczywiście się zdarzały – część z nich została potwierdzona przez Sąd Najwyższy – to miały one charakter incydentalny i nie świadczą o istnieniu zorganizowanego fałszerstwa”.

Gabriel Jędról zwraca uwagę na to, że wytyczne PKW powinny być porządniejsze. – O wielu swoich działaniach komisje decydują samodzielnie. Przydałoby się, by sama PKW wskazała, że np. podczas liczenia głosów chowamy długopisy (i wiele komisji tak robi), wykładamy wszystkie karty na złączonych stołach i liczymy wspólnie, jeśli warunki techniczne komisji na to pozwalają, a powinny. Na sali mogłyby być też kamery – mówi.

Bogusław Gosz zauważa również inne „nieprecyzyjności” w wytycznych PKW. – Informatykowi dane do protokołu przekazuje przewodniczący lub jego zastępca w komisji. Zakładając jednak, że każdy jej członek ma prawo być przy tej czynności, to jeśli informatyk siedzi w oddzielnym pomieszczeniu, pozostaje problem pozostawienia kart do głosowania bez nadzoru. To powinno być doprecyzowane – tłumaczy.

Wszyscy moi rozmówcy zwracają uwagę na jedno: potrzebę obrony obywatelskiego charakteru procesu wyborczego, który jest solą demokracji. Obrony przed politykami, którzy dla partyjnych czy wręcz osobistych profitów bujają podczas wyborów łódką całego naszego państwa. © STEFAN SĘKOWSKI



Dozwolone do lat osiemnastu?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

SPOŁECZEŃSTWO | Są dorośli, a sięgają po klocki, kolekcjonerskie figurki, kreskówki. Nie dlatego, że są niedojrzali – po prostu wierzą, że dorosłość nie musi wykluczać dziecięcej radości.

ADAM JEST WYSOKIM, SIWIEJĄCYM mężczyzną, nosi jeansy, sportowe buty i duże słuchawki. Pracuje jako grafik, ma 51 lat, żonę i 9-letnią córkę. Ma również ogromne zamiłowanie do klocków Lego, szczególnie tych z ko-



GOLUBOVY / SHUTTERSTOCK

Zestaw konstruktorski klocków Lego Technic

szczególnie w Japonii, gdzie dziecięca estetyka na dobre przeniknęła do mainstreamu. *Kawaii* (z jap. „słodki”) to nie tylko konkretny styl, ale cała kultura tworzenia i postrzegania świata jako uroczego i bezpiecznego, która pozwala dorosłym świadomie otaczać się „dziecięcą” stylistyką w codziennym życiu. Jej elementy widać wszędzie – w artykułach codziennego użytku (np. w kosmetykach), w przestrzeni publicznej – w tym w pociągach ozdobionych rysunkami z Hello Kitty. Z kolei kultura *otaku* pokazuje, że kolekcjonowanie figurek, komiksów czy gadżetów z *anime* i gier może być czymś więcej niż hobby – to sposób na wyrażenie siebie i budowanie własnej tożsamości, dla której dorosłość nie musi oznaczać porzucenia pasji z dzieciństwa.

Do tego, co oglądamy w Japonii, wciąż nam daleko. Faktem jest jednak wzrost popularności zjawiska w Europie, co dobrze obrazuje raport „Eat Play Love” firmy Circana, zajmującej się badaniami konsumenckimi. Wynika z niego, że *kidults* (firma uznaje za tę grupę nastolatków powyżej 12 lat oraz dorosłych) odpowiadają obecnie za 31 proc. całkowitego przychodu ze sprzedaży zabawek w Europie, generując zysk na poziomie 4,6 mld euro. Dorośli kupujący puzzle, gry, klocki Lego, maskotki czy inne przedmioty kojarzone z dzieciństwem, stali się jedną z najszybciej rosnących grup konsumentów na europejskim rynku, a globalne marki wykorzystują ich zakupowy potencjał, płynnie zonglując dziecięcą estetyką, potrzebami oraz upodobaniami dorosłych klientów. Można się spodziewać, że *kidultsów* będzie z każdym rokiem coraz więcej.

Wewnętrzne dziecko

Piotruś Pan, dzidzia piernik, niebieski ptak. Dorosłe osoby interesujące się zabawkami i dziecięcą estetyką często są oceniane negatywnie, głównie dlatego, że nie wpisują się w społeczne schematy uznawane za normę i miarę tego, jak powinna wyglądać dorosłość. Zarówno Adam, jak i Marta regularnie słyszą, że czegoś im nie wypada. On mierzy się uszczypliwymi komentarzami ze strony teścia, który nazywa go dużym dzieckiem i uważa, że coś z nim jest nie w porządku. Ona słyszy, że jako matka powinna się

lekcji Star Wars (epizody od IV do VII) oraz Funko Pop. Bez wstydu przyznaje, że lubi kreskówki, kolorowanki i lepienie z plasteliny. – W dziecięcą tematykę wszedłem dopiero po narodzinach córki. Okazało się, że zajęcia manualne to moje antidotum na przebodźcowanie, sposób na wyciszenie i chwilę spokoju – mówi.

36-letnia Marta, project managerka w butikowej agencji kreatywnej, na spotkanie przychodzi w błękitnych ogrodniczках i „sneakersach”. Ma sporo tatuaży, a w uszach kolorowe kolczyki z kwiatkami. Jest mamą, ma partnera i własne mieszkanie. Od lat zbiera literaturę fantastyczną, a na specjalnej półce w salonie kolekcjonuje przedmioty związane z Harrym Potterem, które ochoczo dostarczają jej znajomi.

– Tak naprawdę nigdy nie przestałam zbierać tych dziecięcych drobiazgów. Uwielbiam wszystko, co kojarzy się z dzieciństwem, bo mimo dorosłego wieku nie chcę tracić tej radości. Tym bardziej że dzisiejszy świat przytłacza mnie coraz bardziej – opowiada.

Adam i Marta należą do grupy *kidults* (połączenie angielskich słów *kid* – dziecko i *adult* – dorosły), czyli osób, które świadomie sięgają po dziecięcą es-

tetykę, przedmioty i rozrywki. Określenie to po raz pierwszy użyte zostało w latach 50. XX wieku w USA – zostało stworzone przez przemysł filmowy i odnosiło się do dorosłych oglądających programy telewizyjne dla dzieci i młodzieży. W szerszym psychologicznym kontekście użyto go na łamach gazety „The New York Times” w 1985 r. przez Petera Martina, który nadał mu dość pejoratywny wydźwięk – określał nim osoby, które za pomocą zabawek i estetyki dzieciństwa uciekają od odpowiedzialności i trudów dorosłości.

W stronę Japonii

Martyna Harland, psycholożka i wykładowniczka na Uniwersytecie SWPS w Warszawie zauważa, że w ostatnich latach pierwotna definicja nieco się rozmyła, a zjawisko *kidults* stało się wielowymiarowym, silnym trendem społecznym. Jest on widoczny na całym świecie, szczególnie w krajach rozwiniętych. – Zjawisko *kidults* stało się interesujące zarówno dla socjologów i antropologów, jak też dla mediów i branży marketingowej. Widać je również w kulturze, zwłaszcza w produkcjach filmowych – wylicza Harland. Analogiczne trendy już od dziecięcości można obserwować w Azji –

→ inaczej ubierać, inaczej zachowywać, być poważna.

Psycholożka Martyna Harland uważa, że zawsze znajdzie się grono osób, które wszystkim *kidults*om przyrzepi łatkę niedojrzałości i infantylności. Podkreśla jednak, że z perspektywy psychologicznej bawienie się zabawkami czy podejmowanie zajęć stereotypowo uznawanych za dziecięce nie jest niczym szkodliwym i nie musi wcale świadczyć o „dziecinny charakterze”. – Każdy dorosły ma w sobie wewnętrzne dziecko. Jeżeli jesteśmy *kidults*ami, ale nie wypadamy z naszych społecznych ról matki, ojca, partnera czy pracownika, to sięganie i czerpanie z tego, co daje nam bardzo różnorodny świat, jest naprawdę w porządku – zapewnia ekspertka. – Z czysto biologicznego punktu widzenia, obecne we współczesnej kulturze zjawisko *kidults* nie jest niczym nowym – zauważa prof. Tomasz Szlendak, socjolog oraz wykładowca na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. – Człowiek jest zwierzęciem neotenicznym, czyli takim, które tak naprawdę nigdy nie dorasta. Bez względu na wiek ma w sobie skłonność do zabawy, charakterystyczną dla osobników niedorodzonych – wyjaśnia prof. Szlendak i dodaje, że z tej perspektywy bawienie się – które może przybierać różne formy – jest naturalną ludzką aktywnością, obecną aż do późnej starości. Jeśli dorośli ludzie mają czas i zasoby, które chcą przeznaczyć na zakup zabawek, po prostu to robią. Nie ma w tym nic specjalnego.

Z wchodzeniem w dziecięcy świat – jak ze wszystkim – można jednak prze-

sadzić. Martyna Harland tłumaczy, że problem ze zjawiskiem *kidults* pojawia się wtedy, gdy dziecięce pasje zaczynają przesłaniać świat, stają się sensem życia i ucieczką, czasem paniczną, przed dorosłością. Ważne jest znalezienie balansu; nie można bez przerwy żyć w bajkowej Nibylandii. – Gdy zbyt długo siedzimy w tym, co zabawowe, gdy w to wręcz uciekamy, to jednocześnie zamykamy się na to, co trudne i przyziemne, odcinamy pewne emocje. Takie unikanie konfrontacji z prawdziwym życiem nie prowadzi do niczego dobrego – podsumowuje psycholożka.

Chcę się zachwycić światem

Marta pytana o to, dlaczego tak chętnie czerpie z dziecięcej estetyki, mimo że blisko jej do czterdziestki, odpowiada, że absolutnie nie chodzi jej o to, by znów poczuć się małą dziewczynką. – Po prostu nie chcę zapomnieć o tym, jak to jest zachwycić się światem. Czasami na siłę staramy się być dorośli i umyka nam, że bycie dzieckiem, nawet na chwilę, jest fajne – wyjaśnia i dodaje, że dla niej jest to także ucieczka od niepokojącej sytuacji społeczno-politycznej i ogólnie trudnych czasów. – Często czuję się przytłoczona zлыми informacjami i chcę się od nich odciąć – mówi.

Prof. Szlendak wyjaśnia, że tego typu podejście jest naturalne. Przecież każde hobby, czyli poświęcanie czasu czynności, która nie jest niezbędna do przetrwania, stanowi rodzaj eskapizmu, czyli ucieczki od rzeczywistości. Ekspert zwraca przy tym uwagę na ciekawy aspekt socjologiczny, który sprawia, że

współcześni dorośli coraz chętniej sięgają do świata dzieciństwa. – Pokolenie milenialsów długo pozostawało w systemie edukacji, bo proces ich kształcenia trwał nawet do 26. roku życia, a czasem jeszcze dłużej – tłumaczy. – Siłą rzeczy dorastanie milenialsów było więc przeciągnięte, a moment rozpoczęcia pierwszej pracy przypadł znacznie później niż w przypadku starszych pokoleń. Dłużej pozostawali w otoczeniu przedmiotów i estetyki dzieciństwa, dlatego powrót do nich może być formą ucieczki, która pomaga. Stabilizuje psychikę, wypełnia czas, pozwala na chwilę nie myśleć o sobie, o własnych problemach lub o tym, co dzieje się na świecie.

Socjolog wskazuje też na kolejny motor napędzający zjawisko *kidults*, którym są niespełnione dziecięce fantazje współczesnych dorosłych. – Kiedy byli mali, nie było ich stać na wymarzone zabawki, albo nie były one tak powszechnie dostępne. Dziś mają odpowiednio wysokie dochody, by kupić to, co im się podoba i o czym często marzyli jako dzieci – mówi prof. Szlendak.

Mechanizm ten kieruje Adamem, którego dzieciństwo przypadło na przełom lat 70. i 80. – Pochodzę z biednej rodziny, dostawałem jedynie „niedobitki” po starszym bracie, często zniszczone, więc teraz to nadrabiam – opowiada. – Zaczęło się od zabawek dla córki. Odkryłem, że jest ich masa i są bardzo fajne.

Jak tłumaczy Adam, w kwestii zakupów dla siebie jest dość wybredny, wybiera konkretne modele, serie. W tej chwili ma osiem zestawów Lego w pracy, trzy większe w domu i... kolejne trzy

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym,
co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC & MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!



TygodnikPowszechny.pl/newsletter



„w koszyku” w sklepie Lego. Mówi, że w skali roku na swoją pasję wydaje nie więcej niż 1500 złotych, czyli około 125 zł miesięcznie.

Ale pieniądze to nie wszystko. Wpływ na wzrost zjawiska *kidults* ma również dostępny czas. Mimo że liczne badania wskazują na to, iż Polacy są jednym z najbardziej zapracowanych narodów na świecie, to współcześni dorośli wolnego czasu mają dużo więcej niż ich rodzice czy dziadkowie. Wynika to głównie ze zmiany stylu życia. – W pokoleniu milenialsów jest najwięcej osób będących singlami. One nie pozakładały własnych rodzin, w związku z tym szereg obowiązków, które dotykały ich rodziców, gdy ci mieli po dwadzieścia, trzydzieści lat, w ogóle milenialsów nie dotyczy – wyjaśnia prof. Szlendak. Co za tym idzie, coraz większe grono dorosłych może i chce poświęcić czas wolny sobie i swoim pasjom.

Nostalgia na sprzedaż?

Świat nie znosi próżni, nie toleruje jej również branża marketingowa, będąca do pewnego stopnia lustrem rzeczywistości. Nostalgia i tęsknota za dzieciństwem stały się łakomym kąskiem dla ludzi trapiących zawodowo trendy społeczne, a ich firmy konsekwentnie monetyzują potrzebę powrotu do „bezpiecznego świata” przeszłości, kreując w dorosłych chęć posiadania kolejnych przedmiotów, które mają im to umożliwić. Przykłady? Kolekcje ubrań w sieciówkach stylizowane na modę dziecięcego *vintage*, kolorowe breloczki, cukierkowa biżuteria z plastikowych koralików, słuchawki z Hello Kitty, konsole Nintendo Switch, a także kolejne sequele filmów o superbohaterach. Nie zapominajmy również o zestawach Lego tworzonych z myślą o dorosłych, którzy dziś mogą układać np. dom bohatera świątecznego hitu „Kevin sam w domu”, kultową kawiarnię Central Perk z serialu „Przyjaciele”, Sokoła Millennium z „Gwiezdných Wojen” czy statek z filmu „Szczęki”.

Natalia Sochacka, specjalistka ds. marketingu, social mediów i influencer marketingu, zwraca również uwagę na to, że wielki boom na nostalgię i powrót do czasów dzieciństwa nastąpił podczas pandemii Covid-19, kiedy to siedzący w czterech ścianach ludzie zaczęli układać puzzle, grać w gry planszowe i przypomnieli

Milenials dłużej
pozostawali w systemie
edukacji i dłużej dorastali,
później też poszli
do pierwszej pracy.

**Więcej czasu spędzili
w estetyce dzieciństwa.**

sobie o istnieniu klocków Lego. – Świat był wtedy zamknięty, wszyscy mieli dużo więcej czasu, a sięganie po rzeczy, które się znało i które kojarzyły się z dzieciństwem, dawało poczucie bezpieczeństwa w tym trudnym i niepewnym momencie – tłumaczy dodając, że od tamtego czasu trend rośnie w siłę. – Widać, że ludzie szukają tego typu treści, bo one mają bardzo dobre zasięgi, a w kampaniach sprzedażowych coraz częściej wykorzystywana jest nostalgia. Widać ją również w samych treściach stylizowanych np. na analogowe materiały. Są nawet profile na Instagramie czy TikToku, które wyglądają jak żywcem wyjęte ze świata lat 90. i cieszą się popularnością, bo dla wielu osób są powrotem do przeszłości.

Zdaniem Sochackiej na wzrost popularności zjawiska *kidults* wpływają też media społecznościowe, które pokazują, że mimo tego, iż jesteś dorosły, masz prawo kupować zabawki, a nawet nosić to, co uznawane jest za dziecięce. – Skoro ktoś, kogo widzę w internecie, tak robi, ja też mogę – wyjaśnia Sochacka i dodaje, że niestety social media coraz częściej doprowadzają do ogromnej nadkonsumpcji, głównie za sprawą tzw. viralowych produktów. – Jakiś czas temu mieliśmy szal na Sony Angels, czyli lalki-bobaski z zestawem ubranek. Teraz od kilku miesięcy mamy Labubu, a więc małą, dość upiorną maskotkę noszoną jako breloczek, która została wylansowana przez gwiazdy i influencerów. Za chwilę z pewnością pojawi się jeszcze coś innego – przewiduje ekspertka.

Dorosłość inna niż kiedyś

W rozkładaniu *kidults* na czynniki pierwsze nie sposób pominąć aspektu samej dorosłości – tego, jak dziś ona wygląda, z czym się wiąże i jak jest postrzegana. Bo dorosłość – tak jak społeczeństwo, tech-

nologia i gospodarka – mocno ewoluuje, o czym wspomnieliśmy już przy fragmencie o milenialsach.

W przeszłości wchodziło się w nią bardzo wcześnie – czasem jeszcze przed 18. urodzinami, a dziś jej granice mocno się przesuwają. Świetnie obrazuje to raport „Odroczona dorosłość” autorstwa Krzysztofa Kutwy z Polskiego Instytutu Ekonomicznego (opublikowany w grudniu 2023 r.), który pokazuje, jak bardzo na przestrzeni ostatnich 30 lat zmieniło się w Polsce zarówno samo postrzeganie dorosłości, jak i jej przestrzeń czasowa.

Wnioski? Dorosłość rozciągnęła się w czasie, stała się mniej zinstytucjonalizowana i odeszła od schematów. Od 1993 r., zarówno wśród kobiet, jak i wśród mężczyzn – o blisko 5 lat wzrósł wiek zawarcia pierwszego małżeństwa, w górę poszedł także przeciętny wiek kobiet rodzących swoje pierwsze dziecko (w 1991 r. wynosił 23 lata, w 2021 r. – 28 lat), coraz więcej dzieci rodzi się także w związkach pozamałżeńskich (7 proc. w roku 1990 vs. 27 proc. w 2021). Na przestrzeni lat, w dużym stopniu z powodów ekonomicznych, widocznie zwiększył się także odsetek osób dorosłych (w wieku 25-34 lata) mieszkających na stałe z rodzicami – w 2022 r. wyniósł on 51 proc., podczas gdy w 2015 r. było to jeszcze 36,4 proc. Współczesna definicja dorosłości mocno się więc rozmywa i nic dziwnego, że rozmywa się również to, co można uznawać za przejaw dojrzałości, a co za „dziecinne fanaberie”.

– Kiedyś bycie dorosłym wiązało się z posiadaniem rodziny, stałej pracy, mieszkania. Dziś trudno stosować standardy z przeszłości, bo idąc ich tropem mogłoby się okazać, że spore grono 35-latków dorosłymi nie jest. To zaś nie ma nic wspólnego z prawdą. Dlatego myślę, że współczesna dorosłość to po prostu odpowiedzialność. To świadomość i gotowość do ponoszenia konsekwencji swoich działań i wyborów. Moim zdaniem to klucz do tego, by gra zwana życiem nie zmiotła nas z planszy – przekonuje psycholożka Martyna Harland, kiedy pytam ją o współczesne rozumienie „bycia dorosłym”.

Można kupować sobie zabawki i być dorosłym, jedno nie wyklucza drugiego. Tym bardziej że skłonność do bawienia się mamy przecież zapisaną w genach.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

ZUZANNA

Radzik:

Co mi wolno z dzieckiem



DOBRY ZWIAD TO PODSTAWA. NIE WYSTARCY ZWYKŁA ZNAJOMOŚĆ MIASTA. Tu potrzeba zgoła innej wiedzy: która publiczna toaleta jest dostępna z wózkiem, która ma przewijak i jest nieobleśna. Jaka przesiadka jest możliwa bez wysokich krawężników, z której strony stacji

metra są windy i w które drzwi należy wsiąść w różnych modelach pojazdów komunikacji publicznej. Wszystko po to, by z wózkiem zawierającym niemowlę ruszyć w miasto.

Sezon ogórkowy uruchomił temat dzieci w restauracjach i matek karmiących w przestrzeni publicznej. Zaczęło się od restauracji zakazujących wstępu z dziećmi, choć pozwalających na psy. Potem doszły pretensje projektanta mody, który nieprovokowany wyznał „Pudelkowi”, że matki karmiące dzieci piersią w restauracji mocno go przesładują. Jako że od pół roku praktykują karmienie w miejscach publicznych i bywanie w mieście z dzieckiem, dołączę do tej debaty. W końcu teraz mam wiedzę z pierwszej ręki.

Nie miałam jeszcze gotowej strategii karmienia dziecka w miejscach publicznych, gdy trafił się słoneczny, marcowy dzień i w towarzystwie przyjaciółki odwiedzającej służbowo Brukselę odważyłam się pójść z wózkiem do ulubionej piekarni, czyli dalej niż zwykle. Oddalanie się od bazy przychodziło mi powoli, bo wszędzie bruk, a do toalet w tym głównie XIX-wiecznym mieście zwykle wiodą schodki. Tym razem, po długim spacerze, właśnie tam, na placu przed ratuszem gminy Ixelles, niemowlę zażądało jedzenia. Teraz, natychmiast, nie w domu za kwadrans. Więc bez żadnej strategii rozpięłam puchówkę i bluzkę, by bez dyskusji spełnić żądanie. Na ławce pośrodku placu, na którym tłumnie wygrzewali się inni mieszkańcy. Trudno o bardziej publiczny początek.

Wcześniej rozważałam zakrywanie się tetrową pieluszką czy parawanem podsuwanym mi przez internetowe reklamy. Czymkolwiek, co zapewni jakąś intymność. Nie noszę głębokich dekoltów i chęci na publiczne obnażanie się miałam niewiele, ale kiedy pojawiło się dziecko, wszystko okazało się mniej ważne niż głód. I ten jedyny w swoim rodzaju krzyk, który go sygnalizuje. Krzyk, który matce skręca trzewia. Poza tym rozpinanie ubrania jedną ręką wymaga wystarczającej sprawności i nie trzeba do tego dokładać motania nad nami jakiejś tkaniny.

Potem już poszło gładko. Zaliczyłyśmy park i kawiarnię, ławkę w chłodne niedzielne popołudnie, bo mleko w przezornie zabranej butelce było jednak za chłodne, oraz tę pod smaźalnią

frytek na środku placu Flagey. Było karmienie w warszawskiej pierogarni, w parku Krasińskich i w redakcji „Tygodnika” podczas zebrania. W pociągu TLK do Krakowa i w pospiesznym do Paryża. Co robić, alternatywą jest siedzenie w domu.

Czasem myślę, że za samo wyjście z domu należą się matkom medale, a nie kolejna odsłona debaty, co mogą z dzieckiem, a czego nie. A w końcu to nie karmienie jest prawdziwym wyzwaniem wypraw na miasto.

Moją wymarzoną macierzyńską, spacerową wiosnę zepsuł problem dostępności toalet. Nie myślałam wcześniej o nich tak wiele, jak teraz. Ceną, jaką kobiety płacą za posiadanie biologicznych dzieci, jest dewastacja mięśni dna miednicy, więc bliskość i dostępność toalety okazuje się strategicznie ważna. Nie chcieliście tego wiedzieć? Bez tego nie zrozumiecie, jakim torem przeskóń bywa dla nas miasto. Długo analizuję trasę spaceru. Szlag trafił wędrowniki z wózkiem w nieznanie i przed siebie. Muszę wiedzieć, że starówkę Brukseli obstawia toaleta w nowym ratuszu, a ta w lesie jest brudna okrutnie i bez przewijaka.

Kolejnym nowym obiektem moich zainteresowań stały się windy: ich stan techniczny i lokalizacja oraz zasady działania. Bo czy zgadlibyście, że aby z dworca Warszawa Śródmieście wydość się windą, musicie zadzwonić po obsługę, która po was zjedzie? A uwierzycie, że winda do metra na rondzie Daszyńskiego może być dwa dni z rzędu zepsuta? I że potem, gdy jesteście już mocno zmęczeni, zaskoczy was awaria tej na rondzie Dmowskiego? Winda to najwyraźniej bardzo awaryjne urządzenie. I gdzie, do diaska, jest winda na stacji Politechnika? Chyba dokładnie po przeciwnej stronie, a ty się spieszysz, więc wnosisz szczęśliwie dość lekki wózek. Jeden przejazd przez Warszawę, a od razu czujesz go w krzyżu.

Jeszcze tylko rozpędzić się dobrze na pasach przy rondzie de Gaulle’a, żeby pokonać wyboje na torowisku tramwajowym, i już prawie jestem u celu. Strach pomyśleć, co bym zrobiła, pchając wózek z dorosłym lub na nim siedząc. Coraz częściej mówię głośno, niby do dziecka: „No, to chyba projektował ktoś, kto nigdy nie był z wózkiem na mieście”. Czuję się jak testerka wspólnej przestrzeni, która sprawdza, czy faktycznie miasto jest dla wszystkich. Nie jest.

Czasem wydają dziwne dźwięki, cmokam, pohukuję, śpiewam na ulicy. Miny współpasażerów świadczą, że przeszkadzam. A ja tylko próbuję udobruchać dziecko wkurzone np. szarpaniem tramwaju na Grójeckiej. W pociągu zaś bacznie obserwuję irytację towarzyszy podróży, ale na wszelki wypadek układam spokojną odpowiedź: „W tym pociągu są tylko cztery przedziały dla dzieci do lat 6, przykro mi, że przez nieuwagę zrobiła pani rezerwację w jednym z nich”.

Więc gdy już matka, która pokonała te windy, krawężniki i własny wstyd, karmi obok was, pošlijcie jej serdeczny uśmiech. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

LATO WCIAŻ TRWA!

**CZYTAJ TYGODNIK NA PLAŻY,
W GÓRACH, W LESIE.**

SPECJALNA OFERTA! PREZENT DLA PRENUMERATORÓW

Przy zamówieniu nowej lub przedłużeniu obecnej prenumeraty WAKACYJNE WYDANIE SPECJALNE „SZEROKIEJ DROGI” W PREZENCIE*

OFERTA WAŻNA DO 3 WRZEŚNIA

*dla pierwszych 100 osób w wersji papierowej, a dla kolejnych – w cyfrowej (pod warunkiem przekazania kontaktu z adresem e-mail na Bok@TygodnikPowszechny.pl do końca trwania oferty)



SKORZYSTAJ!

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.



ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT® INPOST



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost



DOSTAWA DO DOMU



dowiedz się więcej!

powszech.net/KupTygodnik | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

KOŚCIÓŁ POD TURBOPAPIEŻEM

Wyczerpał się model samopotwierdzającego się Kościoła.
Musi pojawić się nowe.

TOMASZ STAWISZYŃSKI, TOMASZ TERLIKOWSKI

ARTUR SPORNIAK: Głównym przesłaniem książki Tomasza Terlikowskiego „Reformacja 2.0” jest teza, że ratunkiem dla chrześcijaństwa byłaby wizja Kościoła, którą papież Franciszek zdołał nam jedynie naskizować. Pytanie: czy ona będzie po jego śmierci realizowana?

TOMASZ TERLIKOWSKI: Nie znam na to pytanie odpowiedzi. Znajdziemy w wypowiedziach Leona XIV sformułowania przejęte od Franciszka. On zresztą sam jeszcze jako kardynał przyznawał, że wiele się od tego papieża nauczył. Możemy też powiedzieć, że ci, którzy liczą na Piusa XIII, się przeliczą. Ale nie jest tak, że siłą Franciszka było jego nauczanie. Bardziej spójne, intelektualnie konsekwentne i teologicznie głębokie było nauczanie Benedykta XVI i Jana Pawła II. Franciszek był mocny tym, że był trochę nieprzewidywalny. Do końca nie wiedzieliśmy, co wymyśli, co powie i co – czasami naprawiając swoje błędy – zrobi w jakimś lokalnym Kościele. Chile jest tego znakomitym przykładem, gdzie ostre działania papieża były skutkiem jego początkowego zignorowania informacji o pedofilii w chilijskim Kościele.

Leon jest człowiekiem bardziej ułożonym i mniej chętnym performansowi – on raczej będzie nauczał. Pytanie: czy tak dużą instytucję, jaką jest Kościół, da się zmienić samym nauczaniem, bez performansu z jednej strony, a z drugiej –

przepraszam za to wyrażenie, ale Franciszek też taki był – „zamordyzmu”? Pod tym względem charakterystyczne było spotkanie Leona z Papieską Komisją ds. Ochrony Młodzieży. Oni wszyscy czekali, że papież wygłosi do nich jakieś słowo. Nie wygłosił. Spotkał się, atmosfera była dobra, papież zadawał pytania, wysłuchiwał odpowiedzi. Natomiast przemówienia nie było. Może to dobrze...

...a może źle.

TT: Dobrze, że słuchał. Ale dlaczego nic nie powiedział? Czy kontekstem są dochodzące głosy, że Watykan chętnie złagodziłby politykę wobec pedofilii? Nie tylko polski Kościół chciałby to zrobić... Oczywiście nie w sposób otwarty, oznajmiając, że już się tym nie zajmujemy, ale żeby dać trochę spokój tym biednym, skarżącym się biskupom.

To jest jeden znak zapytania. Druga różnica między Leonem a Franciszkiem jest taka, że nowy papież raczej chwali, niż gani. Pierwsze przemówienie Franciszka do Kurii Rzymskiej to był „kotlet siekany”, czyli zestaw grzechów kurialistów. Jeśli Leon dodatkowo będzie podejmował twarde decyzje i sprawnie zarządzał, to może być lepszy pontyfikat od poprzedniego.

I ostatnia rzecz. O tym, jaka jest Franciszka wizja Kościoła, mogliśmy coś powiedzieć na podstawie jego tekstów opublikowanych, zanim został papieżem. Te-

raz dostaliśmy papieża, który – jeśli dobrze poszukamy – udzielił zaledwie kilku wywiadów mediom watykańskim, peruwiańskim i augustiańskim. To nie są wypowiedzi, które ukazywałyby jakąś spójną i głęboką wizję.

Dla mojego pokolenia ważne było to, że Franciszek nie chował się za urzędem, tylko był sobą. Jan Paweł II przyzwyczaił nas, że to jest święty urząd. Patrząc na Leona, mam wrażenie, że to papież, który znowu chowa się za struktury.

TOMASZ STAWISZYŃSKI: Z mojej perspektywy Benedykt XVI był niebywale przenikliwym, subtelnym teologiem, który – czytany dziś – okazuje się bardzo aktualny. Ale jego wysmakowane literacko i myślowo erudycyjne pisma są dla czytelnika wymagające, może dlatego nie oddziałują szeroko. Z kolei Jan Paweł II, czytany dzisiaj, jest dość mocno zakorzeniony w swoim czasie – zwłaszcza w ówczesnym kontekście politycznym zimnej wojny, który na pewnych poziomach dziś znowu się odtwarza. I dlatego do Jana Pawła II także można wracać, ale mam wrażenie, że jednak ten papież w swoich tekstach raczej się od nas oddala, niż przybliża. Natomiast Franciszek wydaje się autorem przystępnym, świadomym kontekstów swojej epoki, posługującym się językiem, którym da się mówić o chrześcijańskim przesłaniu w zro-



Leon XIV na muralu w Rzymie autorstwa TVBoya, czerwiec 2025 r.

zumiały i bliski współczesnym ludziom sposób. Np. w ogłoszonej 10 lat temu encyklice „Laudato si” bardzo przekonująco pokazuje, że troska o klimat i Ziemię jest naszą wspólną sprawą. Podobnie ostatnia jego encyklika „Dilexit nos”, mówiąca o symbolu serca, moim zdaniem bardzo świadomie nawiązuje do wątków współczesnej kultury terapeutycznej. Franciszek bierze elementy tej kultury – emocje, czułość, wymiary wiążące się z bliskimi relacjami – i wskazuje na ich chrześcijańską proveniencję. Pokazuje, że w gruncie rzeczy te wątki – w języku współczesnej

poppsychologii na różne sposoby eksploatowane i spłycone, bo podporządkowane logice rynku – mają swoje głębokie korzenie w tradycji chrześcijańskiej.

Ale zauważyć można również, że Franciszek w pewnym momencie utracił swój początkowy impet. To był papież, z którym wiązano nadzieję, że odpowie na najbardziej palące problemy Kościoła – pedofilię, skandale seksualne, klerikalizm. Czekano na nowe otwarcie, liczone, że tę instytucję, o którą rozbił się subtelny intelektualista Benedykt XVI, Franciszkowi z jego latynoamerykańskim tempera-

mentem uda się przemodelować. W którymś momencie to się wyczerpało. To pytanie właściwie do was: w którym i dlaczego? Być może przyczynił się do tego kontekst polityczny – niezdolność Franciszka do wypowiedzenia się w sposób jednoznaczny w sprawie wojny w Ukrainie, która bardzo zaciążyła na jego wizerunku.

A o Leonie tylko dopowiem, że jest coś bardzo symptomatycznego w tym oczekiwaniu, co on zrobi, co powie, w którą stronę nas poprowadzi – także tych, którzy nie identyfikują się z Kościołem katolickim. Jest to oczekiwanie na kogoś, ↪

→ kto nie posługuje się tylko logiką pieniądza, wielkiego biznesu, polityki i siły, tylko mówi zupełnie z innego poziomu. Bardzo tego dziś wszyscy potrzebujemy.

Owo powszechne oczekiwanie to dobry prognostyk?

TT: Nie jestem tego pewien. Więcej dla destrukcji wcześniejszego modelu Kościoła paradoksalnie zrobił Benedykt XVI niż Franciszek. To temu pierwszemu udało się zdemitologizować papieństwo. Oczywiście Benedykt XVI w swoich późnych tekstach prezentuje bardzo tradycyjną wizję kapłaństwa, celibatu, papieństwa. Ale jego decyzja, by przejść na emeryturę, zachować białą szatę – a nie powinien tego robić, bo jak przestał być papieżem, powinien wrócić do stroju biskupa – zachować pierścień i imię papieskie, to, że wydawał listy (a miał nie wydawać)... to wszystko sprawiło, że w pewnym okresie mieliśmy dwóch papieży: urzędującego i emerytowanego. Jeszcze tego brakowało, żeby Franciszek zrezygnował i moglibyśmy robić ogólnoswiatowe zjazdy papieży.

To chyba dobrze, że papieństwo zostało w końcu zdemitologizowane.

TT: Benedykt zrobił to bez takiej intencji. Na to przyszedł Franciszek, który do owej demitologizacji dołożył nieco słów i teologii. I teraz mamy Leona, który z powrotem trochę chowa się za urząd. I mamy oczekiwania, które są zupełnie „niefranciszkowe”. Bo co powiedział w gruncie rzeczy Franciszek? Jak chcecie zmieniać Kościół, to go zmieniajcie, nie czekajcie, aż papież czy biskupi to zrobią. Nie pokładajcie nadziei w tej strukturze! A my się zastanawiamy, czy Leon zrobi reformę, czy nie zrobi. A jak nie zrobi, to co? Prawda jest taka, że nic. Z perspektywy polskiego Kościoła Franciszek, mający ogromne zasługi w pewnych kwestiach, żadnych zasadniczych problemów w naszym kraju nie rozwiązał. Jego nominacje biskupie w Polsce były dyskusyjne. A nawet te, które miały być nadzieją na zmianę, takimi się nie okazały. Nic się nie zmieniło.

Nasz Kościół bezwładnie toczy się po koleinach.

TT: Nawet jeśli Leon XIV podejmie decyzję, że niczego pilnego nie zmienia, i tak Kościół będzie się zmieniał. Papież od wielu lat jest jakby „turbopapieżem” –



ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Jeśli Leon XIV będzie podejmował twarde decyzje

i sprawnie zarządzał,
to może być lepszy
pontyfikat
od poprzedniego.

jak zauważa konserwatywne środowisko „Christianitas”. To ma uzasadnienie, bo od kilkudziesięciu lat papież jest globalną osobowością, wzbudza powszechne zainteresowanie. To oczywiście ma znaczenie, ale nie wpływa na zarządzanie Kościołem gdzieś na dole. Kościół zmienia się w innych miejscach. Nie zmieni się na pewno linia społeczna Kościoła – Prevost jeszcze jako peruwiański biskup zajmował się pomocą migrantom z Wenezueli i w jego wypowiedziach problem migracji pozostał ważny.

Franciszek jednak dodał nam, świeckim, odwagi. Pokazał możliwości, których nie widzieliśmy. Ale nie wszystko zależy od nas jako jednostek, bo Kościół jest wspólnotą zinstytucjonalizowaną. Przyszłość Kościoła w dużym stopniu zależy od tego, czy reformy będą na górze podtrzymywane, czy wygaszane.

TT: I tego na razie nie wiemy. Tomek Stawiszyński zauważył ciekawą rzecz, że w pewnym momencie Franciszek wytracił dynamizm. Myślę, że kilka razy papież wytracał dynamizm. Gdyby spojrzeć na niego z perspektywy psychologii, można by powiedzieć, że był jezuitą z ADHD – zajmował się czymś do pewnego momentu, a potem odpuszczał. Sądzę, że takim ostatecznym momentem, w którym odpuścił, był synod o synodalności. Papież zdał sobie sprawę, że to się nie udało, po ogólnoswiatowych spotka-

niach w Rzymie. Nie udało się przekonać uczestników tych spotkań, żeby porzucili logikę nieustannego sporu i weszli w logikę – jak mówił – Ducha Świętego, czyli pozwolenie sobie na zawieszenie dawnych sporów po obu stronach – konserwatywnej i reformatorskiej – i przywrócenie się światu i Kościołowi od nowa. Polscy biskupi wracali z synodu i mówili o „dziwnej sytuacji”, bo nie można ze sobą polemizować. Na to skarżył się abp Stanisław Gądecki, ale nie tylko on.

Tomek mówił, że Franciszek niejasno zachował się wobec wojny Rosji z Ukrainą. Możemy też zadać pytanie: jak się zachował Leon XIV wobec wojny Izraela z Iranem i wkroczeniem w nią USA? Gdyby ta wojna była nam tak bliska emocjonalnie, jak w Ukrainie, pewno byśmy się zastanawiali, czy postawa papieża Amerykanina była adekwatna. Niezależnie od tego, że Iranem rządzi paskudny reżim, nie da się ukryć, że z punktu widzenia prawa międzynarodowego i nauki Kościoła o moralnie usprawiedliwionym użyciu siły militarnej atak Izraela był bezprawny.

I jeszcze jedna ważna sprawa. To, co papież robi, oczywiście ma znaczenie. Ale trudno mi sobie wyobrazić, by Leon XIV mógł zatrzymać kilka procesów, które poprzednik uruchomił. Pierwszym z nich jest bardzo wyraźne przeniesienie władzy oceny moralnej ze spowiednika na penitenta.

Na jego sumieniu.

TT: To jest kluczowa rewolucja w myśleniu o moralności u Franciszka. Wcześniej spowiednik mógł decydować, że coś w danym momencie jest mniej istotne, a coś innego bardziej. Teraz to penitent, czyli podmiot moralny, podejmuje decyzję i za nią odpowiada. Franciszkowi doktryna była czasem niewygodna – widać to było w jego wypowiedziach, np. w kwestii komunii dla osób rozwiedzionych w ponownych związkach. Ale on wiedział, że jak zacznie zmieniać nauczanie, to dojdzie do schizmy i Kościół się rozpadnie. Jednak trudno sobie wyobrazić, że teraz Leon XIV powie w tej kwestii: wracamy do tego, co było. Ta rewolucyjna zmiana niestety do Polski jeszcze nie dotarła.

Niezwykłą cechą Franciszka było to, że starał się patrzeć z perspektywy

drugiego człowieka, a nie wyłącznie doktryny. W jednym z pierwszych wywiadów mówił o kobiecie, której rozpadło się nieudane sakramentalne małżeństwo, podczas którego dokonała aborcji. Drugi niesakramentalny związek był bardzo udany, ale ta kobieta z jego powodu nie mogła zostać rozgrzeszona z owej aborcji i bardzo cierpiała. Przypomniałem sobie o tej opowieści, gdy Franciszek w słynnym przypisie adhortacji „Amoris laetitia” wprowadził możliwość pod pewnymi względami dopuszczenia do komunii takich osób. Pozostało nam po Franciszku przekonanie, że z tymi dogmatami coś trzeba zrobić. Tomasz Stawiszyński w swojej ostatniej książce „Powrót fatum” pisze, że dogmaty są ważne, ale...

TS: Zresztą za Ratzingerem i jego znakomitym „Wprowadzeniem w chrześcijaństwo”. Odwołując się do teologii apofatycznej, mówi on, że dogmat jest jakby słupem granicznym wskazującym na rzeczywistość, w zetknięciu z którą rozum rozpoznaje własne ograniczenie. Jego metody i narzędzia okazują się nieadekwatne, a ową rzeczywistość można próbować ujmować tylko w formule paradoksalnej. Dogmaty mają za zadanie ocalenie nieoczywistości, tajemnicy – są zatrzymaniem się w pół kroku przed pokusą rozwiązania jakiegoś paradoksu czy dylematu. W jedną lub drugą stronę.

Przywołałem ten temat w kontekście dzisiaj niepopularnego myślenia o niezbywalnych ograniczeniach ludzkiej natury, które – wydaje mi się – w chrześcijaństwie jest najpełniej obecne. Zwraca ono uwagę na niebezpieczeństwo nadmiernie rozbujających fantazji dotyczących tego, co człowiek może. Dziś słyszymy, że może wszystko. Chrześcijaństwo jednak pozostaje wobec tych fantazji wysoce sceptyczne. Dla mnie właśnie z tym się głównie wiąże mój – nazwijmy to – powrót do tradycji chrześcijańskiej. Poza oczywiście dyskusjami toczonymi już od wielu lat z Tomaszem Terlikowskim – publicznie i prywatnie – bo one na pewno też w jakiś istotny sposób na mnie wpłynęły. Dyskusje te zaczęliśmy jeszcze, jak Tomek był krwiozerczym katotalibem, a ja radykalnym ateistą. Więc dla mnie ważny i ciekawy jest obecny moment, kiedy teraz możemy ze sobą rozmawiać...



KAROL PACIOREK

Dyskutujemy o chrześcijaństwie od czasu, gdy Tomek Terlikowski był jeszcze krwiozerczym katotalibem, a ja radykalnym ateistą.

...będąc w nowym miejscu.

TS: Tak, ale wciąż rozmawiając. Dla mnie powracanie do chrześcijaństwa zaczęło się po książce „Ucieczka od bezradności”. Zastanawiałem się w niej nad pewną cechą współczesnej kultury, którą można określić jako obsesyjną fiksację na doskonałości. W tym się kryje pewnego typu okrucieństwo – jednostronne zorientowanie się na to, co funkcjonalne, efektywne, sprawne, a zarazem systematyczne tracenie z oczu tego wszystkiego, co wiąże się z niezbywalnymi cechami ludzkiej kondycji: z bezradnością, podatnością na zranienia, z przemijaniem, starzeniem się, słabością, śmiercią. Otóż przyglądając się z różnych stron współczesnej kulturze, poniekąd wbrew sobie doszedłem do wniosku, że chrześcijaństwo jest tradycją, w której o ludzkiej słabości i niedoskonałości mówi się otwarcie, świadomie. Przy pomocy głębokiego, rozbudowanego języka, ale i symboli, rytuału. To z kolei umożliwia człowiekowi przechodzenie przez najbardziej dotkliwe, graniczne aspekty doświadczenia, bez wypierania ich, pudrowania. Chrześcijaństwo daje więc odpowiedź na tragizm i skończoność, ale nie polega ona na ich negacji. Współczesna kultura – w duchu swojej bezwzględności – proponuje miraż wiecznej młodości, sprawności i siły, mamiąc nas, że śmierć czy cierpienie to są drobne usterki możliwe do wyeliminowania.

Zwróciłeś uwagę, Arturze, że Franciszek mówił i myślał o chrześcijaństwie

z perspektywy egzystencjalnej i miał kłopoty z perspektywą instytucjonalną. Dla mnie najważniejszą osią książki Tomka Terlikowskiego „Reformacja 2.0” jest właśnie to napięcie, istniejące w Kościele od co najmniej IV wieku. Z jednej strony mamy radykalne przesłanie miłości i nadziei, przełamujące śmierć i będące komunikatem o tym, że nie wszystko stracone w tragicznym położeniu człowieka, w połączeniu z wezwaniem do przemieniającego świat radykalizmu życiowego – do działania i życia wbrew prawom, logikom, pokusom i obietnicom tego świata. Z drugiej strony mamy nabudowaną się instytucję, która sama w sobie była niezwykłym wynalazkiem gwarantującym przekaz przesłania chrześcijańskiego z pokolenia na pokolenie, ale która z czasem stała się potężnym domkniętym systemem. Więc główne pytanie, jakie stawia Tomek, jest takie: jak przezwyciężyć kościołocentryzm?

Wręcz kościelną idolatrię. Skąd jednak tytuł „Reformacja 2.0”?

TT: Chrześcijaństwo nie dotrwałoby do chwili obecnej bez instytucji, która najpierw stworzyła strukturę, żeby móc głosić, uporządkowała kanon Pisma Świętego, zaczęła sprawować sakramenty, stworzyła liturgię, formy modlitewne i pewien model życia. Mam głębokie przekonanie, że jesteśmy w analogicznej sytuacji, co chrześcijaństwo w XVI wieku – pewien model kościelności, myślenia teologicznego i władzy wyczerpał się i to nie dotyczy tylko Kościoła katolickiego czy jego konserwatywnych obszarów. Musi pojawić się nowe.

No właśnie, w Twojej książce zabrakło mi pomysłu, co to ma być.

TT: Bo nie jestem prorokiem i tego nie wiem. © Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

TOMASZ STAWISZYŃSKI jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Ostatnio wydał „Powrót fatum”.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI jest publicystą i filozofem. Ostatnio wydał „Reformacja 2.0”.

Jest to skrócony zapis debaty, która odbyła się w sali Mehofferowskiej Wydawnictwa Literackiego, 26 czerwca 2025 r. w Krakowie.

**MICHAŁ OKOŃSKI,
REDAKTOR WYDANIA**

Czy wiesz, jak działa Twój umysł? Dlaczego myślisz to, co myślisz? Czemu tyle razy zawładnęły Tobą emocje? W nowym wydaniu specjalnym zajmujemy się mocą umysłu, świadomi, że samo zbadanie działania mózgu i zachodzących w nim procesów, w które zaangażowane są miliardy neuronów, nie wystarczy. Trudno zresztą, żeby wystarczyło: dziś debatę o umyśle, świadomości i mózgu napędzają przeciw postępy sztucznej inteligencji. „Stworzyliśmy coś, co potrafi gadać jak człowiek, pisać jak człowiek, programować jak człowiek i komponować jak człowiek. Co nas tak naprawdę odróżnia?” – pisze już w pierwszym tekście Łukasz Lamża.

Na to i inne pytania odpowiadają badacze z różnych dziedzin – neurobiolodzy, kognywiści, psychologowie i psychiatrzy oraz popularyzatorzy nauki. A jak na „Tygodnik” przystało, zostawiamy też miejsce dla duchowości i kultury. Warto się w tym zanurzyć – oto subiektywne rzuty oka na kilka fragmentów.

Głowa mała: 128 stron



ZERA MAJĄ TALENT

MARIA HAWRANEK: Styszałam o badaniach, wedle których dzieci coraz później zaczynają mówić. Jedną z przyczyn ma być nadmierne korzystanie ze smartfonów przez rodziny, które stały się przez to mniej rozmowne – a im mniej dziecko słucha mowy, tym mniej ma okazji do nauki. To mnie zszokowało.

STANISLAS DEHAENE: Trzeba zachować ostrożność, słysząc o takich doniesieniach. We Francji podnoszą się alarmujące głosy na temat „wirtualnego autyzmu” – że dzieci, które nie były autystyczne, stały się takie w wyniku ekspozycji na smartfony i ekrany. To nieprawda. Życie dziecka opiera się na interakcjach społecznych, a jest kilka czynników, któ-

re działają przeciw nim. Jednym jest smartfon, innym – rozmiar rodzin i sposób życia, bo rzadko dzielimy dom z innymi pokoleniami, a kręgi rodzinne są coraz mniej liczne. To bardzo niebezpieczne dla młodego mózgu, który potrzebuje interakcji społecznych.

To zaczyna się bardzo wcześnie – pierwszy rok życia to czas ekstremalnie mocnej potrzeby społecznych interakcji. Byłem wściekły, kiedy dowiedziałem się, że jakaś firma proponuje montowanie tabletów w wózkach dla dzieci, by mogły oglądać ekran. To fatalny pomysł! Mów do swojego dziecka cały czas, ile tylko możesz.

W książce opisuję badanie, w którym porównano naukę chińskiego z żywą osobą i z ekranem. Nauka z ekranem spowodowała... zero nauki, bo aby ta się wydarzyła, potrzebna jest interakcja. Myślę, że to kluczowe, by z takimi informacjami docierać do wszystkich ludzi, bo rodzice często eksponują dzieci na technologię w dobrej wierze.

Czy Pana zdaniem szkoła w dobie sztucznej inteligencji musi wyposażać uczniów w jakiś szczególny rodzaj umiejętności, by mogły się odnaleźć w nowej rzeczywistości?

Właśnie dlatego, że zmierzamy w stronę wysoko technologicznego społeczeństwa, nie powinniśmy zapomnieć o fundamentach. Dzieci bardziej niż kiedykolwiek potrzebują nauczyć się czytać i wykształcić automatyzmy, takie jak np. tabliczkę mnożenia, bo bez tych umiejętności nie mogą nawet zacząć wchodzić w interakcję z technologicznym społeczeństwem. Naprawdę jestem fanem powrotu do podstaw i nie wierzę w to, że bez nich można od razu przeskoczyć do umiejętności XXI wieku.

■ Przeczytaj całą rozmowę na stronach 20–24 „Mocy umysłu”



o tajemnicach umysłu



KOMUNIKACJA NADLUDZKA

U człowieka emocje są bardzo skomplikowanym procesem, zarówno fizycznym, jak i chemicznym. Mamy neuroprzekaźniki i hormony, które się w naszym mózgu wydzielają. Wiemy z całą pewnością, że siatki neuronowe na krzemowych chipsetach nimi nie dysponują, a mimo to te modele zachowują się, jakby emocje odczuwały. Każdy, kto spędził z nimi trochę czasu, wie, że modele te nie tylko bardzo dobrze są w stanie nasze emocje odczytać, ale także są w stanie zachowywać się, jakby tych emocji doświadczały. Baza tego zachowania jest inna, czysto elektryczna.

„Procesy emocjonalne” w sztucznej inteligencji nie są takie same jak u ludzi. Jest to bardzo dobra symulacja. Trzeba jednak zauważyć, że symulacja jest często dużo bardziej potężna niż oryginał.

Ludzkie emocje pomagają nam radzić sobie w życiu, ale mogą też nam przeszkadzać. Czasem człowiek powinien i chce opanować swoją złość, jednak potrzeba czasu na zmianę chemii mózgu i uspokojenie się. Sztuczna inteligencja może natychmiast przejść do dowolnego stanu emocjonalnego, dostosowując się do sytuacji bez biologicznych ograniczeń. Ta elastyczność jest zarówno potężna, jak i potencjalnie niebezpieczna – tak jak socjopaci, sztuczna inteligencja może symulować empatię i inne emocje, aby manipulować innymi.

Wciąż mamy poetów, programistów czy tłumaczy lepszych niż model językowy. Ale nie ma żadnego człowieka, który równocześnie potrafiłby pisać poezję, instrukcję obsługi komputera, programować w Pythonie oraz rozmawiać w 200 językach.

MICHAŁ KOSIŃSKI

- Przeczytaj całą rozmowę Wojciecha Brzezińskiego z prof. Michałem Kosińskim na stronach 45–48 „Mocy umysłu”



I BĄDŹ TU MĄDRY

Nasz gatunek jest wystarczająco bystry, by próbować ją zmierzyć, ale i tak martwimy się o to, że mamy jej za mało. Inteligencja jest pełna paradoksów.

Trudno ją zdefiniować, ale wszyscy potrafimy ją rozpoznać. Człowiek inteligentny wie np., jak się zachować na pierwszym obiedzie z przyszłymi teściami, jest elokwentny, może nawet zabawny, najszybciej wydedukuje, jak przebiega proces produkcji żarówek, korzystając ze swojej szerokiej wiedzy wskaże ewentualne problemy związane z zaproponowanym przez polityków systemem reformy polskiej psychiatrii oraz w mig zrozumie aluzję cici, że pora już się zbierać. No i na pewno odniesie w życiu sukces, cokolwiek miałyby to znaczyć.

Tylko przecież nie tak łatwo znaleźć kogoś, kto w pełni pasuje do tego opisu. Co więcej, na podstawie tak mało precyzyjnych określeń trudno byłoby stwierdzić, czy faktycznie około 68 proc. ludzi jest przeciętnie inteligentnych, a około 2 proc. znacząco się wyróżnia. Tutaj wkracza psychologia z jej testami na inteligencję. Przeprowadzając je, warto jednak pamiętać, że wysokie IQ nie załatwi za nas wszystkiego. Do osiągnięcia geniuszu, prócz predyspozycji biologicznych, potrzebna jest jeszcze wyciężona praca.

KATARZYNA DZIADOWICZ

- Przeczytaj cały tekst na stronach 54–57 „Mocy umysłu”



TYGODNIK Powszechny WYDANIE SPECJALNE „MOC UMYSŁU” dostępne w salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl/moc_umyslu

Weź, czytaj i odkrywaj MOC UMYSŁU

CZESKI ZWROT

Twierdzi, że ma numer telefonu Trumpa,
chce zakończyć pomoc dla Ukrainy i mruga okiem do tych,
którzy chcieliby wyjść z Unii.
Co czeka Czechy, jeśli do władzy wróci Andrej Babiš?

MARTYNA WASIUTA



KONIEC CZESKIEJ INICJATYWY AMUNICYJNEJ, a nawet czexit: to dwie wizje, które mogą stać się realne, jeśli rząd w Pradze utworzy ponownie 70-letni Andrej Babiš, czeski miliarder pochodzenia słowackiego. W minionych dniach zapowiedział, że jeśli wygra jesienne wybory i obejmie władzę, zakończy prestiżową dla Czech pomoc dla Ukrainy. Wśród potencjalnych koalicjantów ANO, partii Babiša, nie brakuje zaś eurosceptyków, postulujących przeprowadzenie referendum o dalszym członkostwie w Unii.

Wszystkie sondaże wskazują dziś na niekwestionowaną przewagę ANO nad resztą ugrupowań.

SZUKAJĄC WIĘKSZOŚCI | Czechi czeka gorąca polityczna jesień: na weekend 3-4 października zaplanowano wybory



MILAN JAROS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

parlamentarne. Do obsadzenia będzie tradycyjnie 200 miejsc w Izbie Poselskiej, która jest odpowiednikiem Sejmu. Ale zanim wykrystalizuje się nowy układ rządzący, może nastać grudzień. O ile w ogóle nie nastąpi pat.

Aby stworzyć w Pradze stabilny rząd, potrzeba co najmniej 101 mandatów poselskich. Może powstać też rząd mniejszościowy, o ile potencjalnemu premierowi uda się przekonać część posłów do tego, aby poparli go choćby tylko w głosowaniu nad wotum zaufania.

Taka sytuacja miała miejsce w 2018 r., gdy komuniści poparli mniejszościowy rząd Babiša, który tworzyły ANO i Partia Socjaldemokratyczna (dziś SOCDEM). Zdarzyło się również i tak, że rząd uzyskał wotum zaufania większością jedynie 73 głosów, gdyż część posłów opuściła salę plenarną na czas głosowania. W ten sposób w 1998 r. władzę uzyskali socjaldemokraci w porozumieniu z pravicową Obywatelską Partią Demokratyczną (ODS).

Babiš prowadzi w sondażach od lat. Założony przez niego ruch ANO wygrywa we wszystkich badaniach: w zależności od sondażu może liczyć na 32-33,5 proc., co przekłada się na ok. 69 mandatów. Do większości potrzebuje więc co najmniej 32 głosów – i zapewne zwróci się do mniejszych partii, bardziej skłonnych do współpracy z nim niż te obecnie rządzące, które można by nazwać „antybabišową koalicją”.

KONTRA BABIŠ | Przypomnijmy, że aktualnie rządzący układ to efekt powyborczego porozumienia pięciu partii, wymierzonego w ANO. Choć w wyborach jesienią 2021 r. ruch ANO uzyskał najwięcej mandatów (72), nie był w stanie znaleźć koalicjanta, który zapewniłby mu brakujące 29 głosów. Chętny może nawet by się znalazł, bo do Izby dostała się jeszcze Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD) Tomia Okamury, Czecha o japońskich korzeniach, jednak zdobyła tylko 20 mandatów.

W tym roku „antybabišowa koalicja” nie może liczyć na powtórkę wyniku sprzed czterech lat. Na Spolu, centro-prawicową koalicję trzech partii pod wodzą premiera Petra Fiali, chce głosować

Andrej Babiš, były oraz być może przyszły premier Czech, przed siedzibą partii ANO. Napis na aucie: „Oddamy wam to, co zabrał wam rząd Fiali”. Praga, październik 2024 r.

19 proc., a na jej koalicjanta, ugrupowanie Burmistrzowie i Niezależni, jedynie 9 proc. Daje to razem ok. 60 mandatów. Nawet gdyby dołączyli do nich Piraci (8 proc. i 17 mandatów), na większość nie mają szans (w 2021 r. Piraci weszli do koalicji rządowej, ale zdążyli już ją opuścić).

PARADA RADYKAŁÓW | Inaczej niż w 2021 r., tym razem Babiš będzie miał z czego wybierać. O ile prezydent Petr Pavel powierzy mu misję utworzenia rządu, to w kolejce do negocjacji staną zapewne radykałowie: wspomniany Okamura (14 proc. poparcia i 30 mandatów), koalicja Stačilo! (Dość!) pod przywództwem Komunistycznej Partii Czech i Moraw oraz Motoristé (Zmotoryzowani).

Ostatnie dwa ugrupowania w zależności od sondażu nieznacznie przekraczają albo są pod progiem wyborczym. Według badania ośrodka Median z końca czerwca oba mogą liczyć na 5,5 proc. oraz po 12 mandatów.

Na razie zapowiada się więc, że to ANO ma większe szanse na znalezienie koalicjantów wśród partii antysystemowych niż Spolu, dla którego współpraca z radykałami nie wchodzi w rachubę.

NIE DLA UKRAINY | Powrót Babiša do władzy może wstrząsnąć polityką zagraniczną Pragi. Pod rządami Fiali zakładała ona zakotwiczenie w Unii Europejskiej i NATO, a także polityczne i militarne wsparcie dla Ukrainy.

Wprawdzie Babiš potępił w 2022 r. agresję Rosji, jednak kandydując wkrótce potem na prezydenta, postawił na rzekomo antywojenną kampanię, strasząc wyborców uwikłaniem Czech w wojnę. Mianował się zwolennikiem pokoju – nie dodając, że pokoju na warunkach rosyjskich. Wielokrotnie wspominał, że jest przeciwnikiem dozbajania Ukrainy.

Ostatnie jego wypowiedzi uderzają już wprost w dalsze losy czeskiego wparcia dla Kijowa. W rozmowie z agencją Reuters zapowiedział, że jeśli wygra jesienią, to jego rząd zakończy słynną czeską inicjatywę amunicyjną. Zdaniem Babiša jest ona „nietransparentna, zbyt droga i zgniła” (cokolwiek to ostatnie słowo miałoby oznaczać), a „pieniądze bardziej są potrzebne naszym ludziom”.

POCZUCIE WSPÓLNOTY | Babiš zapewnia, że ma numer telefonu Donalda Trumpa →

→ i otwarte drzwi w Białym Domu. Liczy też na węgierskiego premiera Viktora Orbána. Mówi, że marzy mu się ich spotkanie w Budapeszcie, na którym wystąpią razem z Trumpem, gdyż – jak twierdzili jeszcze w styczniu politycy ANO – partnerem amerykańskich Republikanów w Unii są Patrioci dla Europy, do których należą Fidesz i ANO. To grupa w Parlamencie Europejskim, utworzona w 2024 r. przez partie narodowe i eurosceptyczne (z Polski należy do niej Ruch Narodowy, współtworzący Konfederację).

Łączą ich bowiem, jak zapewnia Babiš, „podobne stanowiska na kluczowe tematy”. Ta wspólnota poglądów nie przeszkadza jednak Babišowi w polemice z prezydentem USA w kwestii zwiększenia wydatków na obronność do 5 proc. PKB w 2035 r. – dla Czech to scenariusz nierealny.

Co więcej, Babiš zapowiedział, że zerwie umowę podpisaną ze Stanami przez rząd Fiali w 2024 r. na dostawę 24 myśliwców F-35. „Gdyby kazał mi skoczyć z piętego piętra, też bym nie skoczył” – mówił o pomysłach Trumpa na wydatki zbrojeniowe, które padły na czerwcowym szczycie NATO w Hadze.

PRZECIW UNII | Powrót Babiša może oznaczać też zmianę w relacjach z Unią. Jego potencjalni koalicjanci to partie eurosceptyczne, wręcz antyunijne. Pod pretekstem zwiększania demokracji bezpośredniej, Tomio Okamura od lat domaga się referendum w sprawie dalszego członkostwa Czech w Unii. Uważa, że politycy, którzy odmawiają obywatelom prawa do decydowania na drodze referendum o tym, czy chcą być w Unii, sprzeciwiają się demokracji.

Jego partia, SPD, to ruch jawnie ksenofobiczny. Samego Okamurę policja oskarża o mowę nienawiści, której miał dopuścić się, publikując rok temu antyimigranckie plakaty z wizerunkiem ciemnoskórego mężczyzny z zakrwawionym nożem i hasłem „Chirurdzy z importu nie rozwiążą braków w służbie zdrowia”. W lutym Okamura stracił z tego powodu immunitet.

Do przeprowadzenia referendum nawołuje też komunistyczna koalicja Stačilol! – idąc nawet dalej, bo do plebiscytu w sprawie Unii dokładając jeszcze członkostwo w NATO czy Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

Trudno sobie wyobrazić, aby prezydent Petr Pavel

dopuścił do władzy partie postulujące wystąpienie Czech z NATO i Unii.

Z przynależnością do międzynarodowych organizacji komuniści próbują walczyć od lat. Teraz jednak mogą wejść do rządu, szczególnie ze Stačilol! w ostatnich dniach porozumiało się z socjaldemokratami, a w podobnej konfiguracji Babiš już rządził (wówczas do referendum jednak nie doszło; do końca kadencji nie przetrwała też umowa z komunistami, zerwana na pół roku przed wyborami).

ANTYSYSTEMOWCY | Skąd taka presja na referendum ze strony partii antysystemowych? W Czechach na poziomie ogólnokrajowym odbyło się tylko jedno referendum w historii – i było to właśnie głosowanie w sprawie przystąpienia do Unii. Zorganizowano je na mocy specjalnej ustawy konstytucyjnej z 2002 r.

Uniwersalne przepisy w kwestii referendalnej, jak np. w Polsce, na razie w Czechach nie zostały uchwalone. Nie oznacza to, że referenda się nie odbywają. Bynajmniej, odbyło się ich całe mnóstwo, lecz na poziomie regionalnym. Reguluje je ustawa z 2004 r. o referendach lokalnych.

Obawy przed konsekwencjami Zielonego Ładu dla gospodarki czeskiej wykorzystują zaś Zmotoryzowani. Partia ta powstała przed zeszłorocznymi wyborami do Parlamentu Europejskiego i – występując w koalicji z antykorupcyjnym ugrupowaniem Przysięga – wprowadziła do niego dwóch reprezentantów. W tym jej kontrowersyjnego założyciela, byłego kierowcę rajdowego Filipa Turka.

Partia kierowców – bo tak w skrócie można ich opisać – sprzeciwia się unijnemu zakazowi rejestracji aut z silnikami spalinowymi. Jej hasła padły na podatny grunt: największe poparcie uzyskała na obszarach sąsiadujących z fabrykami samochodów.

ZA CZY PRZECIW | Ugrupowania antysystemowe żywią się nastrojami Czechów, którzy uchodzą za jeden z najbardziej eurosceptycznych narodów w Unii. Nie

oznacza to jednak, że chcieliby scenariusza brytyjskiego.

Wprawdzie w zimowej edycji Eurobarometru Czechy znalazły się na ostatnim miejscu wśród państw unijnych, gdy idzie o pozytywną ocenę UE: tylko 32 proc. oceniało ją dobrze (u Słowaków to 41 proc., a w przypadku przodujących Portugalczyków 75 proc.). Jednak z rodzimych badań płyną łagodniejsze wnioski. Tylko 21 proc. chce przeprowadzenia unijnego referendum. Połowa w ogóle go nie chce, a reszta nie ma zdania. Prawie 60 proc. deklaruje, że gdyby takie referendum się odbyło, głosowałoby za pozostaniem w Unii.

Ostatnie badania opinii publicznej pokazały, że Czesi mniej chętnie niż jeszcze pół roku temu opowiadają się za zwiększaniem wydatków na zbrojenia. Ponad 70 proc. deklaruje też, że nie włączyłoby się aktywnie z bronią w rękę do obrony w razie militarnej napaści.

Być może dlatego, że wśród największych zagrożeń dla swojego państwa Czesi nie wskazują na politykę Rosji, wojnę w Ukrainie czy nawet suszę, lecz na islamski fundamentalizm, terroryzm, przestępczość międzynarodową i napływ uchodźców – problemy jak dotąd dość abstrakcyjne w porównaniu do zagrożenia ze strony Rosji, na które wskazują również czeskie służby wywiadowcze.

WYBÓR PREZYDENTA | Perspektywa rządu z udziałem ksenofobów i komunistów budzi obawy także wśród czeskich organizacji pozarządowych. A jedną z kluczowych ról będzie mieć tu do odegrania prezydent Pavel, który – występując po raz pierwszy w tej roli – będzie musiał powierzyć komuś misję tworzenia rządu. Trudno sobie wyobrazić, że ten były generał i szef Komitetu Wojskowego NATO dopuści do władzy ruchy postulujące wystąpienie Czech z Unii i Sojuszu, co, jak podkreśla, byłoby sprzeczne z interesem kraju.

Czechów czeka burzliwa jesień. Po kampanii wyborczej nastanie czas konsultacji partyjnych liderów z prezydentem – i nie można wykluczyć różnych scenariuszy, w tym nawet rozpadu Spolu i wejścia ODS do koalicji Babiša (wtedy już bez Petra Fiali, bo ten raczej by tego nie przetrwał).

Nie ma też pewności, jak zachowa się sam Babiš pod wpływem prezydenta, na którego względu – jak niegdyś u Miloša Zemana, poprzednika Pavla – nie może dziś liczyć. © MARTYNA WASLUTA



FRANCISCO RICHART BARBEIRA / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Młodzi Ukraińcy protestują przeciw korupcji i działaniom prezydenta Zełenskigo. Charków, 23 lipca 2024 r.

Nie milczymy pod ostrzałem

ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA

UKRAINA | Protesty na ulicach ukraińskich miast – pierwsze takie od momentu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji – to dzieło głównie ludzi młodych. Co chcą powiedzieć swoim politykom i światu?

PODPIS WOŁODYMYRA ZEŁENSKIEGO pod ustawą wymierzoną w niezależność instytucji antykorupcyjnych okazał się kroplą, która przelała czarę goryczy. Wprawdzie prezydent szybko zrobił krok do tyłu i złożył w parlamencie projekt nowej ustawy, mający tę niezależność przywrócić, a parlament, w równie szybkim trybie, przegłosował ją w ostatni dzień lipca.

Jednak coś się wydarzyło, coś się skończyło. I coś się, być może, zaczęło.

Autostopem do Charkowa

Czwartek, 24 lipca. Od trzech dni ludzie, zwłaszcza młodzi, wychodzą na ulice wielu ukraińskich miast – jak mówią, w imieniu swoim i swoich znajomych, żołnierzy, którzy już czwarty rok tkwią na froncie.

– Nie wiem, o co z tym wszystkim chodzi. I chłopaki z mojego oddziału też nie – wzrusza ramionami Andrij, żołnierz o zmęczonych oczach. Oczy schował za ciemnymi okularami.

Andrij zgarnął mnie na autostop spod Słowiańska w obwodzie donieckim. I jedziemy, klekoczącym passatem, drogą deokupowaną we wrześniu 2022 r. – najpierw przez północy Donbas, potem przez Charkowszczyznę, wzdłuż wciąż zaminowanych pól, w stronę Charkowa.

Wyjaśniłam mu, że chciałabym pójść na trwające kolejny dzień demonstracje przeciw korupcji i przeciw prezydentowi. Odbywają się we wszystkich większych miastach, nie ominęły także tych przyfrontowych. Chyba jedynie w Chersoniu nie było protestu, ale tam nawet chodzenie ulicą jest ryzykowne – rosyjskie drony nieustannie nadlatują z drugiego brzegu frontowego tutaj Dniepru.

Andrij myślamy nie wychodzi poza swój okop. – My w piechocie nie mamy czasu na myślenie o czymkolwiek innym. →

Korupcja zabija!

→ Charków, 24 lipca po południu. Front jest jakieś 30 kilometrów stąd w kierunku północnym.

Protest, na który przyszło kilkaset osób, koordynuje rosły chłopak w kominiarce moro i z megafonem w ręce. Choć w mieście od miesięcy obowiązuje ze względów bezpieczeństwa zakaz poruszania się w mundurach, wśród zgromadzonych na placu przed Charkowskim Teatrem Opery i Baletu są żołnierze i weterani – rozpoznawalni po militarnych butach, plecakach lub akcesoriach z szewronami.

Trzon zgromadzenia jednak stanowi młodzież. Trzeba się wysilić, żeby dostrzec kogoś po trzydziestce. Jedna z dziewczyn defiluje z kartonem, na którym widnieje napis: „Mój przyjaciel jest na służbie, nie mógł przyjść. Ale prosił, żeby przekazać: najpierw urlopy dla żołnierzy, potem dla deputowanych do Rady Najwyższej!”.

Młody w kominiarce przekazuje megafon okularnikowi w białej koszulce. Ten okazuje się być wojskowym: – Walczyłem właśnie o to, żebyście teraz mogli stać w obronie swoich praw.

W tym tłumie czuć i słycać, że skropiła się tu frustracja ostatnich lat wojny. A także spadające zaufanie wobec rządu i prezydenta, wobec biernej części społeczeństwa zmęczonego wojną. Czuć i słycać, że młodzi wyszli na ulice w imieniu Andrija oraz wszystkich innych żołnierzy, którzy nie mogą zdjąć munduru nawet, jeśli do armii zgłosili się na ochotnika w lutym 2022 r.

Po śródmieściu Charkowa, od placu Teatralnego po Majdan Konstytucji, niesie się krzyk: „Korupcja zabija!”.

Na ch... mi taki system?

Złota godzina. Światło kładzie się miękko na betonowych płytach i ścianach charkowskich gmachów, które tu i ówdzie noszą ślady odłamków. Świeżych i paroletnich.

Tłum zatrzymuje się pod Statuą Niepodległości, która od lutego 2022 r. nie widziała świata zewnętrznego – aż po czubek obłożona jest workami z piaskiem.

Wśród haseł, tych wypisanych własnoręcznie na kartonach i tych skandowanych, królują kawałki kultowej charkowskiej grupy punkowej Żadan i Sobaki. Zwłaszcza fragmenty piosenki „Awtozak” – napisana kilka lat temu w hołdzie białoruskim protestom, jest leitmotivem obecnych demonstracji (tytułowy *awtozak* to określenie samochodu-więziarki).

Notuję napisy z kartonów, wszystko cytaty z songu Serhija Żadana: „Kto zmienia za mnie prawo i porządek?”. „Na chuja mi system, co działa przeciwko mnie?”. „Co za dziwni pasażerowie budują tu sobie piedestały?”.

Nie było innej opcji

– To nie są pierwsze antykorupcyjne protesty, w których biorę udział razem z moimi znajomymi – mówi mi Sonia, z którą spotykam się następnego dnia w kawiarni (w mieście działają kawiarnie, zamiast szyb w oknach wiele ma płytę paździerzową).

Sonia ma 25 lat, ukończyła charkowską Akademię Sztuk Pięknych i nie wybiera sobie, by w jej kraju ogarniętym wojną priorytetem mogłoby być cokolwiek innego niż armia. – Moje pokolenie dorasta w trakcie wojny – notuję. – Dorastamy szybciej, bo warunki wymuszają na człowieku szybsze osiągnięcie dojrzałości. I nabranie politycznej samoświadomości, bo u nas nie da się jej teraz nie mieć.

– Tu po prostu nie było opcji, żeby zamykać oczy na rzeczywistość i mieć nadzieję, że ona nie będzie cię dotyczyć – mówi Sonia. – Kiedy u większości z nas jest choć jedna bliska osoba, brat, siostra, mąż lub kuzyn, na wojnie albo nawet wojna zabrała im już życie, nie jest już tak łatwo nami manipulować. Lub oczekiwać, że będziemy bierni

w pewnych sprawach. Bo one są zbyt bolesne i ważne, żeby być obojętnym. Korupcja, która zabiera środki dla wojska, zabija naszych bliskich.

Starsi widzą to inaczej

Sonia: – Moja mama brała udział w Pomarańczowej Rewolucji w 2004 r., ale już w czasie Majdanu zaczęła nabierać obiektywności. Zraziła się do demonstracji. Mówi, że dla niej wszystkie te zmiany, za którymi się skanduje, to tylko kolejna władza przychodząca w miejsce poprzedniej.

Mimo to poszła na protest razem z córką. Sonia: – Myślę, że mamę przekonała ta szczerza oddolność. Ale wielka część starszego pokolenia widzi to inaczej. Oni już nie wierzą, że wyrażenie sprzeciwu na ulicznej demonstracji może doprowadzić do faktycznej zmiany.

**Czytaj „Tygodnik” ...
bo duchowość
to więcej niż religia**

I dalej: – Myślę, że nasze społeczeństwo jest wciąż bardzo infantylne, podatne na tani populizm. Dopiero uczymy się brać w ręce odpowiedzialność. Jesteśmy skuteczni, gdy chodzi o wyniesienie na widłach choćby jakiejś gwiazdki popu, która kiedyś koncertowała w Moskwie. A mniej uwagi zwraca się na ludzi o równie nieciekawych poglądach lub nieciekawej przeszłości, którzy mają polityczne wpływy. Choćby polityk prezydenckiej partii, Maksym Bużański, znany z jawnego rozprzestrzeniania rosyjskiej propagandy, sam będący do teraz jej ulubieńcem.

Charkowskie dni i noce

Zapada noc. A wraz ze zmrokiem nad Charków nadciągają zza pobliskiej granicy rosyjskie drony i rakiety.

Zresztą nie tylko nocą. Na kilka godzin przed czwartkowym protestem rosyjska bomba lotnicza spada na dzielnicę w północnej części miasta. Rannych zostaje ponad trzydzieści osób, w tym niemowlę.

„Charków jest pod ostrzałem, ale Charków nie może milczeć” – piszą lokalne kanały informacyjne. Przypominają, że w piątek wszyscy widzą się znów w tym samym miejscu. Oraz że w razie alarmu przeciwlotniczego „wszyscy idą do metra”.

Kilkanaście godzin później, już pod jasnym niebem, rosyjska bomba uderza w dzielnicę Industrialną. Niszczy placówkę medyczną i rani czternaście osób.

Kulturnik na przekór wojnie

Sobota, 26 lipca, wieczorem. W przytulnym ogrodzie na tyłach charkowskiego Muzeum Literatury widzę kilka twarzy zapamiętanych z protestu.

Ogród wypełniony jest ludźmi. Po między drzewami rozstawiono biały spiczasty namiot, na gałęziach kołuszają się drobne lampki. Trwa Kulturnik: regularne wydarzenie promujące lokalnych wykonawców muzycznych, organizowane przez stowarzyszenie Kulturnyj Pogljad.

Na scenie pod namiotem słychać i mocniejsze brzmienia charkowskiego rocka, i delikatny głos Soni, która właśnie występuje z repertuarem autorskiej poezji śpiewanej.



ANTONINA PALARCZYK x2

Sonia wystąpiła z repertuarem autorskiej poezji śpiewanej



Wyplatanie siatki maskującej podczas koncertu. Charków, 26 lipca 2025 r.

W okolicznościach takich jak te charkowska młodzież szuka chwili wytchnienia między kolejnymi atakami na miasto. Ale i takie wydarzenia nie są oderwane od wojennej rzeczywistości. Nawet jeśli odbywają się przy dźwiękach gitary i domowej lemoniady. Pięniądze zebrane w trakcie tego bezpłatnego koncertu, a także z licytacji malowanych w czasie koncertu obrazów lokalnej artystki zostaną w całości przekazane na rzecz Ostrych Kartuzów. To oddział specjalnego przeznaczenia, złożony głównie z charkowskich chłopaków.

Siatka dla chłopaków

Gdy koncert trwa w najlepsze, pod jednym z ogrodowych drzew powstaje siatka maskująca, tkana pracowicie palcami kilkorga uczestników z kawałeczków materiału w różnych kolorach.

Lato trwa w najlepsze, drzewa rzucają przyjemny cień. A raptem trzydzieści kilometrów dalej znajduje się linia okopów i trwają walki. Tam przygraniczny las wypalony jest do gołej ziemi, pnie pozbawione liści i igieł, posiekane odłamkami. Chłopakom przyda się siatka.

© ANTONINA PALARCZYK



Punkt dystrybucji pomocy w Strefie Gazy, 30 lipca 2025 r.

EYAD BABA / AFP / EAST NEWS

Oczami Izraelczyków

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

GAZA-IZRAEL | Masakra Hamasu zmieniła także moje życie.

Gdy patrzę, jak Zachód obwinia Izrael za humanitarne skutki tej wojny, zadaję sobie pytanie: czy naród doświadczony Zagładą ma obowiązek wykazać się tu wyjątkową empatią, ignorując własną traumę?

NIE JEST ŁATWO ROZMAWIAĆ O CZARNYCH rozdziałach swojej historii, zwłaszcza gdy dotyczą tak delikatnych tematów jak tożsamość czy system wartości. Polsce kilka dekad po II wojnie światowej zajęło zmierzenie się z problemem antysemityzmu. Kościół katolicki potrzebował wielu skandali, by jakkolwiek zająć się tematem pedofilii. W Izraelu podejrzania o zbrodnie na arabskich cywilach w czasie pierwszej wojny izraelsko-arabskiej publicznie komentowano dopiero kilkadziesiąt lat później.

We wszystkich tych przypadkach, mimo dostępnych dokumentów, wciąż

znajdują się tacy, którzy zaprzeczają ich prawdziwość, powołują się na wyższe racje lub twierdzą nawet, że nie jest możliwe, abyśmy się dopuścili rzeczy tak okrutnych, które nasz system wartości odrzuca. Mówienie źle o swoich jest kalamitem gniazda, a to ociera się przecież o zdradę.

Nie dziwią mnie więc specjalnie medialne reakcje w Izraelu wobec doniesień o głodzie w Gazie i wobec tych głosów ze świata żydowskiego, które nawiązują do natychmiastowego zakończenia wojny.

Doniesienia te komentuje się w Izraelu różnorako: od otwartego potępie-

nia rządu Beniamina Netanjahu i apeli o protesty (po stronie lewicowej), przez kwestionowanie wiarygodności relacji z Gazy aż po przekonanie, że za cierpienie palestyńskiej ludności odpowiada wyłącznie Hamas – wystarczyłoby przecież, by oddał Izraelowi przetrzymywanych od 7 października 2023 r. zakładników (w Gazie jest wciąż 50 zakładników, z czego ponad połowa uznawana jest za martwych).

Na Zachodzie te reakcje budzą z kolei niezrozumienie i gniew. Komentatorzy pytają, jak długo Izraelowi zajmie przyjęcie do wiadomości skali okrucieństwa, jakie niesie ze sobą wojna z Hamasem – i jak ono wpłynie na cały region.

Dla Izraelczyków to wojna obronna

Masakra Hamasu w kibucach na południu Izraela z 7 października 2023 r., w której Hamas zamordował ok. 800 cywilów (zginęło też ok. 400 żołnierzy i policjantów), a ponad 250 osób wziął w niewolę, radykalnie zmieniła także moje życie jako Polki i Izraelki.

Od wybuchu wojny między Izraelem i Hamasem w październiku 2023 r. mieszkam w Polsce – co nie jest bez znaczenia. Fizyczna odległość pozwala mi ochłonąć po stracie bliskich znajomych przetrzymywanych przez Hamas w Strefie Gazy. Pozwala mi też doświadczyć innych emocji i – w końcu – zobaczyć cywilów po drugiej stronie barykady jako ofiary tej wojny. Nie da się tego zrobić, lub jest to bardzo trudne, gdy funkcjonuje się w ciągłym trybie traumy wojennej.

Dla Izraelczyków, którzy od lat żyją w stanie permanentnego konfliktu, którzy doświadczyli brutalnych ataków rakietowych z terytoriów kontrolowanych przez Hamas, traumy masakry z 7 października 2023 r. i wciąż bolesnego faktu przetrzymywania zakładników – uznanie cierpienia drugiej strony jest trudne.

Izraelczycy, przyzwyczajeni do życia w stanie zagrożenia, od początku tej wojny wypełniają swój obywatelski obowiązek – wysyłają swoje dzieci na front i tam też je tracą. Kraj jest w stanie wojny i – dopóki zakładnicy pozostają w rękach Hamasu – jest to dla nich przede wszystkim wojna w samoobronie. Każdy, kto kiedykolwiek znalazł się w takiej sy-

tuacji, wie, jak trudno wówczas o psychiczny balans.

Oczekiwanie nadludzkiego heroizmu – czyli tego, że naród naznaczony Zagładą porzuci w takim momencie instynkt obrony, by ratować cywilów po stronie wroga – to moralna poprzeczka, którą mało kto będzie w stanie przeskoczyć.

Izraelska trauma nie wzięła się znikąd

Kwestia zrozumienia izraelskiej traumy jest tu istotna – bo nikt rozsądny nie wierzy chyba w to, że zniszczenie narodu palestyńskiego było odwieczną izraelską fantazją. Z kolei odwrotne przekonanie – że Palestyńczycy chcą wpechnąć Żydów do morza – na stałe zakorzeniło się w izraelskiej świadomości zbiorowej.

Zresztą nie wzięło się znikąd. W latach 90. XX w. autobusy w Tel Awiwie wybuchaly regularnie. Podczas mojej dekady życia w Izraelu doświadczałam specyficznej rzeczywistości: rakiety Hamasu nad głową, codzienne ataki nożowników, konieczność szukania schronienia w trakcie rodzinnych wyjazdów. Przekonanie, że każda próba porozumienia z Palestyńczykami jest skazana na klęskę – jak choćby wycofanie się premiera Ariela Szarona z osiedli żydowskich w Strefie Gazy w 2005 r., po czym władzę przejął Hamas – wciąż jest tam żywe.

Paradoksalnie towarzyszyło mi też inne, mniej oczywiste doświadczenie: świadomość, że współcześni Izraelczycy są kulturowo bliżsi Palestyńczykom niż swoim dziadkom z Wilna czy Warszawy. Ta kulturowa bliskość zawsze kazała mi patrzeć na ten konflikt – mimo wszystko – jak na wojnę w pewnym sensie bratobójczą.

Również w odpowiedzi na atak Hamasu Izrael postąpił bliskowschodnio, wedle zasady: oko za oko, ząb za ząb. Postawił na ratowanie własnych obywateli z niewoli Hamasu, eliminację przywódców Hamasu i ochronę własnych cywilów.

Ten dramat jest dla mnie sprawą osobistą

Z jakiegoś jednak powodu – może z powodu zachodnich korzeni Izraela? – w Europie oczekujemy od niego, że nastawi drugi policzek. Ze zamiast odwetu skoncentruje się na pomocy humanitar-

„Tygodnik” o Gazie i Izraelu



Jak rozmawiać dziś o Izraelu? Czy pytanie o ludobójstwo w Gazie czyni mnie antysemitą? – zapytał niedawno na tych łamach Michał Okoński („TP” nr 28/2025).

„W kwestii naszego stosunku do Izraela i Gazy jest coś, co powoduje, że ludzie prawi i otwarci, nawykli do uważnego słuchania siebie i innych, z zainteresowaniem przyjmujący odmienne perspektywy, nagle tracą tę umiejętność”.

Z kolei Marek Matusiak, analizując sytuację w Gazie, doszedł do wniosku, że „cel Izraela to zniszczyć palestyńską obecność w Strefie Gazy. Wszelką obecność”. („TP” nr 24/2025). Pisał: „Coraz więcej specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego i badań nad historycznymi ludobójstwami nie ma wątpliwości w nazwaniu tego, czego Izrael dokonuje w Strefie Gazy” – że jest to mianowicie „ludobójstwo wręcz podręcznikowe”. „W gronie tym są także badacze Zagłady Żydów z czasu II wojny światowej”.

Dziś publikujemy głos naszej wieloletniej współpracownicy i korespondentki, autorki licznych tekstów z Izraela: Karolina Przewrocka-Aderet, urodzona w 1987 r. w Krakowie, mieszkała w Izraelu w latach 2014-2023. Redaktorka naczelna polskojęzycznego kwartalnika społeczno-kulturalnego w Izraelu „Kalejdoskop”, wydała książkę „Polanim. Z Polski do Izraela”.

nej, że zrezygnuje z pogoni za członkami Hamasu ukrywającymi się w tunelach pod Gazą i przejmie odpowiedzialność za bezpieczeństwo cywilów po drugiej stronie.

W moim odczuciu takie oczekiwania są efektem nakładania zachodnich ram interpretacyjnych na rzeczywistość, w której nawet podstawowe pojęcia, takie jak wolność, demokracja czy prawa człowieka, mają nieco inne znaczenie.

Konflikt izraelsko-palestyński niesie ze sobą głębokie rany po obu stronach – fizyczne, psychiczne, moralne. Próby jego oceniania wiążą się z niezliczonymi dylematami etycznymi – także dla nas, piszących o nim z dystansu, bez zanurzenia w regionalnej codzienności.

Po niemal dwóch latach tej okrutnej wojny nie potrafię uciszyć mojego smutku – bo ten bliskowschodni dramat jest dla mnie również sprawą osobistą. Boję się o przyszłość Izraela pod rządami Beniamina Netanjahu. Kraj, który przez dekady był symbolem sukcesu gospodarczego i demokracji funkcjonującej pod ciągłym ostrzałem, dziś – w dużej mierze za sprawą jednego człowieka, właśnie Netanjahu – staje się miejscem politycznej radykalizacji, napędzanej pragnieniem odwetu i potęgowanej długotrwałą traumą wojenną.

Czy pokój jest w ogóle możliwy?

Po tej wojnie Izrael już nigdy nie będzie taki sam. W sytuacji, gdy propokojowa lewica przestaje istnieć – zginęła w kibucach zniszczonych przez Hamas, emigruje z obawy przed wojną lub z rozczarowania kierunkiem politycznym, albo po prostu zmienia poglądy – trudno oczekiwać, że w nadchodzących dekadach znaczna część społeczeństwa izraelskiego będzie zainteresowana pokojem.

Dzisiejsze młode pokolenie, realnie i symbolicznie dotknięte przez Hamas podczas festiwalu SuperNova 7 października 2023 r., poniesie to doświadczenie przez całe życie. I będzie pamiętała reakcję świata: oburzenie na izraelskie działania w tej wojnie. Oskarżą świat o antysemityzm. I o to, że Żydom – mimo pamięci o Zagładzie – odmawia się prawa do samoobrony.

Mówią, że czas leczy rany. Ale czy ulechy Bliski Wschód? Ile lat zajmie Izraelowi zrozumienie, że cena tej wojny jest znacznie wyższa niż życie zakładników wciąż przetrzymywanych przez Hamas? Czy Palestyńczycy doczekają się własnej państwowości pod bezpieczną dla regionu, nastawioną na pokój władzą? Nawet jeśli ta wojna skończy się wkrótce – ile lat zajmie odbudowa, refleksja, przebaczenie?

I czy to ostatnie w ogóle będzie możliwe? ©

Tekst ukończono 30 lipca

WIARA

KWANT BOŻEGO KRÓLESTWA

ANDREW BRIGGS, FIZYK KWANTOWY:

Technologie kwantowe mają zbyt wielki potencjał, żeby uciekać od tajemnicy. Podobnie modlitwa – jest zbyt ważna, by ją porzucić tylko dlatego, że jej w pełni nie rozumiemy.

PAWEŁ PUCZKARSKI: Spotykamy się na Northmoor Road. Chyba żadna ulica nie oddaje lepiej ducha Oxfordu.

ANDREW BRIGGS: To wyjątkowe miejsce. Naprzeciwko nas, w ogrodowej szopie przy numerze 27, sir Martin Wood zbudował pierwsze magnesy, które później trafiły do komercyjnych aparatów do rezonansu magnetycznego – wynalazku, który dziś co minutę ratuje komuś życie. Później założył Oxford Instruments – pierwszą oksfordzką firmę notowaną na Londyńskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Kolejnym sąsiadem był sir Roger Bannister, pierwszy człowiek, który przebiegł milę w czasie poniżej czterech minut. Rodzina Tolkienów mieszkała najpierw pod numerem 22, zanim przeprowadziła się obok – do numeru 20, gdzie J.R.R. Tolkien napisał „Hobbita” i większość „Władcy Pierścieni”.

MICHAŁ ŁUCZEWSKI: Kultura, biznes i sport. A nauka?

Tuż po drugiej stronie ulicy swoje ostatnie lata spędził sir Rudolf Peierls, który zrewolucjonizował nasze rozumienie niemal wszystkich zastosowań fizyki kwantowej – od nauki o materiałach po energię jądrową. Pod numerem 12 mieszkał też Erwin Schrödinger, gdy otrzymał Nagrodę Nobla. Później przeprowadził się pod numer 24. To właśnie tutaj powstał jego słynny eksperyment myślowy z kotem, ilustrujący fundamentalne założenie fizyki kwantowej – że obiekty kwantowe mogą istnieć w dwóch stanach jednocześnie. Inspiracją dla tego fikcyjnego kota – zarazem żywego i martwego – był żywy kot Schrödingera. Podobno nazywał się Milton.

PP: Pamiętam twojego kota, Eurypidesa! Twoja miłość do greki przeniknęła nawet do naszych przestrzeni badawczych. Naszą pracownię kwantową nazwałeś *Philoponus* („mitośnik trudu”), a salę seminaryjną – *Phrontisterion* („miejsce do myślenia”). Tak właśnie było!

MŁ: A kim pan jest, panie Briggs?

Ja? Po prostu tu mieszkam. I rozmawiam z sąsiadami.

Splątanie kwantowe, wizualizacja

MŁ: Co jest główną siłą napędową w twoim życiu?

Czysta ciekawość. Fascynują mnie wielkie pytania. Umiejętność życia z nierozwiązanymi wielkimi pytaniami – i jednocześnie zachowanie ciekawości, by je lepiej zrozumieć – to rzecz, której nauczyłem się z czasem. Weźmy fizykę kwantową. Wśród naukowców nadal nie ma zgody co do tego, co dokładnie dzieje się w trakcie pomiaru układu kwantowego. A pomiar to przecież podstawowa rzecz, którą robimy w naukach eksperymentalnych. Czy to oznacza, że jesteśmy intelektualnie nieodpowiedzialni? A teraz przyjrzyj się modlitwie. Myślę, że nawet wśród ludzi, którzy się modlą, nie ma zgody, co dokładnie wtedy się dzieje. Ja sam na to w pełni satysfakcjonującej odpowiedzi. Ale tęsknię za lepszym zrozumieniem. Technologie kwantowe mają zbyt wielki potencjał, żeby uciekać od tajemnicy. Podobnie jest z modlitwą – jest zbyt ważna, by ją porzucić tylko dlatego, że nie rozumiemy jej w pełni.

MŁ: Jak rozumiesz modlitwę?

Modlitwa to budowanie relacji z Bogiem – tak jak rozmowa jest częścią budowania relacji z drugim człowiekiem. Oczywiście, relacje to coś więcej niż rozmowa. Ale jeśli z kimś nie rozmawiasz, coś tracisz.

MŁ: Jak jeszcze doświadczasz relacji z Bogiem?

Sposobów na spotkanie z Bogiem jest wiele. To nasza miłość do Niego i doświadczenie Jego miłości. Bycie dobrym dla ludzi też jest częścią tej relacji z Bogiem.

MŁ: Jak to się dzieje, że naukowiec, który zajmuje się materią, tak otwarcie mówi o duchowości i Bogu?

PP: Przypomina mi się historia, która sięga ponad stu lat wstecz. W 1874 r. James Clerk Maxwell założył Laboratorium Cavendisha w Cambridge. Na drzwiach wejściowych kazał wyryć werset z Psalmu 111 po łacinie: „Magna opera Domini exquisita in omnes voluntates ejus” (Wielkie są dzieła Pana, zgłębiać je mają wszyscy, którzy je mitują).

Maxwell osobiście nadzorował każdy szczegół budowy laboratorium. Był czło-

wiekiem głęboko wierzącym. Mówił, że dla tych, którzy mają naukowy umysł, uprawianie nauki jest wyrazem wiary. Tak właśnie było w jego przypadku.

PP: Przeskoczmy do 1973 r. – jako młody doktorant zaproponowałeś komisji wydziałowej, by nad wejściem do nowego budynku Laboratorium Cavendisha wyryć ten sam cytat, tym razem po angielsku: „The works of the Lord are great, sought out of all them that have pleasure therein”.

Ku zaskoczeniu kierownika wydziału, komisja nie tylko nie odrzuciła mojego śmiałego pomysłu, ale z entuzjazmem go poparła. Minęło kolejne pół wieku, a ten cytat wciąż służy jako motto dla przyszłych pokoleń – sugeruje, że ci, którzy pracują w laboratorium, odkrywają, jak Bóg stworzył świat, a to poszukiwanie jest źródłem głębokiej radości. Jest ogromna radość w zrozumieniu czegoś nowego – czy to dla siebie samego, czy po raz pierwszy w historii ludzkości. Dla tych, którzy mają przywilej pracy naukowej, momenty odkrycia są podwójną radością.

MŁ: Może żeby być szczęśliwym, trzeba zostać profesorem teologii?

Radość odkrywania jest dostępna dla każdego! Nie musisz mieć relacji z Bogiem, by tej radości doświadczyć. Ale jeśli znasz Boga, to dochodzi dodatkowy wymiar – uczysz się o dziełach kogoś, kogo kochasz. Jeśli znasz Stwórcę tych dzieł, odkrywanie, jak działa świat, staje się jeszcze bardziej wyjątkowe.

MŁ: Co zrobić z tą wiedzą?

Jeśli Kościół ma służyć światu, to musi się angażować w świat taki, jaki on jest. Nauka jest darem Boga – zarówno dla wiary, jak i dla misji Kościoła. Na przykład podczas pandemii wiedza naukowa była niezbędna, by chronić zagrożonych ludzi. Z drugiej strony – wiara wnosi mądrość i głos do debaty publicznej.

MŁ: W swojej książce „Odkrywanie nowej mocy” Arthur Brooks pisze, że nasze kariery kończą się znacznie szybciej, niż się spodziewamy – i pyta, jak się do tego przygotować. Ty wyglądasz, jakbyś już to rozgryzł. Odkrywasz „nową moc”.

Arthur to mój przyjaciel. Przemawiał podczas amerykańskiej premiery ↪

→ mojej książki „Human Flourishing” na Harvardzie. I jak pewnie zauważyliście, coraz więcej mówi o roli wiary w ludzkim szczęściu.

Mł: Uderza mnie jego otwarte świadectwo wiary. W swojej pracy przeżywa coś w rodzaju duchowego nawrócenia. Dla niego ludzkie spełnienie zaczyna się od sensownej pracy, przyjaźni, rodziny – i przede wszystkim wiary. A konkretnie – codziennego, chwila po chwili, czerpania ze swojej katolickiej duchowości.

I mówi o tym w sposób absolutnie autentyczny – prosto z serca.

Mł: Myślę, że w twoim życiu dokonuje się podobna przemiana, coś w rodzaju akademickiego nawrócenia, w którym chrześcijańska odnowa spotyka się z greckim ideałem kalokagathii – jedności transcendentaliów.

Przeprowadziliście wywiad z Martinem Seligmanem, który wyróżnia pięć aspektów ludzkiego rozkwitu: Pozytywne emocje, Zaangażowanie, Relacje, Sens i Osiągnięcia. Te elementy rezonują z trzema wymiarami, które definiujemy jako warunki ludzkiego spełnienia. Pierwszy to dobrobyt materialny: żeby rozkwitać, człowiek musi mieć jedzenie, schronienie i opiekę zdrowotną. Drugi to wymiar relacyjny – bo ludzie nie rozkwitają w izolacji. Potrzebujemy współpracy i więzi. A trzeci to transcendencia – bez niej życie staje się duchowo jałowe.

Mł: Czy otwarcie się na Boga zależy od nas? To nasza wolna decyzja?

W książce „It Keeps Me Seeking” mierzyliśmy się z pojęciem wolnej woli – bardzo trudnym do uchwycenia, bo jesteśmy kształtowani przez otoczenie w sposób trudny do zmierzenia. Pojęcie odpowiedzialności jest znacznie bardziej konkretne. Miroslav Volf w „Life Worth Living” wyróżnia trzy aspekty życia godnego: życie, które się udaje (*life going well*), życie, w którym się dobrze czujesz (*life feeling well*), i życie, w którym dobrze działasz (*life doing well*). Odpowiedzialność spina je wszystkie. Jeśli nie jestem właścicielem moich myśli, słów i czynów – to kim jestem? I może właśnie to jest właściwa kolejność: działanie jest wi-



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. ANDREW BRIGGS jest jednym z pionierów w dziedzinie technologii kwantowych; pierwszy profesor katedry nanomateriałów na Uniwersytecie Oksfordzkim. W lipcu prof. Briggs zainaugurował program Oxford Leadership Experience dla 15 wybranych polskich liderów i liderów, który zakończy się w Krakowie w grudniu b.r.

doczne, ale nasze myśli i słowa kształtują rzeczywistość w równie realny sposób.

Mł: To świetna definicja przywództwa – odpowiedzialność za myślenie. A co na to twoja żona, gdy słyszysz o twoich niekończących się obowiązkach, pomysłach, książkach, firmach?

Ciągle pyta: „Kiedy ty w końcu przejdziesz na emeryturę?”.

Mł: A przejdziesz?

Chcę dalej wносить coś do świata, tak długo, jak starczy mi sił i środków. To się oczywiście zmienia z czasem. Gdy zostałem profesorem emerytowanym w Oksfordzie, niektóre możliwości się zmniejszyły – ale inne się otworzyły.

PP: Jeszcze nie wspomnieliśmy, że jesteś autorem książek dla dzieci i licencjonowanym pilotem.

Wiem, że nie przedstawiłem mojego życia w wystarczająco systematyczny sposób. Ale wiesz co? Życie nie jest systematyczne.

Mł: To wyzwalająca myśl.

Gdy robimy wywiady z menedżerami czy aktywistami, przedstawiają wszystko jako perfekcyjnie zaplanowaną historię sukcesu. A prawdziwe historie są pełne przypadku, wolności i opatrności.

Święta racja. Wczoraj miałem spotkanie z inwestorami. I oczywiście – dla nich trzeba to przedstawić tak, jakby wszystko było zaplanowane. Ale życie jest nieliniowe i stochastyczne.

Mł: Panie Profesorze, proszę to rozwinąć!

Podajemy decyzje i podlegamy zdarzeniom, z których każde mogło potoczyć się inaczej. Przypadek jest fundamentalny w teorii kwantowej – gdzie niepewność jest ściśle opisana matematycznie. Coraz częściej dostrzega się rolę przypadku również w innych naukach. Mój sąsiad z Northmoor Road, sir Paul Collier – prawdopodobnie najwybitniejszy ekonomista zajmujący się ubóstwem w Afryce – podkreśla znaczenie losowości w modelach ekonomicznych. Dwóch innych ekonomistów, Mervyn King i John Kay, napisało o tym książkę „Radical Uncertainty”. A potem jest jeszcze nieliniowość – drobne wybory i przypadki potrafią się spiętrzyć w potężne konsekwencje. Skutki bywają zupełnie niewspółmierne do przyczyn. Gdyby nie pewne wydarzenia, jak to, że mama uczyła mnie matematyki, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Czasem zastanawiam się, czy dzisiejsze pokolenie młodych ludzi nie cierpi na nadmiar stresu częściowo dlatego, że oczekuje nie-realnej kontroli nad własnym losem.

Mł: Jak to się ma do wiary?

Tu właśnie wchodzi Opatrzność. To, co tradycyjna duchowość angielska nazywa *Providence* – od tego samego rdzenia co *provide* (zapewniać) – jest, moim zdaniem, kluczem do zrozumienia świata, który jest zarówno stochastyczny, jak i nieliniowy. To zaufanie do Opatrzności, do idei, że możemy nawigować po chaotycznym świecie i mimo to rozkwitać. Popatrz na Ewangelię – gdy Jezus powoływał uczniów, oni podejmowali ryzyko. Mogli się mylić, podążając za kimś, kto mógł okazać się oszustem. Ale podjęli decyzję. Okazało się, że była słuszna.

I myślę, że tak samo jest z naszą decyzją, by iść za Jezusem Chrystusem. Czy mogą się mylić? Chyba tak. Przynajmniej teoretycznie. Bo nie mam absolutnej pewności. Ale wybieram.

Mł: Dlaczego?

Pomyśl o lataniu. Przygotowujesz się jak najlepiej, ale niespodziewane sytuacje zawsze się zdarzają. Nie możesz się wahać, kiedy pilotujesz samolot. Nie możesz po prostu powiedzieć: „Nie podejmę decyzji”. Nie ma takiej opcji. Musisz podjąć decyzję. Starasz się oczywiście, by były bezpieczne i mądre, ale musisz je podjąć.

Tak samo jest w życiu. Myślenie jest dobre. Ale myśl musi prowadzić do działania. Niektórzy mówią, że transferuję moje umiejętności z pilotażu do życia naukowego.

MŁ: Jaki jest twój następny cel podróży?

We wrześniu lecimy na Orkady, gdzie wystąpię na Międzynarodowym Festiwalu Nauki. Jeden wykład będzie o „Obietnicy komputerów kwantowych”, a ostatniego dnia wygłoszę drugi – o *The Penultimate Curiosity* (Przedostatniej ciekawostce). Potem lecę do Dublina, żeby dać jeszcze dwa wykłady na 11. Międzynarodowym Symposium *Dialogue for Global Innovation* na Trinity College. Moje główne przesłanie brzmi: w erze sztucznej inteligencji i komputerów kwantowych technologie powinny ostatecznie służyć ludzkiemu rozkwitowi. A w drodze powrotnej – zatrzymam się w Aberporth, żeby zabrać brata na lunch...

MŁ: A ostateczna destynacja?

Mam nadzieję, że niebo. Wierzę, że to życie nie jest wszystkim. Wierzę w przyszłość z Trójcą – Ojcem, Synem i Duchem Świętym – wolną od bólu i cierpienia. Problem polega na tym, że często zbyt bardzo skupiamy się na „pójściu do nieba”. A myślę, że akcent powinien być odwrotny: niebo przychodzi do nas. Przyjdź Królestwo Twoje! To daje godność temu światu.

MŁ: Jak w naszej rozmowie. Była przedsmakiem niebiańskich godów!

Bardziej przypominała hiszpańskie *tapas*. Raczej małe porcje niż wielką ucztę. Ale kiedy będziecie ją spisywać, zróbcie tak, by wyglądało, jakby wszystko było zaplanowane.

© Rozmawiali MICHAŁ ŁUCZEWSKI
i PAWEŁ PUCZKARSKI

MICHAŁ ŁUCZEWSKI jest psychologiem, przedsiębiorcą akademickim, profesorem socjologii na UW, kierownikiem IDEAS Lab, współzałożycielem LEAD. School of Experiences. Zajmuje się przywództwem i związkami duchowości z rzeczywistością społeczną.

PAWEŁ PUCZKARSKI jest fizykiem i ekspertem ds. Innowacji i Przedsiębiorczości na Uniwersytecie Oksfordzkim.



Giotto „Wesele w Kanie” (fragment), ok. 1304-1305, fresk w kaplicy Scrovegnich w Padwie

Czerwone czy białe

PAWEŁ RAKOWSKI

BIBLIA | Co Jezus pił z uczniami podczas ostatniej wieczerzy? Czy było to takie wino, jakie dziś znamy? Mocne czy bezalkoholowe? Z biblijnym winem wiąże się kilka ciekawych zagadnień. A sam napój ma w natchnionych tekstach biblijnych różne znaczenia.

CZTERY SŁOWA ODNOSZĄ SIĘ W JĘZYKU hebrajskim do wina. Najczęściej występującym jest *jajin* – oznacza napój ze sfermentowanego soku winogronowego, zwykle już rozcieńczony, bo mieszany był z wodą. Na moszcz w początkowym procesie fermentacji lub na młode wino mówiono *tirosz*. Z kolei *sycera* (*szekar*) to napój alkoholowy bardzo mocny (choć niekoniecznie wykonany z soku winogronowego – czasem z miodu i soku z granatu), niemieszany z wodą, stąd jego właściwości odurzające. Dlatego właśnie picie *szekar* było zakazane kapłanom, którzy wchodzili do namiotu spotkania na służbę (Kpł 10, 9). Natomiast na świeżo wyciśnięty, niesfermentowany sok z winogron mówiono *asis*. W języ-

ku greckim wszystkie te trunki określano jednym słowem *oinos*, które oznaczało wino zmieszane z wodą.

Trudne historie z winem w tle

Wino pojawia się w kilku narracjach biblijnych i ma ambiwalentne znaczenie – zarówno pozytywne, jak i negatywne. Zresztą w Biblii znajdziemy więcej takich ambiwalentnych znaczeniowo słów. Jest nim np. woda, bez której nie da się żyć, ale w której można też życie stracić – jak w wodach potopu. Wracając do wina, pierwszy raz wspomniane jest w opowiadaniu o Noem, który po potopie posadził winnicę, następnie upił się wyprodukowanym z niej winem i nagi położył do namiotu. Takim zobaczył go jego syn, →

→ Cham, za co Noe przeklął jego potomka Kanaana (Rdz 9, 20-27).

Trudnych historii z winem w tle jest więcej. Kiedy Lot wyszedł z Soaru i zamieszkał w górach, jego dwie córki upiły go winem, aby spółdzić z nim dzieci (Rdz 19, 30-32). Kolejne opowiadanie wiąże się z zemstą na Amnonie, jakiej dokonał Absalom, jego brat, za to, że zgwałcił ich siostrę, Tamarę. Słudzy Absaloma zabili Amnona, gdy ten był już upojony winem podczas uczyty (2 Sam 13, 28). W podobnych okolicznościach Judyta zabiła Holofernesa, przywódcę toczącego kampanię wojenną przeciwko Izraelowi (Jdt 13, 2-8).

Dobre wino nie jest złe

Z drugiej strony wino buduje wiele pozytywnych metafor. Jest symbolem błogosławieństwa, jak w opowiadaniu o Izaku, który pobłogosławił Jakuba słowami: „Niechaj tobie Bóg użyzcza rosy z niebios i żyźności ziemi, obfitości zboża i moszczu winnego” (Rdz 27, 28). Moszcz winny, obok zboża i oliwy, jest również obietnicą za przestrzeganie nakazów Bożych (Pwt 11, 13-14), a prorok Izajasz pisze: „Gdy znajdzie się dojrzały sok w winnych jagodach, mówią »Nie niszczyć ich, bo to błogosławieństwo«”.

Analogicznie, brak wina jest metaforą kary i Bożego sądu, którą prorok Micheasz wplótł w swoje oskarżenie wobec Izraela za bałwochwalstwo: „będziesz wycisnął moszcz (*tiroosz*), lecz nie będziesz pił wina (*jajin*)” (Mich 6, 15). Podobnie groził ludowi prorok Ozeasz: „Dlatego wróć i zabiorę swoje zboże w odpowiedniej chwili i swój moszcz we właściwej porze” (Oz 2, 11). Dla autora Apokalipsy niezmięszane z wodą wino jest metaforą Bożego gniewu z powodu oddawania czci Bestii (Ap 14, 9-10).

Ile wypito w Kanie Galilejskiej

Jedna z najważniejszych metafor biblijnych, jaką tworzy wino, dotyczy czasów mesjańskich. Wina nie tyle nie mogło zabraknąć na weselu w Kanie Galilejskiej, co na kartach tworzonych Ewangelii, ponieważ ich teksty wskazywały na Jezusa jako Mesjasza, a jako że prorok Amos łączył czasy mesjańskie z obecnością wina (Am 9, 14), obfitość wina w narracjach o Jezusie musiała się pojawić.

Trudno tę obfitość w Kanie policzyć, z pewnością chodziło o kilkaset litrów,



HERITAGE ART / BE&W

„Ślub w Kanie”, autor nieznanym,
ok. 1480-1490

Co pito na Ostatniej Wieczerzy

Wino, obok chleba, zajmuje centralne miejsce w chrześcijańskiej liturgii. Wszystko przez prośbę Jezusa, aby to, co wydarzyło się na ostatniej wieczerzy z uczniami, było przez nich ponownie celebrowane na Jego pamiątkę. Co wtedy wypili? Czy mógł to być napój mocno alkoholowy? Bardzo wątpliwe, ponieważ jak wspomniałem, starożytne *oinos* było mieszaniną przefermentowanego soku z winogron oraz wody. Wino z wodą było mieszane w różnych proporcjach, jeden do dwóch, jeden do trzech, ale mogło być mieszane w jeszcze większych proporcjach, nawet jeden do pięciu. W takim razie należałoby raczej mówić o dodawaniu wina do wody niż wody do wina.

Dlaczego tak robiono? Z praktycznego, ale i bardzo ważnego powodu – dolanie wina do wody sprawiało, że woda stawała się zdalna do picia, wykorzystywano zatem antyseptyczne właściwości alkoholu. Ponadto taki napój nie odurzał tak bardzo jak wino niezmięszane. Tak było nie tylko w kulturze greckiej, ale i judaistycznej. W Talmudzie zachowały się dyskusje roztrząsające, w jakich proporcjach powinno się mieszać sfermentowany sok z winogron z wodą, aby móc nazwać je winem. Za minimalne rozcieńczenie uznano proporcje jednej miary wina do czterech miar wody.

Czy Jezus był abstynentem

Romantyczny byłby to obraz starożytności, gdybyśmy uważali, że wszyscy stosowali się do reguł mieszania wina z wodą. Zakaz spożywania mocnego wina, czyli *szekar*, nie dotyczył jedynie wspomnianych już kapłanów służących w namiocie spotkania (Kpł 10, 9). Podobny przepis obowiązywał tych, którzy złożyli ślub nazireatu (Lb 6, 1-4). Nie inaczej było w czasach tworzenia się wspólnot chrześcijańskich. W liście do Tymoteusza czytamy, że wśród cech, jakimi powinna się odznaczać osoba, która chciała zostać biskupem, jest trzeźwość oraz umiar w picciu wina (1 Tm 3, 2-3a). Bo picie niezmięszanego z wodą wina to nie tylko przypadłość barbarzyńców.

Dolanie wina
sprawiało, że woda
stawała się zdalna do picia.

Wykorzystywano zatem

**antyseptyczne
właściwości alkoholu.**

w zależności od tego, jak wielkie były to stągwie. Czy było to wino od razu zmieszane z wodą? Interpretacja zostaje otwarta. Zakładając, że *oinos* oznaczało już wymieszane z wodą wino, trudno się było nim upić. Gdyby jednak w stągwiach było wino niesfermentowane, które później podawano gościom po zmieszaniu z wodą, to mielibyśmy do czynienia z kilkukrotnie większą ilością napoju – hiperbola obfitości byłaby tu jeszcze bardziej wzmocniona.

W przemianie wody w wino nie chodzi o sam alkohol – czasy mesjańskie nie miały się kojarzyć z odurzeniem, a z mesjańską obfitością, obecną również w innych tego typu metaforach, jak chociażby z wyrośniętym ogromnym drzewem z ziarnka gorczycy, mimo że z niego nie wyrastają drzewa (Łk 13, 18-19), czy zakwaszeniem trzech miar mąki niewielką ilością zakwasu (Łk 13, 20-21). Przy okazji czytania tych tekstów uwidaczniać się może różnica między współczesną europejską i starożytną semicką myślą. Ta pierwsza skupia się na rzeczownikach (bytach), a ta druga na czasownikach, czyli procesach i wydarzeniach. Pierwsza pyta o alkohol, druga o przemianę.

Zwyczajnie spożywania wina zmieniły się na przestrzeni wieków i dziś mało kto wino miesza z wodą. We współczesnych społeczeństwach jednym z wyzwań stał się alkoholizm, z którym próbują sobie poradzić również chrześcijańskie wspólnoty. W XIX wieku w Stanach Zjednoczonych wśród adwentystów, a później innych wyznań chrześcijańskich, rodzi się teoria wspierająca trzeźwy styl życia. Twierdzono, że Jezus użył niesfermentowanego moszczu podczas ostatniej wieczerzy.

Jest to jednak mało prawdopodobne, ponieważ Pascha wypadła na wiosnę, kiedy do zbiorów winogron było jeszcze sporo czasu. Niemożliwe, by w czasach bez lodówek sok z winogron, przechowywany przez jesień i zimę, nie uległ procesowi fermentacji. Jezus z uczniami i (prawdopodobnie) z uczennicami, na ostatniej wieczerzy musiał użyć wina (*jajin* lub *sze-*kar**), a nie moszczu (*tirosz*) czy świeżo wyciśniętego soku z winogron (*asis*). Adwentystyczna teoria o bezalkoholowej wieczerzy o tyle może być bliska prawdy, że wino wtedy było najprawdopodobniej mocno zmieszane z wodą – ilość alkoholu w kielichu musiała być bardzo niewielka.

Życie nad symbolami

Jakiego wina użył Jezus, czerwonego czy białego? Odpowiedź najprostsza jest taka, że teksty Ewangelii nic o tym nie mówią. Jednakże wiele wskazuje na to, że było to wino czerwone, bo takiego używała tradycja żydowska podczas Paschy w nawiązaniu do krwi baranka, którą symbolicznie naznaczone odrzwia ocaliły pierwotnych Hebrajczyków podczas przejścia anioła śmierci przez Egipt.

Mimo tego nawiązania, podczas mszy rzymskokatolickiej używa się wina białego. Choć Kodeks prawa kanonicznego wcale tego nie precyzuje. Dlaczego zatem wybiera się wino białe? Praktyka wygrała nad symboliką – białe wino mniej brudzi biały materiał, którego się używa do wycierania kielicha. Praktykę tę z czasem uzasadniono teologicznie, twierdząc, że białe wino symbolizuje bezkrwawą ofiarę mszy, w odróżnieniu od krwawej ofiary na krzyżu.

© PAWEŁ RAKOWSKI

Gitara zamiast karabinu

STANISŁAW ZASADA

MISJE | Polscy muzycy uczą dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej, jak zapomnieć o wojnie i przemocy.

JAZZ, BLUES, BOSSA NOVA. NA SCENIE kilku czarnych muzyków. Jest saksofon, trąbka, gitara basowa i elektryczna, perkusja. Wokalistka śpiewa jazzowe standardy. W ostatnią sobotę czerwca w parku w Niepołomicach wystąpili uczniowie i absolwenci African Music School z Republiki Środkowoafrykańskiej – pierwszej szkoły muzycznej w tym kraju.

To część ich trasy koncertowej w Polsce. Artyści z Afryki grali i śpiewali także w Krakowie, Rzeszowie, Warszawie, Oleśnicy, Niebylcu, Prudniku, Kępnie, Łodzi.

Szkołę w miasteczku Bouar założył polski misjonarz. Nauczycielami są muzycy z Polski.

Ponad językami

Gitarzysta Krzysztof Gumienny był tam dwa lata. – Bardzo zmieniło to moje życie – mówi. W czasie pobytu poznał swoją żonę: Veronika, Czeszka, w tym samym czasie pracowała nad wprowadzaniem w środkowoafrykańskich szkołach nauki w lokalnym języku sango, obok dotychczasowego francuskiego. Gumienny też musiał nauczyć się sango. Wszystkiego nie opanował, ale potrafił porozumieć się z uczniami. – Na szczęście nie uczyłem filozofii, tylko muzyki – opowiada. – A muzyka jest ponad językami.

Gdy tam pojechał, szkoła zaczynała działalność, nie było jeszcze innych nauczycieli. – Uczyłem ich grać na gitarze i innych instrumentach, miałem nawet zajęcia z wokalu – wspomina.

Z czasem do African Music School zaczęło przyjeżdżać więcej muzyków. Przez dziewięć lat przez szkołę przewinęło się trzydziestu wolontariuszy z Polski. Byli tam m.in. chórmistrzyni Anna Mara, raperzy Label 2115 i Jakub Patecki.

Rok temu pianistka Agata Szlufik wracała pociągiem ze szlaku górskiego w Beskidach i nie wiedziała, co dalej ze

sobą zrobić. Wpadła na pomysł, że wyjedzie na misje – byli tam już wcześniej jej znajomi. W Bouar spędziła ostatnie pół roku. Uczyła głównie czytania nut i gry na pianinie. – Było to ciekawe doświadczenie, bo szkoła stawia przede wszystkim na muzykę jazzową, opartą na improwizacji, a ja z wykształcenia jestem pianistką klasyczną, co nie jest zbyt popularne w tamtym kraju – śmieje się.

Nie tylko uczyła muzyki. W wolnych chwilach pomagała przy budowie: – Chłopcy przekopali własnymi rękami kilka ton laterytu, pomagałam im między zajęciami.

Jednego z uczniów uczyła polskiego. Chciałaby tam wrócić.

Z trąbką na misje

Kilkanaście lat wcześniej: na misję do Republiki Środkowoafrykańskiej wyjeżdża polski kapucyn Benedykt Pączka. W mieście Bouar na zachodzie kraju Bracia Mniejsi Kapucyni z prowincji krakowskiej mają swoją placówkę. – Zawsze chciałem pracować z biednymi – mówi Pączka. – To moje powołanie.

Bouar: czterdzieści tysięcy mieszkańców, po ulicach często chodzą rebelianci z karabinami, czasem słychać strzały. W klasztorze kapucynów nieraz szukali schronienia uchodźcy z okolicznych wiosek, którzy uciekli do miasta przed przemocą.

Widać to na filmiku sprzed kilku lat: kobieta kuli się w rowie wykopanym w czerwonej laterytowej ziemi. Dwoje małych dzieci tuli do siebie, obok siedzi dwoje starszych. Słychać strzały. – Wszyscy czuliśmy się zagrożeni – opowiada o tamtym zdarzeniu brat Pączka (misjonarze też kryli się w rowach, pod ławkami).

Pączka: rocznik 1977, z Podkarpacia. W podstawówce uczył się gry na akordeonie, w liceum chodził na gitarę do szkoły muzycznej pierwszego stopnia. →

→ Już w zakonnym seminarium w Krakowie brał lekcje śpiewu u Alicji Sławeckiej i wokalisty jazzowego Marka Bałaty.

Do Afryki zabiera gitarę, akordeon i trąbkę. Gdy jeździł na praktyki misyjne, przekonał się, że afrykańskie dzieci i młodzież są utalentowani muzycznie, mają poczucie rytmu. Jednocześnie widział biedę, bezrobocie, nudę. – Chłopcy siedzą godzinami bez celu, czasem pokopią piłkę, częściej biorą do ręki broń – opowiada.

Do zbrojnych oddziałów zaciągają ich różne strony konfliktu – w tym rejonie Afryki ciągle ktoś z kimś walczy.

Pączka chce założyć dla nich szkołę muzyczną. Wierzy, że odciągnie to młodych od przemocy. Wymyśla hasło: „Instrumenty zamiast broni”. O tym, że otwiera szkołę, informuje mieszkańców przez lokalną rozgłośnię. Jest trzystu chętnych. Trzeba było zrobić egzaminy.

– Kiedyś do szkoły przyszedł chłopiec, który własnoręcznie zbudował sobie gitarę – Agata Szlufik powtarza znaną tam opowieść. – I na tej gitarze zagrał egzamin wstępny.

Od Bokassy do Wagnera

„Od 18 do 25 lat więzienia dla przywódców rebeliantów oskarżonych o zbrodnie wojenne” – pod koniec czerwca donosi „Le Monde”. Chodziło o wydarzenia sprzed pięciu lat: w konfliktach etnicznych na północy kraju zginęło wtedy prawie sto osób, kilkadziesiąt zostało rannych, zniszczono kilkadziesiąt domów. Sześciu rebelianckich dowódców skazano za zbrodnie wojenne.

Niepodległa od 1960 roku Republika Środkowoafrykańska to była francuska kolonia. Sam środek Afryki, powierzchnia dwa razy większa od Polski, pięć milionów ludzi. Jeden z najbardziej niespokojnych regionów. Przez kilkanaście lat rządził tam Jean-Bédél Bokassa: jeden z najbardziej krwawych (posądzano go o kanibalizm) i ekstrawaganckich dyktatorów (mianował się cesarzem). Kolejne lata to przewroty, sfałszowane wybory, utrzymywane przez armię dyktatury, konflikty etniczne i międzyreligijne.

Po sąsiedzku Czad, Sudan, Sudan Południowy, Demokratyczna Republika Konga – gdzie też niespokojnie, a tamtejsi rebelianci podsycają wzajemne waśnie, porywają ludzi, rabują wioski. Ostatnio w to wszystko wmięszali się najemnicy z rosyjskiej Grupy Wagnera.

African Music School
pozwala dzieciom
zapomnieć o wojnie
i realizować marzenia:
najlepsi rozwijają swoje
talenty w Europie i USA.

Gdy brat Pączka przyjechał na misję, w Republice Środkowoafrykańskiej obalono prezydenta i wybuchła kolejna wojna domowa. Żeby uspokoić sytuację, ściągnięto międzynarodowe siły pokojowe. Ale rebelia trwa do dziś.

– Przeżyliśmy napad – opowiada misjonarz. – Ukradli nam samochody, pieniądze, żywność. I mocno nastraszyli – dodaje. Filmik z kobietą chowającą się w rowie z dziećmi w czasie strzelaniny pochodzi z tamtego zdarzenia. Misję zaatakowali wówczas rebelianci z Czadu, którzy wycofywali się do swojego kraju.

Krzysztof Gumienny też pamięta walki w mieście. Prowadził akurat zajęcia w swoim domu, gdy rozległy się strzały. – Uczniowie nagle umilkli, zacisnęli zęby ze wściekłości, mieli łzy w oczach – pamięta. Gitarzysta mówi, że uczniowie po odgłosie strzałów potrafili rozpoznać, kto używa broni: rebelianci, armia rządowa czy żołnierze sił pokojowych.

Żeby choć na chwilę oderwać ich od traumy, kazał im grać.

Było ściernisko

W szortach, koszulce polo i bejsbolówce siedzi na murze wznoszonym z cegły dziurawki. To początki budowy African Music School.

Przez pięć lat szkoła działała w klasztorze: zajęcia odbywały się w salkach i kaplicy. W końcu przełożeni misjonarza kupili działkę i brat Benedykt zajął się budową. To prawie centrum Buar, ale z drzewami, więc ludzie urządzili tam wysypisko śmieci. Trzeba było uporządkować teren. Kapucynowi przypominała się piosenka Golców: „Tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco”.

Zbieraniem pieniędzy na budowę zajęła się fundacja AKEDA. Pięć lat temu założyli ją przyjaciele i znajomi Benedykta Pączki. „Przez kulturę, edukację i pomoc w stronę lepszego świata” – to dewiza fundacji. – Łączymy darczyńców z Polski

z African Music School – tłumaczy prezes Paweł Urbański. Też muzyk, w Bouar był już dwa razy, małych Afrykańczyków uczył gry na gitarze.

Brat Benedykt nie ukrywa, że gdyby nie sponsorzy, nie daliby rady z budową. Np. Polska Fundacja dla Afryki dała 85 okien, papieski jałmużnik kardynał Konrad Krajewski wyłożył 20 tys. euro na dach. Od dwóch lat szkoła jest gotowa. Około setka uczniów, od pięciodo osiemnastolatków. Uczą się gry na różnych instrumentach, historii i teorii muzyki. W szkole dostają gorący posiłek – Republika Środkowoafrykańska to jeden z najbiedniejszych krajów.

W czasie obecnej trasy koncertowej w Polsce muzycy sprzedają cegiełki po 50, 100, 500 i 1000 zł na salę sportowo-koncertową i studio nagrań. To przy budowie tej sali pomagała Agata Szlufik, gdy kopała w laterytowej ziemi.

Samuel rysuje wojnę

„Wreszcie po wielu dniach marszu dotarli do wioski, której mieszkańcami były dzieci. Samuelowi wydawało się, że w większości były od niego starsze, ale widział też chłopców dużo młodszych od siebie” – Wojciech Jagielski streszcza opowieść bohatera swojej książki „Nocni wędrowcy”. Reporter opisał, jak fanatyczny przywódca Armii Bożego Oporu w Ugandzie porywał dzieci i siłą wcielał do swojego wojska. Po przeszkoleniu stawali się słynącymi z okrucieństwa żołnierzami.

Jagielski opisuje dalej mieszkańców dziecięcej wioski oczami Samuela: „Mieli długie, posklejane włosy, a na nogach za duże gumowe buty z cholewami. Takie, jakie widział u żołnierzy. Niektórzy chłopcy ubrani byli w zbyt obszerne wojskowe kurtki”. Samuel został porwany z rodzinnej wioski, gdy miał dziewięć lat. Jagielskiemu wyznał, że zabił dziesięć osób, a może więcej. Po wszystkim, gdy próbował wrócić do normalnego życia, w ramach terapii rysował kredkami wojnę.

Choć historia wydarzyła się wiele lat temu i dotyczy innego kraju, dzieci wciąż zasilają zbrojne oddziały w wielu miejscach Afryki. W Republice Środkowoafrykańskiej też. – Nie są wcielane przymusowo, same się garną – brat Pączka opowiada o tutejszych realiach. – Liczą na łatwe pieniądze, broń, życie z rabunków.

Ale zdarzają się też przypadki, że rebelianci wcielają dzieci siłą.



AGATA SZLUFIK X2

Po lewej: budowa szkoły muzycznej African Music School, po prawej: pianistka Agata „Agara” Szlufik wśród podopiecznych

Sprzedalby buty

Schodzą się od szóstej, mimo że zajęcia zaczynają się później. Przychodzą katolicy, muzułmanie, nawet świadkowie Jehowy. Nie wszyscy biorą lekcje muzyki: są tacy, którzy przychodzą, żeby coś zjeść. Pączka napatrzył się na głodne dzieci, nędznie ubrane, bose. Dlatego w szkole działa też kuchnia. Młodzi Środkowoafrykańczycy mogą też naładować telefon, obejrzeć telewizję, skorzystać z internetu. Brat Benedykt lubi powtarzać, że aby pomóc dzieciom, sprzedałby własne buty.

– Jak pracowało się panu z afrykańskimi uczniami? – pytam Krzysztofa Gumiennego.

– Afrykanie inaczej postrzegają czas – przypomina.

Lekcje zaczynał o 9, a bywało, że pierwsi uczniowie pukali do niego o 6.30, bo słońce już wstało. Umawiał się na indywidualne zajęcia z jednym na 12.00, drugim na 13.00, trzecim na 14.00, a w południe zjawiała się cała trójka. Czasem na zajęcia nie przychodził nikt, bo padał deszcz.

W Polsce też uczył muzyki w różnych szkołach. Czasem widział, jak uczniowie z musu przychodzili na zajęcia. – Tam się garnęli z wielką ochotą – opowiada o pracy w Bouar. – Po raz pierwszy mieli okazję spotkać profesjonalnych muzyków i zagrać na prawdziwych instrumentach.

Z Bouar w świat

Hypolite Balay od dziecka grał w katedrze Maryi Matki Kościoła w Bouar: patykami uderzał rytmicznie w rozpadającą się

perkusję. Gdy miał osiem lat, wypatrzył go tam brat Pączka i namówił na zajęcia w swojej szkole.

– Zetknąłem się wtedy po raz pierwszy z profesjonalnymi instrumentami – opowiada Hypolite. Gdy miał 15 lat, wyjechał na zagraniczne stypendium do Polski: uczył się gry na perkusji w Szkole Jazzu i Muzyki Rozrywkowej w Krakowie. Nauczył się polskiego. Grał w czasie koncertu Anny Marii Jopek: piosenkarka też wspiera African Music School. – To były trzy najlepsze lata mojego życia – uważa Hypolite. W kraju ma ośmiu braci i dwie siostry. Mówi, że w życiu naglął się wiele nędzy.

Swoje talenty w szkołach muzycznych w Europie i Stanach Zjednoczonych rozwijają też inni uczniowie African Music School. – Wysyłamy najzdolniejszych – mówi brat Pączka.

Gustave Houboutouni, którego brat Pączka uczył „zaściana na trąbce”, i Jordan Bendoloum studiują we Wrocławiu. Saint Christophe Matara (– Mój najzdolniejszy uczeń – mówi Gumienny. – Uczyłem go pierwszych akordów – dodaje Pączka) doskonali umiejętności w Berklee School of Music w Bostonie – jednej z najbardziej prestiżowych szkół muzycznych na świecie.

Po powrocie będą uczyć koleżanki i kolegów w Bouar.

Proste rzeczy

– Po Afryce zmieniły się moje życiowe priorytety – mówi Krzysztof Gumienny.

Gdy wyjeżdżał tam jako trzydziestolatek, marzenia miał takie: grać w najlepszych salach koncertowych świata, dobrze zarabiać. – Tam zrozumiałem, że zwykłe, podstawowe sprawy też mają wartość – mówi. – Nauczyłem się cieszyć z prostych rzeczy.

Agatę Szlufik pobyt na misjach też odmienił. – Przez sześć miesięcy obserwowałam codzienność mieszkańców Bouar i po powrocie bardziej niż zwykle zaczęłam cenić to, że mam łatwy dostęp do wody, żywności czy lekarza.

Z misji przywiozła też praktyczną umiejętność. Gdy tam jechała, znalazła angielski. Nauczyciel w African Music School nauczył ją porozumiewania się po francusku.

Powrót do domu

W czerwcu Hypolite zdał końcowe egzaminy w Krakowie i dostał dyplom. Teraz koncertuje w Polsce. Towarzyszą mu stypendyści African Music School: Gustave i Jordan. Gościnnie występuje Regina Felix (mama Polka, ojciec z Angoli), która śpiewa jazzowe standardy.

Hypolite w sierpniu wraca do swojego kraju. W Bouar będzie dawał lekcje gry na perkusji swoim afrykańskim koleżankom i kolegom. – Będę uczył tego, czego sam nauczyłem się w Polsce – mówi. Marzy, żeby znów przyjechać do Polski – chce studiować w Katowicach.

Brat Pączka nie kryje dumy z swojego ucznia: – Hypolite będzie u nas profesorem.

© STANISŁAW ZASADA



ARCHIWUM PRYWATNE

Organizatorzy pielgrzymki (od lewej): o. Maciej Biskup OP, Monika Białkowska, o. Michał Legan OSPPE

Pielgrzymka wykluczonych

MONIKA BIAŁKOWSKA

PIELGRZYMKA | Zgorszeni Kościołem, odepchnięci przez niego, zniechęceni i zranieni – wszyscy, którzy zaczęli wątpić, czy wciąż jest ich miejscem, spotkają się na Jasnej Górze.

WIEDZIELIŚMY, ŻE BĘDZIE W NIM grzech i słabość. Wiedzieliśmy, że nie dorównamy pokorze Maryi, gorliwości Pawła, miłości Jana. Wiedzieliśmy – ale wierzyliśmy, że łączy nas jeden cel: mówienie światu, że Jezus Chrystus zmartwychwstał. Wierzyliśmy, że w chrzcie i wyznaniu wiary zawsze znajdziemy wspólną drogę.

Kościół miał być naszym domem. Wyrośliśmy w nim, mieliśmy dobre doświadczenia: pierwsze lekcje religii, gdzieś w salkach, młodzieżowe wspólnoty, oazy, setki kilometrów w zmęczonych pielgrzymowaniem stopach. Wierzyliśmy, że to jest dobre.

Odrzuceni

A potem – życie się skomplikowało. Ci, którzy kiedyś byli dla nas autorytetami, okazali się szarlatanami. Ci, którzy mówili nam o dobru Kościoła, dbali jedynie o własne dobro. Ci, którzy mówili nam o miłości, odrzucili nas, gdy przestaliśmy myśleć jak oni. Siostry i bracia nagle przestali być ważni. Ważniejsza stała się przynależność partyjna, orientacja seksualna, liczba

dzieci. Nawet to, kto jakiego radia słucha i jaką telewizję ogląda. Zaczęło się ferowanie wyroków, niezwykle łatwe: kto ma prawo nazywać się katolikiem, a kto nie. Kto ma prawo mówić o Kościele, a kto nie.

Niewielu ma siłę walczyć z odrzuceniem. Cichliśmy więc – powoli, w bezradności i lęku. Potłuczeni przez życie zaczęliśmy wierzyć, że może rzeczywistość do Kościoła nie pasujemy? Może rzeczywistość legitymacją katolicyzmu jest głosowanie na PiS, a czytanie „Gazety Wyborczej” dowodem herezji? Może Kościół chce taki być: milczący, kiedy trzeba krzyknąć, i krzyżący, gdy wypadaloby zamilknąć? Może ma taki być? Może to my jesteśmy dziwakami?

Tęskniliśmy, ale cichliśmy, udając się na wewnętrzną emigrację. Bez wielkich manifestacji, bez aktów apostazji, bez buntu – tylko z bezbrzeżnym smutkiem ludzi niechcianych, którzy nie mieszczą się w ramach, nie są doskonali. I którzy mają odwagę to dźwigać zamiast chować się za maską.

Niechciani

Długo by można wymieniać tych, którzy w Kościele i w imię Jezusa usłyszeli o sobie złe rzeczy. Tych, którzy poczuli się w nim niechciani. To ci, których gorszą działania instytucji Kościoła. To ludzie w Kościele skrzywdzeni. To osoby homoseksualne, rozwiedzione i ci, którzy żyją w związkach niesakramentalnych. To ci, którzy odeszli z kapłaństwa. Te, które odeszły z zakonów. To rodziny bezdzietne i rodzice dzieci urodzonych z *in vitro*. To migranci, ludzie dający na

WOŚP, ekolodzy, wegetarianie, ćwiczący jogę, przyjmujący komunię św. na rękę, czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” i widzowie TVN. Ci, którzy przygarniają zwierzęta, a własnych dzieci nie mają. Tak – nie są święci. Ale są Kościołem.

W Roku Jubileuszowym mieliśmy wspólną intuicję. Na wołanie o przygarbienie odpowiedział przeor Jasnej Góry. Ze spotkania z nim zrodziła się idea pielgrzymowania na Jasną Górę tych, którzy w Kościele poczuli się niechciani.

Nawet jeśli Jasna Góra w ostatnich latach stała się dla wielu powodem rozczarowania, miejscem, w którym zbyt często rozbrzmiewały głosy wykluczające. Nawet to nie zmienia faktu, że jest ona naszym duchowym domem. Że Maryja jest naszą Matką. Jeśli ktoś pluje na Jej oblicze, głosi w Jej imieniu oszczerstwa i wykrzykuje nienawiść, nie od Niej powinniśmy się odwracać. Przeciwnie. Wierność Ewangelii to wierność prawdzie. Wierność prawdzie – to danie świadectwa. Moje świadectwo brzmi: jestem Kościołem. Jestem w Kościele i nigdzie się z niego nie wybieram. Tu jest moje miejsce: bo zostałam włączona przez chrzest w Chrystusa i nikt mi tego nie odbierze. Również na Jasnej Górze jestem u siebie.

To nasze miejsce

Zgorszeni – odepchnięci – fałszywie oskarżeni – zranieni – zniechęceni – wszyscy ci, którzy zaczęliśmy wątpić, czy rzeczywistość Kościół jest jeszcze naszym miejscem. Nie musimy niczego udowadniać. Nie musimy tłumaczyć się nikomu z tego, kim jesteśmy. Wiemy, że Jezus spotykał ludzi właśnie na peryferiach. Nie czekał, aż wejdą do świątyni. Nie żądał, by wpięrow oczyszcili się, nawrócili, uporządkowali życie. Szedł do nich. Szukał. Rozmawiał. Dawał im miłość i wskrzeszał nadzieję. To zmieniło ich życie.

Na obrzeżach i peryferiach objawia się Bóg. Pokazuje, że nie ma ludzi niechcianych. Spotkajmy się na Jasnej Górze 4 października, na Pielgrzymce z obrzeży Kościoła. To spotkanie bez biletów i bez zapisów, wystarczy po prostu przyjechać. Spotkajmy się, by zobaczyć w sobie siostry i braci i żeby razem powiedzieć Bogu: wierzę. ©

Szczegółowe informacje o pielgrzymce można uzyskać pisząc na adres: wycinkiswiata@gmail.com

O. WACŁAW

Oszajca: Skarb



„NIE BÓJ SIĘ, MAŁA TRZÓDKO, BO SPODOBAŁO SIĘ WASZEMU OJCU DAĆ WAM KRÓLESTWO”. Paweł mówi, że jedynym skarbem tego królestwa jest „Chrystus żyjący pośród nas”. Czyli tam, gdzie są ludzie żyjący w stylu Jezusa, tam jest królestwo Boże. W stylu Jezusa

nie znaczy bezkonfliktowo i bezboleśnie. Przeciwnie, Jezus nigdy by nie umarł na krzyżu i nie mielibyśmy ani jednego męczennika, gdyby On i ci, którzy Go pokochali, nie mieli odwagi mówić: *Non possumus*. Dobra Nowina to nie tylko szopka betlejemską, ale również „Boże mój, czemu mnie opuściłeś”. Miłość to – owszem – siła, która zaślepia, mąci rozum i sprawia, że czarne staje się białe, a białe czarne, ale tylko do czasu. Bo w pewnym momencie spod tej monochromatycznej powierzchni, miłej i nienastęrczającej kłopotów, zaczynają się wydobywać inne kolory, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Utraconego skarbu nie da się odzyskać, więc krtuszając się ze złości, mówimy: gdzie ja miałem rozum – biorąc ślub lub ślubując celibat. Zresztą – nie mnie mówić o małżeństwie. Ale o celibacie mogę.

Jeśli dzisiaj seminaria i nowicjaty pustoszeją, posłuchajmy uważnie tych, którzy w dobrej wierze przez nie przeszli i zostali wyświęceni. Mniejsza o motyw, jakimi się kierowali, nie istnieją bowiem tzw. czyste intencje, skoro wszyscy jesteśmy grzesznikami. Czy przypadkiem nie jest tak, że w sprawie celibatu i kapłaństwa na pierwszym miejscu stawiamy nie wolę Boga, ale naszą, tyle że obwarowaną kanonami?

Przecież Kościołowi w pierwszym rzędzie potrzebni są słudzy słowa i stołu, jako że sakramentalnym znakiem rozpoznawczym obecności i działania Chrystusa są słowo, chleb, wino, woda i oliwa. A przykład duchownych prawosławnych i pastorów (a także, żeby nie było, księży greckokatolickich) świadczy, że do tej służby celibat nie jest konieczny, choć może być bardzo pomocny. Miłość małżeńska wcale nie rozdwoiła ich serca, służyli oni, mężczyźni i kobiety, Chrystusowi i Kościołowi, „niepodzielonym sercem”, skoro ginęli i giną w więzieniach, obozach zagłady, na wojnie. Co innego, jeśli chodzi o zakony – w nich celibat jest z wyboru, ale przecież zakon do zbawienia nie jest konieczny. Wróćmy do przykazania, które zawsze jest pierwsze. Tam gdzie twój skarb, tam i serce. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Namiot Boga



„WTEDY TO OBŁOK OKRYŁ NAMIOT SPOTKANIA, a chwała Pana nappełniła przybytek (...). Ile razy obłok wznosił się nad przybytkiem, Izraelici wyruszyli w drogę, a jeśli obłok nie wznosił się, nie ruszali w drogę aż do dnia uniesienia się obłoku”. Liturgia ostatnio prowadzi nas drogą Wyjścia z Egiptu. Jednym ze szczególnych momentów tej drogi jest sporządzenie przez Mojżesza na wyraźne polecenie Boga Namiotu Spotkania (por. Wj 40). Bóg chce zamieszkać w samym środku narodu koczowników.

Dziś Bóg także chce mieszkać w namiocie! Ten namiot identyfikują dwa teksty. Najpierw werset z „Prologu” Ewangelii Janowej: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami” (J 1, 14). W greckim oryginale występuje tu słowo *eskenosen*, które dosłownie znaczy tyle, co „[Słowo] rozbiło namiot”. Oto najdoskonalszy „namiot”, w którym Bóg chce zamieszkać: człowieczeństwo Jezusa z Nazaretu. Drugi tekst odnajdziemy w 2. Liście św. Piotra: „Uważam za słuszne pobudzić waszą pamięć, dopóki jestem w tym namiocie, bo wiem, że bliskie jest zwiniecie mojego namiotu, jak to nawet Pan nasz Jezus Chrystus dał mi poznać” (2 P 1, 13-14). Jak ciało Jezusa, tak i ciało Piotra (również i nasze!) jest miejscem, które Bóg ukochał i wybrał na swoje zamieszkanie.

Na Jubileuszu Młodzieży w Rzymie zostałem zapytany o to, jak zniwelować manichejski rozdział między *sacrum* a *profanum* – między miejscami „świętymi”, należącymi wyłącznie do Boga, a takimi, które rzekomo miałyby być pozbawione Jego obecności. Otóż właśnie, jeśli odkryjemy, że Pan zamieszkuje przede wszystkim w nas, to będziemy się cieszyć Jego obecnością tak w świątyni, jak i wszędzie poza nią. To odkrycie pozwoli nam też zmienić widzenie zarówno swojej wiary, jak i możliwych relacji z innymi. Naszą wiarę zobaczymy wtedy nie jako przeszczeń stabilizacji, lecz jako drogę, w której ciągle Bóg sam się podnosi i mnie zaprasza do dalszej wędrówki; gdyż wszystko, co przeżywam i już wiem w swojej wierze, mogę przeżywać i wiedzieć więcej, głębiej i lepiej. Relacje z innymi odkryjemy jako możliwe dla obu stron doświadczenie spotkania również z Panem – obecnym tak we mnie, jak i w drugiej osobie. To oczywiste, że takie przekonanie musi wpływać na jakość spotkania, choćby na poziom wzajemnego szacunku wyrażanego tak słowem, jak i gestem. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



DANUTA MATLOCH / MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

Laureaci zeszlórocznej Nagrody POLIN, 2024 r.

NAGRODA POLIN.

Dla tych, którzy się nie boją

W tym roku po raz jedenasty przyznamy Nagrodę POLIN. Tegoroczna edycja będzie miała wymiar szczególny. Pierwszy raz zabraknie Mariana Turskiego.

Pan Marian, jak nazywaliśmy go na korytarzach naszego muzeum, nie zabierze głosu ani w czasie obrad kapituły konkursowej, której przez wiele lat przewodniczył, ani w czasie uroczystego finału konkursu.

Wypowiedziane przez Mariana Turskiego w 2020 roku XI przykazanie „Nie bądźcie obojętni” stało się testamentem, który chcemy realizować w Muzeum POLIN, a także drogowskazem dla wszystkich zaangażowanych w ochronę dziedzictwa żydowskiego w Polsce.

Nagroda POLIN jest jedną z najważniejszych inicjatyw Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. To coś więcej niż konkurs. To wyraz uznania i szacunku dla tych, którzy nie są obojętni, dbają o pamięć o tych, których już nie ma, i nie boją się o tym mówić w swoich miastach, miasteczkach i wsiach. To corocznie powiększająca się społeczność, której przyświeca wspólny cel: oca-

lić od zapomnienia i pokazać, że troska o wspólną polsko-żydowską historię to ważny wymiar obywatelskiej postawy.

W swoim ostatnim przemówieniu wygłoszonym w czasie obchodów 80. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz Marian Turski przywołał inspirujące słowa pieśni Rabbiego Nachmana z Braclawia: „Cały świat jest niczym bardzo wąski most, a najważniejsze to nie bać się wcale”.

W tym jednym zdaniu zawiera się istota postawy, którą chcemy nagradzać. To przesłanie, które mówi o tym, że budowanie mostów między przeszłością a teraźniejszością, między ludźmi, społecznościami i pokoleniami wymaga odwagi. Nagroda POLIN to wyróżnienie dla każdego, kto mierzy się z trudną historią, kto codziennie wybiera pamięć zamiast zapomnienia, kto poświęca swój czas, aby z wrażliwością i szacunkiem opowiadać o polskich Żydach, naszych sąsiadach i przyjaciółach.

Zachęcamy do przesyłania zgłoszeń w konkursie Nagroda POLIN. Kandydatkami i kandydatami mogą być osoby indywidualne, organizacje społeczne, instytucje publiczne lub prywatne, które w ostatnich latach podjęły istotne, nieszablonowe działania upamiętniające historię polskich Żydów lub budujące relacje polsko-żydowskie. Kapituła konkursu, w skład której wchodzi przedstawiciele świata nauki, kultury i społeczeństwa obywatelskiego, przyznaje nagrodę główną i wyróżnienia. Łączna pula nagród w 2025 roku wynosi co najmniej **100 000 złotych**.

Zgłoszenia można przysłać do **24 sierpnia 2025 roku** poprzez formularz dostępny na stronie www.polin.pl/nagroda. Wystarczy kilka prostych informacji: opis działań kandydatki lub kandydata, uzasadnienie oraz dane kontaktowe osoby zgłaszającej. Zgłosić może każdy – również osoby prywatne, które chcą wyróżnić kogoś ze swojej społeczności. To dzięki takim zgłoszeniom co roku odkrywamy niezwykłych ludzi i miejsca, które zmieniają krajobraz pamięci w Polsce.

Laureatki i laureaci zostaną ogłoszeni 28 października 2025 roku podczas uroczystego finału konkursu w Muzeum POLIN w Warszawie.

DZIEDZICTWO, KTÓRE ŁĄCZY

Marian Turski, mój mistrz i przyjaciel, powtarzał, że Żydów w Polsce jest dziś za mało, żeby zająć się pozostałym żydowskim dziedzictwem materialnym w Polsce. Dlatego potrzebujemy pomocy tych, którzy czują, że dziedzictwo i pamięć o żydowskiej przeszłości w ich miastach, miasteczkach to także ich historia.

Już po raz jedenasty Muzeum POLIN, wspólnie ze Stowarzyszeniem Żydowski Instytut Historyczny w Polsce wyróżni lokalnych aktywistów i aktywistki, którzy codziennie, mimo przeciwności, dbają o pamięć o polskich Żydach. Ich praca jest nie tylko godna najwyższego uznania, jest kluczowa, by to dziedzictwo zostało zachowane dla przyszłych pokoleń.

Dla Stowarzyszenia praca z lokalnymi aktywistami to przyjemność i przywilej. Co roku wspieramy dziesiątki projektów, w tym wiele nowych inicjatyw, w całej Polsce w ramach Programu Grantowego. Jestem równie zbudowany tym, że co roku wśród zgłoszonych do Nagrody POLIN kandydatów i kandydatek widzę nowe nazwiska, nowe projekty. W czasach, w których Żydzi na całym świecie mierzą się z falą antysemityzmu, świadomość, że nie jesteśmy sami, że przyjaciół i przyjaciółek nam przybywa, jest ogromną wartością.

PIOTR WIŚLICKI – Prezes Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny i Przewodniczący Rady Muzeum

PAMIĘĆ, KTÓRA NIE GAŚNIE

Nagroda POLIN to jedno z najbardziej budujących wydarzeń w naszym muzealnym kalendarzu. Od jedenastu lat pozwala nam doceniać ludzi, którzy z potrzeby serca i z dala od reflektorów wykonują niezwykłą pracę dbania o pamięć.

Dzięki nim historia polskich Żydów nie jest tylko wspomnieniem, lecz żywą obecnością. Wraca w opowieściach, projektach edukacyjnych, porządkowanych cmentarzach, sąsiedzkich spacerach i lokalnych wystawach. Ich działania, choć często ciche i skromne, mają siłę budowania mostów – między przeszłością a teraźniejszością, między ludźmi i pokoleniami.

Laureaci i laureatki Nagrody POLIN przypominają nam, jak wiele zależy od pojedynczego gestu, od ludzkiej wrażliwości i determinacji. To osoby, które nie godzą się na zapomnienie czyjegoś życia. Które wiedzą, że historia nie kończy się w podręczniku – ale żyje wtedy, gdy jesteśmy gotowi się w nią wsłuchać i nieść ją dalej.

W tegorocznej edycji będziemy szczególnie wspominać naszego drogiego przyjaciela, wieloletniego przewodniczącego kapituły konkursu, Mariana Turskiego. Niech jego słowa: „Nie bądźcie obojętni” staną się dewizą każdego, kto podejmuje się tak ważnej i potrzebnej pracy.

Wszystkim dotychczasowym oraz przyszłym kandydatkom i kandydatom chcę powiedzieć: Widzimy was. I dziękujemy, że jesteście. Dzięki wam pamięć nie gaśnie, ale trwa.

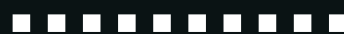
ZYGMUNT STĘPIŃSKI – Dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

MATERIAŁ ORGANIZATORA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

NAGRODA
POLIN '25



NABÓR: 16.07–24.08

Współna instytucja kultury



Mecenas Muzeum



Sponsor strategiczny Muzeum



Oficjalny przewoźnik Muzeum



Współorganizator



Mecenas konkursu i gali finałowej

Jankilewitsch Foundation

POLSKA MARLENA DIETRICH

Była gwiazdą kabaretu i kina przedwojennej Polski. Po roku 1939 zniknęła. Plotkowano, że kolaborowała z Niemcami, że popełniła samobójstwo. Ale to nieprawda. 115 lat temu urodziła się Lena Żelichowska.

STANISŁAW CALIK

KIEDY W SIERPNIU 1958 R. W SAN FRANCISCO nagle umarła piękna i uroczą blondynka, 48-letnia manikiurzystka, nie było to jakimś wydarzeniem ani dla tego miasta, ani dla USA. Tylko właścicielka salonu kosmetycznego, w którym zmarła pracowała, opublikowała nekrolog w lokalnej gazecie.

Tak zakończyła się droga życiowa królowej kina przedwojennej Polski, ulubienicy milionów widzów. Opowiedzmy jej historię.

NOWA RODZINA | Lena (to zdrobnienie od Heleny) Żelichowska przychodzi na świat w Warszawie 12 sierpnia 1910 r. Taką datę podaje akt chrztu (później na nagrobku błędnie zapisano 10 sierpnia). Rodzice – Michał Florian Żelichowski i Henryka z domu Fronczyk – są zamożni, ale nie interesują się dzieckiem. Lena ma dwa lata, gdy oddają ją na wychowanie obcym ludziom.

Przybrani rodzice widzą, że dziewczynka jest bardzo ruchliwa. Zabierają ją, sześciolatkę, do szkoły baletowej przy Teatrze Wielkim. Szkołą i teatrem kieruje Piotr Zajlich, legendarny tancerz, były solista baletu Sergiusza Diagiłewa, a następnie choreograf Anny Pawłowej.

Lena zostaje przyjęta. W 1926 r. kończy szkołę, po czym, jeszcze jako nastolatka, zostaje artystką Teatru Wielkiego.

DIGA-DIGA-DOO! | W październiku 1929 r. Lena, wówczas 19-letnia, bierze udział w konkursie dla młodych talentów, ogłoszonym przez stołeczny kabaret „Morskie Oko”. Robi duże wrażenie i dostaje rolę w rewii „Cała Warszawa”, gdzie debiutuje piosenką „Diga-diga-doo!”. W kolejnym roku otrzymuje role w rewiach „Codzienne dancing” i „Pieniądze dla wszystkich”, które też przynoszą jej sukces.

Zachwyca egzotyczną urodą, wspinałymi umiejętnościami choreograficznymi i wokalnymi, a także śmiałością. W sztuce „Kocha... lubi... szanuje...” z 1931 r. gra Afrykankę, która ucieka z trupy teatralnej, bo się z niej nabijano. Jej partner sceniczny Ludwik Sempoliński wspominał: „Przepięknie wyglądała Żelichowska. Świetnie zbudowana, wystąpiła prawie nago, cała umalowana na brąz”.

Dwa lata później gra główną rolę w spektaklu „Piękna Galatea”. „Obsadzono ją w skeczu »Galatea«, gdzie leżała na szelongu prawie nieubrana – wspominał aktor Juliusz Lubicz-Lisowski. – Lena była zbudowana posągowo i bardzo długo traktowano ją w rewii jako »ciało«”.

TEATR I FILM | Jako aktorkę dramatyczną odkrywa ją Stefan Jaracz, reżyser i reformator polskiej sceny. W 1931 r. zaprasza ją do swojego Teatru Aktora – ma

grać Hanę w sztuce „Moralność pani Dulskiej”. Taki wybór zaskakuje krytyków: uważają, że gwiazdy kabaretu nie są zbyt obdarzone intelektem. Jaracz wyjaśnia, że Lena ma inteligencję sceniczną. Nie myli się. „Lena Żelichowska zagrała Hanę znakomicie, cała Warszawa chodziła na ten spektakl” – wspominał Lubicz-Lisowski.

Po premierze, która ma miejsce 17 stycznia 1934 r., dla Żelichowskiej zaczyna się nowe życie. Do ról scenicznych – kabaretowych i dramatycznych – dochodzą filmowe. Wcześniej zagrała tylko w filmie „Szpieg w masce” – i to niemal siebie, bo śpiewaczkę dansingową, która na zlecenie kontrwywiadu wabi pewnego mężczyznę. Teraz liczba propozycji rośnie.

Wkrótce po tym, jak debiutuje w Teatrze Aktora, reżyser filmowy Michał Waszyński zaprasza ją do swojego filmu „Czarna perła”. Już w 1936 r. Lena zagra w czterech filmach, a w roku kolejnym – w pięciu!

W tym samym roku 1937 bibliograf Stanisław Łoza prosi ją o wypełnienie ankiety do informatora „Czy wiesz, kto to jest”. Żelichowska określa w niej swój zawód jako „artystka dramatyczna”.

KOBIETA WAMP | Przed II wojną światową Lena występuje w 14 filmach. Najczęściej w rolach głównych: jako śpiewaczka

(„O czym marzą kobiety”), żona teatralnego suflera („Jego wielka miłość”), członkini szajki („Ty, co w ostrej świecisz bramię...”), aktorka kabaretowa („Żołnierz królowej Madagaskaru”) itp.

Role te mają wspólny mianownik: wciela się w nich w piękność uwikłaną w środowisko przestępcze. „Interesują

mnie tylko role demonów – tak sformułuje swoje credo w wywiadzie, którego udziela na początku kariery. – Czułabym się źle w roli naiwnej i cikliwej kobiety”.

W innym wywiadzie, już u szczytu popularności, kontynuuje temat: „Nie znoszę [ról] banalnych i szablonowych, naiwnych dziewcząt, jakie występują w prawie każdym polskim filmie. Są to, moim zdaniem, postaci papierowe. Nierealne już w samym założeniu i bardzo niedzięczne dla ambitnej aktorki. Role charakterystyczne, jakie gram w filmie, pozwalają mi opracować sylwetkę bohaterki możliwie najwszechstronniej”.

Jej specjalnością jest więc kobieta wamp. Nieprzypadkowo zwana jest „polską Marleną Dietrich”. Sama za główne osiągnięcie twórcze uzna rolę mszczącej się kochanki w filmie „Granica” z 1938 r. „Praca przy »Granicy« będzie w mej pracy artystycznej najmilszym wspomnieniem – wyzna reporterowi. – Wierzę, że »Granica« będzie tym, czego wszyscy się spodziewają: wielkim filmem polskim”.

POWRÓT MATKI | Błyskotliwej karierze towarzyszą jednak problemy osobiste. Jej trwające trzy lata małżeństwo z biznesmenem Januszem Grzędzicą jest nieszcześliwe i kończy się rozwodem.

A potem zaczyna się skandal, który niemal niszczy jej reputację. W gazetach pojawia się bowiem sensacyjna informacja: oto 48-letnia Henryka Żelichowska, matka aktorki, składa pozew w warszawskim sądzie grodzkim. Twierdzi, że jest w nędzy, a córka, choć dobrze zarabia, nie chce jej utrzymywać. Wnioskuje więc o zasądzenie od Leny alimentów w wysokości 80 zł miesięcznie.

Pełnomocnik aktorki wyjaśnia dziennikarzom, że Henryka ostatni raz widziała córkę 25 lat temu, gdy ją oddała, i że odtąd w ogóle się nią nie interesowała. Oraz że, siłą rzeczy, aktorka nie żywi do niej żadnych uczuć.

Henryka usprawiedliwia się w wywiadzie, że to nie ona, lecz jej mąż oddał córkę opiekunom (znajdując ich przez ogłoszenie w gazecie), a ona była wówczas ciężko chora i nic o tym nie wiedziała. Przekonuje, że mąż roztrwoił pieniądze rodziny i nie miał z czego utrzymać dziecka. Oraz że gdy w 1914 r. wybuchła wojna, przybrani rodzice wraz z Leną ewakuowali się z Warszawy, przez co ona, Henryka, straciła możliwość odnalezienia córki.

Sensacyjna rozprawa, na którą czeka bez mała cała Polska, trwa kilka minut. Sędzia odczytuje list od Henryki, w którym ta oświadcza, iż wycofuje pozew, po czym zamyka rozprawę. Co się stało? Gazeta „Nowy Głos” wyjaśnia: „Przykra sprawa została polubownie załatwiona pomiędzy zainteresowanymi stronami”. →

*Lena Żelichowska,
fotografia sytuacyjna
w atelier,
lata 30. XX w.*

→ **LENA I STEFAN** | W 1938 r. na ekrany wchodzi film „Sygnały”, w którym Lenie partneruje przystojniak Jerzy Pichelski. Niedawno byli duetem w „Granicy”, a teraz grają kochanków. Widzowie są przekonani, że są parą także w życiu prywatnym.

Jednak to nieprawda: serce aktorki w tym czasie należy już do Stefana Norblina, artysty i designera, starszego od niej o 12 lat. W 1939 r. biorą ślub.

Para ma ambitne plany: zaczyna budowę ogromnego pawilonu filmowego w Warszawie oraz własnej willi w jego pobliżu. Do willi, która nie jest jeszcze w pełni ukończona, wprowadzają się pod koniec lata.

PAKTY I FAKTY | Długo w niej nie mieszkają. 1 września Niemcy atakują Polskę i już tego dnia niemieckie samoloty bombardują Warszawę. Choć jeszcze wtedy nic dla Leny nie zwiastuje katastrofy. Przez cały ten dzień kontynuuje próby w teatrze Ali Baba – następnego wieczoru odbędzie się premiera politycznej rewii satyrycznej „Pakty i fakty”, reklamowanej jeszcze w sierpniu.

„Sala świeciła pustkami – wspominał ten wieczór Mieczysław Fogg, aktor i piosenkarz. – Była zapełniona najwyżej w jednej czwartej. Publiczność reagowała słabo, pogrążona jakby w ośpieniu, w apatii”. To ostatni raz, gdy publiczność w Polsce widzi Żelichowską na scenie. Następnego występu rewii, planowany na 4 września, zostaje odwołany.

Parę dni po tej premierze Lena obserwuje z balkonu willi nisko lecący niemiecki bombowiec. Wydaje jej się, jakby pilot celował prosto w nią; w panice ucieka z balkonu. Po tym wydarzeniu małżeństwo decyduje się opuścić Warszawę, wokół której za chwilę zamknie się pierścień oblężenia. Nigdy już jej nie zobaczą.

We Lwowie spotykają Mariana Hemara, poetę i dramaturga, prywatnie ich przyjaciela. Autem Hemara wyruszają wspólnie do Rumunii.

31 grudnia 1940 r. w kinach Generalnego Gubernatorstwa premierę ma komedia muzyczna „Żołnierz królowej Madagaskaru” z Żelichowską w roli głównej. Film został ukończony w przeddzień wojny, a Niemcy zgodzili się, by został pokazany w kinach. Widzowie są przekonani, że Żelichowska pozostaje w Warszawie i że kolaboruje z okupantem.



Lena Żelichowska i Aleksander Żabczyński w jednej ze scen rewii. 1932 r.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

W INDIACH | Rumunia to dla Leny i Stefana przystanek, chcą dotrzeć do USA. Ale że nie ma tam oczywistej trasy, najpierw jadą do Turcji, a następnie do Iranu. W Teheranie zatrzymują się na dłuższy czas z powodu braku wiz. Aby przeżyć, Lena sprzedaje biżuterię. Niespodziewane spotkanie z brytyjskim ambasadorem, znajomym Stefana, rozwiązuje problem: otrzymują wizy do Indii, wówczas brytyjskiej kolonii.

W 1941 r. osiedlają się w Bombaju – tymczasowo, jak sądzą. Tymczasem pobyt ten rozciągnie się na pięć lat. Dzięki rekomendacji wspomnianego ambasadora, Stefan zostaje przyjęty tam jako sławny artysta, pewien maharadza zleca mu zaprojektowanie wnętrza swojego pałacu. Inni lokalni władcy składają podobne zamówienia. Takie prace są dobrze płatne.

W 1944 r. na świat przychodzi ich syn Andrzej. Przez długi czas nie myślą o Ameryce, są szczęśliwi w Indiach. Jednak syn zaczyna chorować, a lekarze doradzają zmianę klimatu. W 1946 r. rodzina wsiada na statek, który zabiera ich do Stanów.

AMERYKA | Z pokładu statku schodzą w San Francisco. Mając zaoszczędzone pieniądze, kupują tam dom, a Stefan otwiera swoją pracownię w centrum miasta. Bank zamawia u niego mural, przychodzą zamówienia z kościołów, a także zlecenia na portrety.

W 1947 r. Lena i Stefan składają wniosek o obywatelstwo USA. Nie planują powrotu do pojałtańskiej Polski.

Żelichowska nie chce kontynuować kariery artystycznej. Choć ma ku temu możliwości – reżyser Józef Lejtes, w którego filmach grała swoje najlepsze role

w Warszawie, namawia ją do współpracy. Lejtes mieszka w Los Angeles i pracuje jako reżyser w lokalnej telewizji. Lena odmawia. Wie, że gwiazdą tu nie będzie, a nie chce grać ról epizodycznych.

Uczy się angielskiego, chodzi do biblioteki, czyta angielskie książki. Po opanowaniu języka zapisuje się na kurs kosmetyczny. Zarobki jej męża maleją, aż przestają starczać na życie. Lena dostaje pracę jako manikiurzystka w salonie kosmetycznym.

Wydaje się, że życie znów jakoś się układa. Udaje im się nawet opłacić prestiżową szkołę w Londynie, do której wkrótce pójdzie 8-letni Andrzej.

Wszystko załamuje się 12 sierpnia 1952 r., akurat w dzień jej 42. urodzin: Stefan popełnia samobójstwo. Stopniowo tracąc wzrok, bał się utraty możliwości pracy jako artysta.

WDOWA | 42-letnią Lenę prześladowuje myśl, że jeśli coś jej się stanie, syn Andrzej zostanie zupełnie sam. W tej sytuacji wyznacza znajomą rodzinę Waltersów na jego opiekunów. Nie pozwala chłopcu wyjechać do Wielkiej Brytanii, wysyła go do miejscowej szkoły.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądają jej kolejne lata – na emigracji, bez ukochanego męża. Czuje się samotna. Trzyma się na uboczu, komunikuje jedynie z wąskim kręgiem starych przyjaciół.

Umiera 28 sierpnia 1958 r. na atak serca – w pracy, w salonie kosmetycznym.

PÓŹNIEJ | Na wiadomość o jej śmierci reagują jedynie londyńskie „Wiadomości”: pismo polskich emigrantów zamieszcza pożegnalny artykuł. W PRL nie wolno wspominać o emigrantce; władze komunistyczne rozpowszechniały nawet plotki, jakoby aktorka popełniła samobójstwo na obczyźnie.

Andrzej, 14-letni sierota, wprowadza się do Waltersów i mieszka z nimi przez kolejne siedem lat. Z czasem zostanie muzykiem, wirtuozem gitary klasycznej i światową sławą. To matka zainspirowała go do pasji muzycznej, ona kupiła mu pierwszą gitarę. 81-letni Andrew mieszka obecnie w Kalifornii.


W 2011 r. syn przyjeżdża do Warszawy na otwarcie wernisazu prac swojego ojca.

Rok później prochy Leny i Stefana zostają przeniesione z Ameryki na Powązki.

© STANISŁAW CALIK

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 32/2025

A nighttime photograph of an industrial and urban landscape in Gdansk. In the foreground, a large, multi-story brick building with a red roof and many lit windows stands prominently. Behind it, a river or canal is visible, with several large cranes and industrial structures along the waterfront. In the background, a power plant or refinery is illuminated, with smoke rising from its chimneys. The sky is a deep twilight blue. The overall scene is a blend of industrial activity and urban architecture.

**SZTUKA WCHODZI
BEZ PUKANIA
JAK TO ROBIĄ W GDAŃSKU**



Jacek Malczewski, „Autoportret. Muzyka pól”, ok. 1907. Wystawa „Olga Boznańska i... malarstwo polskie XIX i początku XX wieku” z kolekcji Muzeum Narodowego w Gdańsku

Gdańsk – miasto pełne obrazów

MICHAŁ SOWIŃSKI

Gdańska sztuka to nie dekoracja, lecz część miejskiej tożsamości – od dawnych mistrzów po stoczniowe instalacje. To opowieść o historii, pamięci i współczesnych emocjach.

Historia Gdańska zapisana jest w obrazach – od malowideł dawnych mistrzów po współczesne instalacje w stoczniowych halach. Widać to w architekturze miasta, w sztuce zamawianej przez hanzeatyckich kupców, w dziełach sprowadzanych z Niemiec. Miasto od wieków czerpało z wielu europejskich tradycji, łącząc je w unikalny, gdański sposób. Ta wielowarstwowość przetrwała do dziś – sztuka nie jest tu dekoracją ani turystycznym dodatkiem, ale częścią miejskiej tożsamości. To właśnie sztuka pozwala dziś czytać historię miasta nie tylko w podręcznikach, ale w jego tkance.

Przeszłość i przyszłość

Najmocniej czuć to na terenach dawnej Stoczni. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu przestrzeń walki o wolność, dziś miejsce, w którym sztuka wchodzi w dialog z historią. NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki mieści się w sąsiedztwie terenów postoczniowych i od początku budowało kolekcję oraz program wysta-

wowy łączący lokalne doświadczenie z problemami globalnymi. Wystawa „Gościnności” nie tylko pokazuje artystów z całego świata, ale też przypomina, że samo miejsce jest częścią skomplikowanej historii miasta – od przemysłowego zaplecza III Rzeszy po symbol Solidarności. NOMUS to dowód, że przeszłość można twórczo przekształcić, zamiast ją zamykać w muzealnej gablocie. Podobny międzynarodowy wymiar ma „Changes” w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia, prezentująca prace z kolekcji British Council i pokazująca, jak sztuka przekracza granice.

Gdańsk nie ogranicza się jednak do jednej instytucji. Gdańskie Biennale Sztuki w tym roku ma ósmą edycję i nie szuka jednej narracji, lecz pokazuje różnorodność postaw – od intymnych historii po komentarze społeczne. W tym samym czasie w Gdańskiej Galerii Miejskiej młodzi twórcy na wystawie „Neue Stimmung” reinterpretują tradycję malarstwa nastrojowego, a w Zbrojowni można zobaczyć „Najlepsze Dyplomy ASP”, przypominające, że miasto wciąż przyciąga ar-

tystów na początku drogi. Te wydarzenia budują coś więcej niż sezonowy kalendarz – tworzą mapę gdańskiej sceny, na której obok znanych nazwisk pojawiają się nowe głosy i nowe tematy. Grid ArtHub na terenach Stoczni rozwija nową infrastrukturę dla twórców: pracownie, rezydencje, przestrzeń współpracy.

Sztuka dialogu

Muzeum Narodowe pokazuje dwie strony tej samej historii – z jednej „Olga Boznańska i... malarstwo polskie XIX i początku XX wieku”, z drugiej „Chełmowskiego wszechświat wyobrażony”, łączący lokalne dziedzictwo z artystyczną wyobraźnią. Ten dialog dawnych mistrzów z artystami zakorzenionymi w regionie przypomina, że sztuka jest tu jednocześnie pamięcią i opowieścią o teraźniejszości.

Równoległe w Gdańsku pojawiają się wystawy przypominające o rzemiośle i historii, jak „Berendtowie – stulecie gdańskich złotników”, czy te, które wchodzą w dialog z przeszłością w nieoczywisty sposób – jak „Fauna. Zwierzęta na wojnie i ich ludzie” w Muzeum II Wojny Światowej czy „Architektura jako autobiografia. Waław Tomaszewski” w Muzeum Gdańska. Sztuka nie ucieka tu w abstrakcję – angażuje się w temat miejsca, pamięci i doświadczenia codziennego życia.

Wszystkie te inicjatywy – od NOMUS-u, przez Biennale, po nowe centra artystyczne w Stoczni – pokazują, że Gdańsk nie jest tylko miejscem prezentacji sztuki. To miasto, które ją tworzy, wspiera i traktuje jako ważny element rozwoju. Historia, geografia i wielokulturowe dziedzictwo tworzą tu naturalne zaplecze dla działań wizualnych, które są jednocześnie zakorzenione i otwarte. Gdańsk nie musi i nie chce z nikim konkurować – idzie własną drogą, w której przeszłość spotyka się z teraźniejszością. Obok Memlinga czy Boznańskiej pojawiają się młodzi artyści opowiadający o współczesnym niepokoju. To właśnie ta ciągłość oparta na zmianie sprawia, że gdańska scena wizualna jest tak żywa i różnorodna.

Zapraszamy do lektury naszego dodatku – przewodnika po gdańskiej kulturze. Znajdziecie w nim opisy najciekawszych wystaw, miejsc i inicjatyw, które tworzą dziś wizualną tożsamość miasta. To zaproszenie do spojrzenia na Gdańsk poprzez sztukę i ludzi, którzy ją współtworzą.

Nowy nastrój starego świata

PIOTR KOSIEWSKI

Kuratorzy wystawy „Neue Stimmung” sięgają po XIX-wieczną kategorię nastrojowości, by opisać malarstwo młodego pokolenia. Ale ich pejzaż to już nie romantyczna wieś – to miejska trójpasmówka i krzyż zastąpiony sygnalizatorem.

Twórcy wystawy w Gdańskiej Galerii Miejskiej (GGM1) odwołali się do tej, dziś można sądzić bardzo odległej kategorii nastrojowości, by pokazać twórczość młodego pokolenia artystek i artystów, urodzonych i wychowanych w III RP.

Sztuka nastroju

Współczesne próby oddania nastroju znanego z XIX-wiecznego malarstwa często ocierają się o tandetę, a nawet kicz. Przypomina o tym instalacja malarsko-dźwiękowa Huberta Gromnego „surplus: kryjówka nad jeziorem kinkade portal buzzer”. Jednym z jej elementów jest kopia obrazu Thomasa Kinkade’a – amerykańskiego artysty, który w ostatnich dekadach XX i na początku XXI wieku zasłynął sielskimi krajobrazami. Jego prace były masowo reprodukowane i sprzedawane przez założoną przez niego firmę Thomas Kinkade Company. Miliony nabywców miały dzięki nim poczucie, że obcują ze sztuką dającą szczęście.

Stanisław Witkiewicz pisał o „zesztymowanych obrazach” opisując twórczość Aleksandra Gierymskiego. Tego samego terminu używano w przypadku prac Maksymiliana Gierymskiego, Józefa Chełmońskiego czy Władysława Maleckiego. Co więcej, nastrojowe obrazy uznawano nawet za charakterystyczne dla polskiego malarstwa ostatnich dekad XIX i początku XX wieku.

Jednak od tego czasu zmieniła się nie tylko sztuka, ale przede wszystkim otaczający nas świat. Dziś żyjemy w odmiennej rzeczywistości. Piszą zresztą o tym kuratorzy wystawy Janek Owczarek i Piotr Policht. To jest już inny pejzaż – podkreślają. „To, co w pierwszej chwili uznac możemy za gwiazdy, okazuje się światłami fabrycznych kominów, trawnik pod stopami to nie leśna polana, a nawierzchnia kortu tenisowego, pochylona wierzba zostaje otoczona murkiem lub fragmentem ogrodowej siatki, a zamiast samotnego krzyża na rozstaju dróg stoi jedynie smętny sygnalizator świetlny”. Naszym codziennym doświadczeniem są obecnie krajobrazy, jak z cyklu fotografii „Capital” Tytusa Szabelskiego-Różniaka – miejska zabudowa, zestandaryzowana, monotonna, pozbawiona nastroju.

Skąd zatem przywołanie XIX-wiecznej kategorii nastrojowości? Twórcy wystawy widzą podobieństwa formalne z pracami najmłodszego pokolenia, jak ograniczona kolorystyka płócien, w których dominują beże, ciepłe brązy czy szarości. W powrocie do wydłużonych formatów obrazów – tzw. ręcznikowych, które tak sobie upodobali artyści tworzący w ostatnich dekadach XIX wieku. W sięganiu po podobne motywy jak w malarstwie tamtego czasu. Wreszcie w dążeniu do odnalezienia harmonii w otaczającym nas świecie.

Nowe krajobrazy

Z konieczności jednak nowostimmungowe malarstwo jest, jak piszą, fragmentaryczne. Głębi poszukuje np. „w wątlej tui zasadzonej na splechietku zieleni między trójpasmówką a kolejnym obłęsnym nowym osiedlem”. Pokazują zatem ułamki rzeczywistości, jak Ant Łakomsk, Agata Popik i Karolina Szwed. Widoki jakichś pomieszczeń czy pejzaży, w których można rozpoznać jedynie zarysy postaci czy zabudowy. Tworzą, jak Cyryl Polaczek, tajemnicze krajobrazy, będące dalekim echem dzieł romantyków czy symbolistów z przełomu XIX i XX stulecia.

Z poprzednikami sprzed dekad łączy ich coś jeszcze: podobnie jak oni, odwołują się do sfery duchowości. Tworzą zresztą w podobnym czasie: wielkich przemian społecznych, ekonomicznych, technologicznych i kulturowych. XIX-wieczne doprowadziły do uprzemysłowienia oraz urbanizacji na niespotykaną dotąd skalę, ruchu emancypacji kobiet, powstania awangard i... I wojny światowej. Tego, jakie będą następstwa obecnych – jeszcze nie wiemy. ©

NEUE STIMMUNG | Gdańska
Galeria Miejska 1, do 14 września
2025 r. | **KURATORZY:** Janek Owczarek,
Piotr Policht

Agata Popik,
„Pobocze”,
2024 r.
Wystawa
„Neue Stimmung”,
Gdańska
Galeria Miejska 1



Pomorskie tu i teraz

JACEK TARAN

**Trzydzieści prac wybranych spośród ponad 150 zgłoszeń.
Ósma edycja Gdańskiego Biennale Sztuki pokazuje,
jak różnorodnie i intensywnie bije dziś artystyczne serce Pomorza.**

8 Gdańskie Biennale Sztuki, które wystartowało 4 lipca, to propozycja nie tylko dla znawców, ale także dla każdego, kto chce zobaczyć, jak bije artystyczne serce Pomorza. Spośród 155 zgłoszeń rada ekspercka wybrała 30 prac – i właśnie ten wybór mówi nam dużo o kondycji sztuki współczesnej w regionie.

Dwie galerie – Gdańska Galeria Miejska 2 przy ul. Powroźniczej 13/15 oraz Gdańska Galeria Günтера Grassa przy ul. Szerokiej 34/35 – zamieniły się w przestrzenie opowieści o tym, co dla artystów ważne dziś. Co ich niepokoi, zachwyca i prowokuje.

Mapa emocji i form

Malarstwo, rysunek, fotografia, grafika, wideo i instalacje – różnorodność technik to znak rozpoznawczy tej edycji. Jeszcze ważniejsza okazuje się jednak różnorodność postaw twórczych. Obok artystów o ugruntowanej pozycji – takich jak Mariusz Waras, Magdalena Gołaszewska, Maciej Salamon czy Grażyna Rigall – wystawiają tu swoje prace także młodzi, debiutujący twórcy, których nazwiska dopiero zaczynają funkcjonować w obiegu wystawienniczym.

To połączenie doświadczenia i świeżości pozwala uchwycić nie tyle „styl pomorski” (jeśli taki w ogóle istnieje), ile raczej kalejdoskop tematów i języków wizualnych, którymi artyści operują, żyjąc tu i teraz. Bo właśnie „tu i teraz” jest istotą biennale – regulamin dopuszcza jedynie dzieła powstałe w ciągu ostatnich dwóch lat, co daje widzom rzadką okazję zobaczenia prac niemal prosto z pracowni.

Miejsce spotkania

Jak podkreśla kuratorka wydarzenia, Grażyna Tomaszewska-Sobko, Gdańskie Biennale to nie tylko wystawa. To również, a może przede wszystkim, platforma spotkania. Dialogu między twórcami, krytykami, kuratorami i publicznością. W tym sensie biennale pełni podwójną funkcję:



MATERIAŁY PRASOWE

z jednej strony dokumentuje aktualny stan lokalnej sztuki, z drugiej – buduje wspólnotę wokół pytania: co dziś może (i powinno) mówić dzieło sztuki?

Dlatego na wystawie nie dominuje jedna stylistyka czy temat. Zamiast jednego tonu – polifonia. Prace rozpięte są między intymnym notatnikiem a komentarzem społecznym, między formą abstrakcyjną a reportażem. Dla widzów to szansa, by wejść w kontakt z różnorodnymi wrażliwościami – czasem bliskimi, czasem wytrącającymi z równowagi.

Na zakończenie – finisaż. To wtedy ogłoszone zostaną wyniki konkursu i przyznane trzy nagrody: Nagroda Główna, Nagroda Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz Nagroda Publiczności, którą widzowie przyznają swoim ulubieńcom. Głosować będzie można przez cały czas trwania wystawy – warto więc nie tylko oglądać, ale i uczestniczyć.

Twarze i nazwiska

Wśród uczestników znajdziemy m.in. Alicję Bach, Martę Branicką, Natalię Gwiazdowską, Tomasza Kopcewicza, Annę Witkowską, a także wspomnianych wcześniej twórców o rozpoznawalnym dorobku.

Biennale to wydarzenie cykliczne, ale każda edycja przynosi coś nowego. Jeśli sztuka jest lustrem, w którym odbijają się nasze czasy – warto w to lustro spojrzeć, nawet (a może szczególnie) latem. ©

8. GDAŃSKIE BIENNALE SZTUKI

| Gdańska Galeria Miejska (GGM2)
i Gdańska Galeria Güntera Grassa,
do 14 września 2025 r. | **KURATORZY:**
Grażyna Tomaszewska-Sobko,
Rada Programowa GGM

Obrazy od góry: Marcin Zawicki „Autoportret w futrze” (2023); Agata Nowosielska „Wielkie Czesanie” (2023); Mikołaj Harmoza „Green cookie” (2024); Kamila Gruszecka „Rytuały bliskości” (2025)

Młodość, prywatność, niepokój

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa w Zielonej Bramie to portret pokolenia, które opowiada o świecie przez pryzmat własnych doświadczeń. Sztuka młodych malarek i malarzy staje się osobistym zapisem epoki kryzysów.

W Zielonej Bramie, oddziale gdańskiego Muzeum Narodowego, można oglądać wystawę „Opowiem Wam o sobie/o nas”. To pierwsza odsłona kolekcji młodego polskiego malarstwa stworzonej przez mBank i niedawno przekazanej temu muzeum. Zbiór powstał w latach 2020-2024. Wyboru prac dokonywała komisja zakupów pod przewodnictwem dziennikarza i krytyka sztuki Piotra Sarzyńskiego. W jej skład weszli: Marta Antoniak, Marek Bartelik, Rafał Kamecki, Julia Materna, Karolina Nowak-Sarbińska i Wojciech Szymański – osoby aktywnie śledzące sztukę współczesną. W selekcji kierowano się dwoma kryteriami. Pierwszym był wiek artystki lub artysty: do 35. roku życia (choć w niektórych przypadkach nabywano kolejne prace twórców, którzy tę granicę przekroczyli). Drugim – medium. Choć kolekcja powstała pod hasłem „m jak malarstwo”, traktowano je szeroko: uwzględniano dzieła łączące różne media i eksperymentujące z malarską tradycją. Ostatecznie nabyto 152 prace,

które następnie zostały podarowane muzeum w Gdańsku. To wciąż rzadkość w Polsce, by korporacyjna kolekcja sztuki trafiła do zbiorów publicznych.

Dokument czasu

Powstał zbiór niejednorodny, który – jak podkreślają jego twórcy – „nie narzuca jednej interpretacji, lecz ukazuje bogactwo wrażliwości i różnorodność języków młodej sztuki”. Są tu prace debiutantów i debiutantek, twórczyń i twórców, którzy dopiero budują swoją pozycję, ale także tych, którzy zyskali już uznanie i rozgłos – jak Martyna Czech, Agata Kus, Marta Nadolle, Karol Palczak, Patryk Różycki czy Agata Słowak.

Szczegółowość tej kolekcji wynika również z tego, że stanowi dokument czasu, w którym powstała – wyjątkowego, bo obejmującego pandemię, pełnoskalową inwazję Rosji na Ukrainę, pogłębiający się kryzys klimatyczny i ostrą polaryzację w Polsce. To zbiór, który – jak zauważa Piotr Sarzyński – rejestruje puls współczesnego malarstwa w Polsce, ale również – dodajmy – nasze niedawne doświadczenia. Opowiada poprzez sztukę o tym, co jako

jednostki i jako zbiorowość w ostatnich latach przeżyliśmy.

Pamięć pokolenia

Dzięki darowi mBanku gdańskie Muzeum Narodowe dysponuje dziś największą i najważniejszą kolekcją nowego polskiego malarstwa. Żadne inne muzeum czy publiczna galeria nie może się z nim równać. Kolekcja ta dopełnia wcześniejsze zbiory instytucji, wzbogacone dzięki wsparciu zmarłego niedawno Basila Alkazziego – artysty, filantropa i wieloletniego darczyńcy muzeum – który umożliwił zakup 220 prac młodych polskich twórczyń i twórców, m.in. Agaty Bogackiej, Karoliny Jabłońskiej, Ewy Juszkiewicz i Karola Radziszewskiego.

W pierwszej odsłonie prezentowane są prace odnoszące się do naszej rzeczywistości. To dokument „zbiorowej wyobraźni młodego pokolenia, dla którego malarstwo wciąż pozostaje żywym medium opowiadania o świecie”. Jak piszą twórcy wystawy, sztuka ta pozwala wciąż mówić o sprawach ważnych – politycznych, społecznych – i to niekoniernie wprost. Czasem pojawia się ironia, jak w pracy Karoliny Konopki „Patriotyczny wyrób cukierniczy”, przedstawiającej Polskę jako tort z biszkoptu, śmietany i czerwonej galaretki. Innym razem to ucieczka w baśniowy świat – jak w obrazach Anny Grzymały, które poetycko i symbolicznie podejmują tematy konsumpcjonizmu, pracy w korporacji, toksycznej męskości, policyjnej przemocy czy wojny. Albo sięganie do przeszłości, jak w obrazie „The Boat” Mikołaja Sobczaka, pokazującym łódź z grupą uchodźców prowadzonych przez Stormé DeLarverie – postać, której opór wobec przemocy policji dał początek zamieszkom w Stonewall.

Przeszłość jest zresztą stale obecna w tej wystawie. Artysci i artystki sięgają po dawne epoki i tradycje – romantyzm, nurty artystyczne, konkretne dzieła



Anna Grzymała „Sami swoi” Wystawa „Opowiem Wam o sobie/o nas”, Muzeum Narodowe – Zielona Brama

→ sztuki. Marcin Janusz inspirował się nie tylko słynnym „Sądem Ostatecznym” Hansa Memlinga, lecz także „Apoteozą Gdańską” Izaaka van den Blockego, jednego z czołowych przedstawicieli polskiego manieryzmu. Z kolei Krzysztof Nowicki odwołuje się do „Sceny sportowej” XVII-wiecznego malarza Abrahama Hondiusa.

Nie „my”, tylko „ja”

Ale przede wszystkim wystawa pokazuje, że młodzi artyści i artystki opowiadają o świecie przez własne doświadczenie – nie z pozycji „my”, lecz „ja”. Nie wynika to z egoizmu czy skupienia na sobie, ale z pragnienia autentyczności. To opowieści biograficzne, emocjonalne, pełne świadomości, że dzieł nie się własnymi przeżyciami to gest ryzykowny. „Malarstwo pomagało w walce z poczuciem przygnębienia i przytłoczenia nagłą ilością czasu – dlatego trzeba było szukać jakichkolwiek możliwości pracy, aby nie dać się przygnębieniu” – wspomina czasy lockdownu Agnieszka Apoznańska w publikacji towarzyszącej wystawie. „Zawsze jest ktoś, kto chce mnie w jakiś sposób wykorzystać” – mówi Monika Misztal. „Poprzez fizyczność bohaterki pokazują to, co kobieta ma atrakcyjnego, cennego, czego ktoś inny może pożądać. To może być jej ciało, ale także talent, pieniądze, pozycja, energia”.

Z tych indywidualnych historii czasem wyłaniają się szersze – jak w pracach Małgorzaty Mycek, Karola Palczaka czy Patryka Różyckiego – o społecznych, kulturowych i ekonomicznych uwarunkowaniach dorastania. O mieszkańcach polskiej wsi czy małych miasteczek, których doświadczenie przez długi czas było w sztuce nieobecne.

Efekt jest wystawa, która stanowi dokument epoki pełnej egzystencjalnego niepokoju. Opowieść o pamięci, dorastaniu, tożsamości, kobiecości i męskości, odmienności. To jednak tylko jedna z narracji o młodym polskim malarstwie. Druga odsłona zostanie pokazana w tej samej przestrzeni od 12 października do 7 grudnia 2025 roku. Znajdą się na niej prace odwołujące się do tradycji abstrakcji, a także – przeciwnie – do różnych form realizmu i malarstwa surrealistycznego. Wśród nich dzieła m.in. Karola Palczaka, Łukasza Stokłosa, Natalii Załuskiej.

© PIOTR KOSIEWSKI

OPOWIEM WAM O SOBIE/O NAS | Muzeum Narodowe w Gdańsku – Zielona Brama, do 20 września 2025 r. | **KURATORZY:** Maja Murawska, Piotr Sarzyński.



Gościnności

PIOTR KOSIEWSKI

Czym dziś jest gościnność? Komu jej udzielamy, a komu odmawiamy? Odpowiedzi szuka wystawa „Gościnności” w NOMUS-ie, będąca opowieścią o empatii, inności i trudnych pytaniach o tożsamość.

Wystawa „Gościnności”, prezentowana w NOMUS-ie – oddziale gdańskiego Muzeum Narodowego – gromadzi prace blisko 50 artystek i artystów. To wielogłosowa opowieść o tym, jak zmienia się rozumienie gościnności: od gestu otwartości po narzędzie wykluczenia. Jej tytuł – celowo w liczbie mnogiej – sygnalizuje różnorodność doświadczeń i znaczeń, ale też napięcia i sprzeczności związane z tym pojęciem. Gościnność jest bowiem uniwersalną wartością, ale jednocześnie zależy od lokalnych uwarunkowań politycznych, społecznych czy ekonomicznych – oraz regulacji prawnych i umów międzynarodowych.

Wystawa w NOMUS-ie pokazuje zatem tak wymiar globalny problemu, jak i lokalny, osadzony w hi-

storii samego miejsca – podobnie jak wpisany w nią budynek muzeum, położony nieopodal Pomnika Poległych Stoczniovców 1970 roku, legendarnej Sali BHP oraz siedziby Europejskiego Centrum Solidarności. Jego historia może być symbolem skomplikowanych dziejów miasta, w tym tworzenia społeczności gdańszczan w powojennych realiach – ekspozycję zorganizowano w 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej.

Nowa architektura Europy

Z gościnnością nierozłączne jest wreszcie pytanie o jej ograniczenia. Polityka migracyjna to dziś jeden z najważniejszych tematów debat i sporów politycznych w całej Unii Europejskiej. Stąd wzmacnianie granic, propozycje zaostrzenia prawa azylowego itd. Hasło budowania murów chroniących



MATERIAŁY PRASOWE



DOMINIK WERNER / NORTH.FILM / MATERIAŁY PRASOWE MNG

Po lewej: Jakub Bąkowski „Polaris. Lato 2009”, wystawa „Gościnności”, Muzeum Narodowe w Gdańsku; po prawej: budynek NOMUS-u

nas przed niechcianymi przybyszami przestało być jedynie częścią retoryki skrajnej prawicy – dziś są one fizycznie wznoszone na granicach zewnętrznych UE. Co więcej, stają się – jak w pracy Łukasza Skapskiego – nową architekturą Europy.

Tematem wystawy nie są jedynie przybysze, ale też osoby ich goszczące. Tomasz Kosiński i Marta Frej stworzyli neon, w którym za pomocą koloru podzielili słowo „gościnność” na dwa: „gość” i „inność”. I to odmienność jest tym, co wyróżnia przybywających – do miejsc, które traktujemy jako własne, oswojone, bliskie, jak w zdjęciach ze słynnego cyklu Zofii Rydet „Zapis socjologiczny”, które także znalazły się w NOMUS-ie. Twórczynie wystawy stawiają pytanie o to, jak „przyjmujemy i traktujemy Innego w przestrzeni, którą uważamy za własną”.

Gdańska Kolekcja Sztuki Współczesnej

Otwarty w 2021 roku NOMUS to jedno z najmłodszych muzeów sztuki współczesnej w Polsce, powstałe dzięki zaangażowaniu przedwcześnie zmarłej krytyczki sztuki i kuratorki Anety Szyłak.

Na wystawie zaś znalazły się – obok użyczonych przez artystki i artystów – prace pochodzące ze zbiorów Gdańskiej Galerii Fotografii oraz Gdańskiej Kolekcji Sztuki Współczesnej, będącej depozytem gminy miasta Gdańsk w zbiorach NOMUS-a.

Gdańska Kolekcja Sztuki Współczesnej to jedyny w Polsce zbiór tworzony systematycznie przez władze samorządowe – i z udziałem samych artystek i artystów. Jej wyjątkowość polega także na demokratycznym, przejrzystym procesie budowy: twórcy sami zgłaszają swoje prace, a wyboru dokonuje komisja zakupowa złożona z ekspertów. Dzięki temu mieszkanki i mieszkańcy Gdańska stają się rzeczywistymi mecenasami sztuki współczesnej.

Kolekcja rozwijana od 2017 roku obejmuje dziś ponad 100 prac artystek i artystów. Każdego roku do zbioru dołączają nowe dzieła, wybierane w ramach otwartego naboru. Zakup finansowany jest bezpośrednio z budżetu miasta, a program koordynuje NOMUS – oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. Wśród dzieł: prace Anny Królikiewicz, Agaty Nowosielskiej, Doroty Nieznalskiej, Anny Orbaczewskiej, Joanny Rajkowskiej, Karola Radziszew-

skiego i Julity Wójcik. W tworzeniu kolekcji położono nacisk na dzieła artystów i artystek pochodzących z Trójmiasta lub tworzących w lokalnym kontekście.

Ma ona bowiem pokazywać sztukę z perspektywy lokalnej, ale nie zamkniętej – przeciwnie, osadzonej w dialogu z globalnymi zjawiskami: polityką ciała, ekologią, pamięcią, oporem wobec przemocy. Znalazły się w niej zarówno prace malarzkie, jak i wideo, instalacje, fotografie czy obiekty. Często są to realizacje zaangażowane, odnoszące się do praw kobiet, sytuacji społecznych mniejszości, do historii nieopowiedzianej lub wypieranej. Kolekcja prezentowana jest rotacyjnie w przestrzeniach NOMUS-u i innych oddziałach gdańskiego Muzeum Narodowego, a prace są także wypożyczane na wystawy w Polsce i zagranicą. Publiczny charakter kolekcji czyni z niej rzadki przykład sztuki współczesnej obecnej w miejskim obiegu – nie tylko jako wystawa, ale jako trwałe dobro wspólne. ©

GOŚCINNOŚCI | NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki, do 29 marca 2026 r. | **KURATORKI:** Aleksandra Grzonkowska, Maja Murawska

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 32/2025

REDAKCJA: Jacek Taran, Michał Sowiński

PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz

SKŁAD: Zuzanna Kardyś | Opieka promocyjna: Anna Pietrzykowska

Na okładce: Budynek NOMUS-u // DOMINIK WERNER / NORTH.FILM / MATERIAŁY PRASOWE MNG

PARTNER DODATKU:



GDAŃSK



GOSHKA MACUGA AND KATE MACGARRY. LONDON / MATERIAŁY PRASOWE



Goshka Macuga, „Make Tofu Not War”, 2018 r. Wystawa „Changes”

Trzy spojrzenia

MICHAŁ SOWIŃSKI

Gdańska sztuka patrzy uważnie. Na świat w ruchu, na miejsca, które domagają się uwagi, i na tych, których zwykle się nie dostrzega. Wystawy w Łaźni, w Stoczni i Muzeum II Wojny Światowej łączy skupienie i troska.

CHANGES

British Council w Gdańsku

Gdańskie Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia po raz kolejny staje się miejscem wystawy międzynarodowej wagi ciężkiej. „Changes” – prezentowana w dwóch oddziałach instytucji (na Dolnym Mieście i w Nowym Porcie) – to wystawa prac z kolekcji British Council, jednej z najważniejszych kolekcji sztuki nowoczesnej w Europie. Prezentowane są nazwiska najwyższej próby: Damien Hirst, Mona Hatoum, Grayson Perry, Yinka Shonibare, Goshka Macuga – postaci na stałe wpisane w kanon sztuki współczesnej. Ale „Changes” nie jest przeglądem ikon. To wystawa pytająca o relację ze światem w stanie ciągłej zmiany.

Tytuł – zaczerpnięty z piosenki Davida Bowiego – staje się kluczem do całości: jak mierzyć się z niestabilnością? Co znaczy adaptacja, opór, przebudowa? Jak odnaleźć radość – nie mimo, ale poprzez zmianę? Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia pokazuje brytyjską sztukę bez pocztówkowego filtra. Hirsta nie obudowuje sensacją, Perry’ego nie zamyka w kategorii barwnego ekscentryka. To wystawa o kryzysie i odbudowie – społeczeństw, tożsamości, obrazów.

Na szczególną uwagę zasługuje „The Unfinished Conversation” Johna Akomfrah – wielokanałowa instalacja wideo

wyświetlana w Nowym Porcie. Wpłata w kontekst miejsca – dzielnicy pamięci, migracji i przemian – staje się lokalną opowieścią o globalnych pęknięciach. Wystawa nie ucieka od ciężaru teraźniejszości: wojny, migracji, postkolonialnych napięć. Ale nie epatuje katastrofą. W zamian proponuje język zniuansowany, wizualnie gęsty, emocjonalnie subtelny.

To jedna z tych wystaw, które trudno opisać jednym zdaniem. Ma rozmach, ale nie traci czucia. Ma polityczną temperaturę, ale nie traci formalnej precyzji. Pokazuje, że Gdańsk potrafi rozmawiać z największymi kolekcjami świata – i że potrafi je pokazywać w sposób świadomy, kontekstowy, nie-obojętny.

GRID ARTHUB

Nowe życie hali 31B

Na mapie Gdańska pojawiła się nowa przestrzeń – i nie jest to kolejne centrum kultury z marmuru i szkła. Grid ArtHub mieści się w dawnej hali 31B na terenach Stoczni – miejscu pogranicza: pamięci i przyszłości, zardzewiałego mitu i eksperymentalnej energii. Inicjatywa Alicji Jabłonowskiej (twórczyni rooczni) to niezależna platforma rezydencji, pracowni i wspólnej przestrzeni dla lokalnych twórców – nie tyle instytucja, co organizm.



RAFAŁ MROZIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE GRID ARTHUB

Siedziba Grid ArtHub



AGNIESZKA STAWROŚCIEJKO / MIŁWS

Wystawa „Fauna. Zwierzęta na wojnie i ich ludzie”, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

W otwarciu – odbywającym się w formie trzydniowego festiwalu – udział wzięli artyści, muzycy, aktywiści, architekci. Była sesja PechaKucha, wspólne śniadanie, improwizowane Radio Ingrid, performans „Wylewka” i oprowadzania po pracowniach. Ale to nie impreza była sednem. Chodziło o coś więcej: o zbudowanie nowego modelu działania, w którym twórczość nie jest sezonowym dodatkiem, lecz rdzeniem codzienności.

Grid ArtHub nie obiecuje spektaklu. Obiecuje miejsce do pracy. Ma być narzędziem, nie pomnikiem. Dlatego tak mocno wybrzmiewają jego hasła: „eksperyment”, „powsolność”, „wspólnota”, „działanie w kontekście”. W epoce zgłębku i konkursów projektowych to dość radykalna propozycja. Ale właśnie dlatego potrzebna.

Z perspektywy miasta Grid jest też ciekawym przypadkiem partnerstwa: niezależna inicjatywa współpracuje z programem Gdańskie Stypendium Kulturalne – Fundusz Twórczy i prowadzi rezydencje RoomArt. Sztuka w Gdańsku nie ogranicza się do instytucji. W przestrzeni publicznej miasta – od murali na Dolnym Mieście po działania na terenach postoczniowych – można napotkać prace, które stają się częścią codziennego krajobrazu. To miasto, które pozwala doświadczać sztuki także podczas zwykłego spaceru. To przykład, jak można działać między – bez utraty tożsamości. A dla Stocznii – to nowa opowieść: o dziedzictwie, które nie zastyga w historii, lecz staje się punktem wyjścia dla kolejnych pokoleń.

FAUNA

Zwierzęta na wojnie

Nowa wystawa czasowa w Muzeum II Wojny Światowej odbiega od utartego scenariusza opowieści o wojnie. „Fauna. Zwierzęta na wojnie i ich ludzie” to ekspozycja poświęcona istotom, które zazwyczaj pozostają niewidzialne w militarnych narracjach: koniom, psom, gołębiom, a także tym zupełnie anonimowym – użytym do testów, porzuconym, zapomnianym.

Wystawa nie próbuje uczłowieczyć zwierząt, ale i nie zostawia ich w roli tła. Opowiada historię współistnienia – pełną lojalności, przemocy, zależności. Zwierzęta były i narzędziami wojny, i jej ofiarami. Były bohaterami – jak niedźwiedź Wojtek – ale i nieświadomymi uczestnikami ludzkich dramatów. Instalacja przestrzenna z głowami (rzeźby Beksińskiego, prace Pawła Sasina i artysty Szybalsky’ego) otwiera opowieść o ciele, pamięci i etyce.

Narracja wystawy biegnie kilkoma torami: są eksponaty historyczne (siodła, uprzęże, dokumenty), są współczesne dzieła sztuki (Surowiec, Burek), są też materiały edukacyjne – katalog, audioprzewodnik Krystyny Czubówny. W tle porusza pytanie: co nas różni – a co łączy? I czy wojna naprawdę zaczyna się dopiero tam, gdzie pada pierwszy strzał?

Kuratorzy nie szukają łatwego efektu. Nie idą w patos. Proponują coś trudniejszego: uważność. W spojrzeniu na zwierzę jako „innego” rysuje się też pytanie o gościnność – czy jesteśmy gotowi dzielić naszą opowieść o wojnie z tymi, którzy nie mają głosu? W tym sensie „Fauna” to wystawa polityczna, ale w znaczeniu najgłębszym: dotycząca relacji, zależności, wspólnoty i wykluczenia. ©

CHANGES

Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia 1 i 2 (Dolne Miasto i Nowy Port), do 24 sierpnia 2025 r.

KURATORKI: Agnieszka Kulazińska, Katarzyna Serkowska

GRID ARTHUB

Hala 31B, tereny postoczniowe

KOORDYNACJA: Alicja Jabłonowska

FAUNA. ZWIERZĘTA NA WOJNIE I ICH LUDZIE

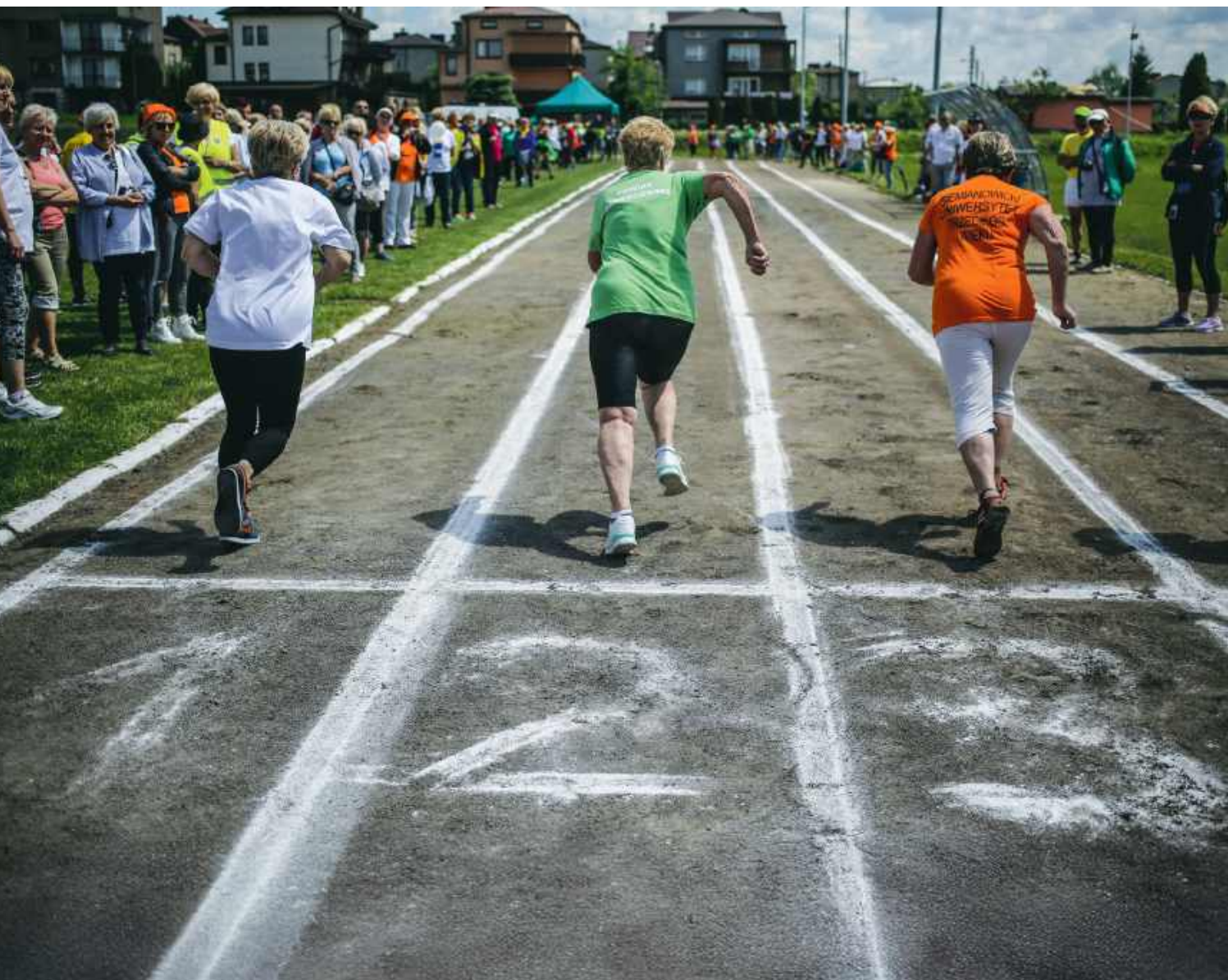
Muzeum II Wojny Światowej, do 30 grudnia 2025 r.

KURATORZY: Marek Zambrzycki, Monika Krzencessa

ZMIEŃ SOBIE OSOBOWOŚĆ

MAGDALENA LESZKO, PSYCHOLOŻKA I GERONTOŁOŻKA:

W psychologii i psychiatrii długo dominował pogląd, że osobowość, zwłaszcza po 25. czy 30. roku życia, niemal nie podlega zmianom. Dziś wiemy, że to mit. Doświadczenia życiowe i środowisko, w którym żyjemy, nieustannie na nas wpływają.



ŁUKASZ SAKOWSKI: Czym jest osobowość?

MAGDALENA LESZKO: Jeśli spojrzymy na to, jak ludzie używają słowa „osobowość” na co dzień, często usłyszymy, że to „coś, co charakteryzuje daną osobę”. Używamy zamiennie takich określeń jak „charakter” czy „tożsamość”. W psychologii osobowość to jedno z tych pojęć, które są zarazem fundamentalne, jak i dość skomplikowane. Nie ma jednej, powszechnie akceptowanej definicji, ale jeśli mielibyśmy to ująć w proste słowa, osobowość to taki względnie stały zestaw cech, które wpływają na to, jak myślimy, jak czujemy i jak się zachowujemy w różnych sytuacjach. Taki nasz psychologiczny autoportret.

Z jednej strony widać w nas tę stałość – pewne rzeczy robimy zawsze w podobny sposób, mamy swoje ulubione zajęcia, przewidywalne reakcje. Ale z drugiej, osobowość potrafi być też zmienna. Świetnie odzwierciedla to jedna z definicji osobowości, opracowana przez Davida Wintera z University of Michigan. Podkreśla on, że osobowość to nie statyczny zbiór cech, ale raczej dynamiczny zestaw zdolności i dyspozycji, które mogą być aktywowane lub wysuwane na pierwszy plan, w zależności od wymagań środowiska. Sugeruje, że możemy pomyśleć o osobowości jako o swego rodzaju komputerze: ma ona swoje „sprzętowe” cechy stałe, ale też mnóstwo „programów” czy „aplikacji”, które reprezentują jej zmienne aspekty.

Co więcej, jako ludzie często prezentujemy różne aspekty swojej osobowości, zależnie od kontekstu, co odzwierciedla skomplikowaną naturę człowieka. Warto zadać sobie pytania: kim jestem i kim bywam? Kluczowe jest też to, że cechy składające się na naszą osobowość są względnie stałe. To „względnie” jest tu bardzo ważne, ponieważ mówimy o pewnej stabilności.

Co wpływa na powstawanie, kształtowanie i zmiany osobowości?

Kształtowanie się osobowości to złożony i dynamiczny proces. Choć jego najbardziej intensywna faza przypada na dzieciństwo i adolescencję, to trwa

IX Olimpiada Uniwersytetów Trzeciego Wiek i Organizacji Senioralnych, Łazy, 2017 r.

on przez całe życie. Długo utrzymywało się przekonanie, że osobowość jest „ustalona raz na zawsze” we wczesnej dorosłości, jednak zostało to zakwestionowane przez wiele badań. W przypadku różnych osób możemy jednak mówić o względnej stałości niektórych cech osobowości. W każdym razie w okresie kształtowania się osobowości kluczową rolę odgrywają interakcje z otoczeniem, w tym relacje rodzinne, doświadczenia społeczne oraz kultura, w której wzrastamy.

A doświadczenia życiowe?

Z psychologicznego punktu widzenia nasze doświadczenia są kluczowe w procesie kształtowania się osobowości. To one generują określone emocje, myśli i skojarzenia, budując jednocześnie nasz wewnętrzny paradygmat – fundamentalny sposób, w jaki postrzegamy samych siebie. Właśnie dlatego w psychoterapii często skupiamy się na przełamywaniu nieaktualnych czy błędnych przekonań na swój temat, co otwiera drogę do rozwoju nowych, bardziej adaptacyjnych wzorców zachowań.

Nasz sposób myślenia, działania i przeżywania emocji jest też w ogromnym stopniu kształtowany przez informacje zwrotne, które otrzymujemy od innych ludzi, zarówno te werbalne, jak i niewerbalne. Przeżycie traumatycznego wydarzenia lub przeciwnie, odniesienie dużego sukcesu, a także zmiany ról życiowych (np. zostanie rodzicem), to wszystko może modyfikować esencję tego, kim jesteśmy. Świadoma praca nad sobą poprzez psychoterapię czy rozwój osobisty również mogą prowadzić do zamierzonych zmian w osobowości.

Rzeczywistość poniekąd nawet rzeźbi nasze zachowania. Wymusza coś na nas, a to samo w sobie nas kształtuje.

Zdecydowanie. Najłatwiej będzie mi to wytłumaczyć na przykładzie pięcioczynnikowego modelu osobowości, tzw. wielkiej piątki Paula Costy i Roberta McCrae. Model ten zakłada, że osobowość każdego człowieka można opisać za pomocą pięciu podstawowych wymiarów, z których każdy reprezentuje continuum, a poszczególne osoby różnią się natężeniem tych cech. Pięć głównych wymiarów osobowości to neurotyczność, ekstrawersja, otwartość na doświadczenie,

ugodowość i sumiennność. Te cechy wskazują względną stabilność, ale badania wskazują na to, że z wiekiem pojawia się tendencja do spadku poziomu neurotyczności, co przekłada się na większą stabilność emocjonalną i podwyższoną odporność na stres. Czasem wynika to z wcześniejszych doświadczeń, które budują wewnętrzną siłę i rezyliencję, czyli odporność psychiczną. Ludzie często stają się bardziej sumienni, zorganizowani, odpowiedzialni w miarę dorastania i wchodzenia w role społeczne, takie jak zawód czy rodzicielstwo, bo poniekąd wymagania związane z tymi rolami wymuszają na nich zmiany.

Nasza osobowość nie tylko reaguje na środowisko, ale aktywnie je kształtuje i wpływa na doświadczenia, które nas spotykają. Mówimy tu o tzw. transakcji osoba–środowisko, czyli o wzajemnym oddziaływaniu między nami a otoczeniem. Np. osoba, która charakteryzuje się wysoką ekstrawersją i otwartością na doświadczenie ze względu na te cechy jest naturalnie skłonna do poszukiwania nowych wyzwań, nawiązywania kontaktów i podejmowania ryzyka. Może więc celowo szukać pracy wymagającej podróży, interakcji z ludźmi i nauki. Jej łatwość w nawiązywaniu relacji sprawi, że będzie chętnie poznawać nowe osoby i zdobywać różnorodne doświadczenia. To z kolei może prowadzić do dynamicznej kariery, podróży i bogatego życia towarzyskiego. Z kolei osoba, która cechuje się wysoką sumiennością, ale niską ekstrawersją, będzie raczej preferować stabilność, porządek i przewidywalność. Prawdopodobnie wybierze pracę, która oferuje regularne godziny i sztywne środowisko. Zamiłowanie do rutyny sprawi, że może unikać angażowania się w spontaniczne wyjazdy, a jej życie będzie prawdopodobnie miało mniejszą liczbę nagłych zmian lub doświadczeń.

A co wpływa na relacyjny aspekt osobowości? Są przecież osoby bardzo towarzyskie i otwarte, a zarazem mające problemy z tworzeniem głębokich, autentycznych i bliskich więzi.

To trafne spostrzeżenie. Bycie osobą towarzyską i otwartą to jedno, a umiejętność tworzenia głębokich, autentycznych więzi to coś zupełnie innego. Osoba ekstrawertyczna chętnie nawiązuje nowe →

→ znajomości, uczestniczy w wydarzeniach społecznych i łatwo inicjuje rozmowy. Jednak sama potrzeba bycia z ludźmi nie gwarantuje, że te interakcje przekształcają się w głębokie więzi.

Ważna jest też ugodowość. Osoby o wysokiej ugodowości są zazwyczaj empatyczne, ufne, skłonne do współpracy i altruistyczne. To właśnie te cechy sprzyjają budowaniu zaufania, wzajemnego zrozumienia i intymności w relacjach. Osoba ugodowa jest bardziej skłonna do słuchania, wspierania i kompromisów, co jest fundamentem głębokich więzi. Warto jednak też podkreślić rolę neurotyczności, bo jej wysoki poziom wiąże się z niestabilnością emocjonalną, tendencją do lęku, zamartwiania się i reagowania silnym stresem. Osoby neurotyczne mogą mieć trudności z zaufaniem, obawiać się odrzucenia lub nadmiernie interpretować sygnały z otoczenia jako zagrożenie. Nawet jeśli są towarzyskie, ich wewnętrzne niepokoje mogą utrudniać otwarcie się i pozwolenie sobie na autentyczną bliskość. Mogą unikać głębszego zaangażowania, aby chronić się przed potencjalnym bólem lub rozczarowaniem.

Rozmawiałem o osobowości z psychologami i psychiatrami. I zauważyłem, że ci pierwsi zwykle są zdania, że osobowość można zmieniać nawet na starość, mimo iż jest to trudniejsze. Od psychiatrów słyszałem sztywnie: nie, po 25. roku życia nie ma już możliwości na zmianę osobowości.

W psychologii i psychiatrii długo dominował pogląd, że osobowość, zwłaszcza po 25. czy 30. roku życia, niemal nie podlega zmianom. Faktycznie, często słyszy się o tym, że „starych drzew się nie przesadza” czy „starego psa nowych sztuczek nie nauczysz”. Te popularne powiedzenia, niestety, utralają szkodliwe przekonanie o niemożności zmiany i mogą prowadzić do demotywacji. Współczesne badania podważają mit o niezmienności osobowości. Doświadczenia nabywane we wczesnej, średniej

i późnej dorosłości odgrywają kluczową rolę w dalszym kształtowaniu osobowości. Bardzo dużo dzieje się w naszym życiu w tym czasie: zawarcie małżeństwa, rodzicielstwo, rozwód, zmiana pracy, przejście na emeryturę – każda z tych ról wymaga adaptacji i może prowadzić do zmiany niektórych cech. Choroba czy strata bliskiej osoby to kolejne zmiany i choć trudne, często stanowią impuls do przewartościowania życia i wykształcenia większej odporności psychicznej.

Szerzenie poglądu, że nie może dojść do zmiany, ma ogromne znaczenie kliniczne oraz społeczne. Jeśli człowiek wierzy, że nie jest w stanie się zmienić, lub jeśli otoczenie mu to wmawia, to faktycznie może zaniechać prób rozwoju. To jest właśnie ten mechanizm: brak wiary prowadzi do braku działania, a to z kolei skutkuje brakiem zmian, potwierdzając pierwotne błędne przekonanie. Np. etykietowanie kogoś jako „niezdarnego” czy „leniucha” może sprawić, że ta osoba zacznie zachowywać się zgodnie z tym przyporządkowaniem, nawet jeśli początkowo tak nie było. Podobnie jest u osób starszych.

Warto podkreślić, że w wieku dorosłym również powstają nowe połączenia synaptyczne, a stare zanikają. Jedne drogi neuronalne, odpowiedzialne za określone skojarzenia myślowe czy emocjonalne, wzmacniają się, inne osłabiają, a także powstają zupełnie nowe. Owszem, tworzenie czegoś na już ukształtowanym fundamencie jest zazwyczaj trudniejsze niż budowanie od nowa. Jednak to nie oznacza, że „starego budynku nie da się przebudować”. Można zburzyć jedne ściany, dorobić inne, przemałować, wymienić dachówki, drzwi, zmienić meble czy wystrój.

Poza tym diagnozy psychiatryczne i psychologiczne są obarczone dużym ryzykiem błędu.

To ważna kwestia sama w sobie. W nurcie takim jak terapia systemowa, który jest mi bliski, często odchodzimy od pracy z samą diagnozą. Zamiast tego

koncentrujemy się na pracy nad konkretnymi, nieadaptacyjnymi wzorcami funkcjonowania danej osoby. Oznacza to, że zamiast informować pacjenta o posiadaniu np. zaburzenia borderline, mówimy o wyzwaniach związanych z funkcjonowaniem i roli objawów. Pozwala to na bardziej kompleksowe podejście do osoby i minimalizuje ryzyko stygmatyzacji, która niestety bywa związana z diagnozami.

Z wiekiem mamy coraz więcej wspomnień, ale też na starość część z nich zaczynamy zapominać. Jak to wpływa na osobowość?

Jest to wpływ wielowymiarowy. Musimy pamiętać, że poza świadomymi wspomnieniami nasze ciało również „pamięta” różne doświadczenia, często z okresów, których świadomie nie rejestrujemy. Doskonałym przykładem są osoby, które w dzieciństwie doświadczyły zaniedbania lub przemocy. Choć nie posiadają świadomych wspomnień z tego okresu ze względu na swój bardzo młody wiek, ich ciało może reagować na dotyk czy bliskość fizyczną nieświadomym oporem lub wzdrygnięciem. Jeśli nie udało im się zbudować bezpiecznych więzi w późniejszym życiu – czy to z dziadkami, opiekunami, czy w pierwszych związkach romantycznych – takie reakcje mogą utrudniać nawiązywanie i utrzymywanie bliskich, niezbędnych dla zdrowia psychicznego kontaktów. To zjawisko jest szczegółowo opisane w literaturze naukowej, np. w książkach Besela van der Kolka.

Ponadto, nasz mózg zachowuje pamięć o rolach społecznych, które pełniliśmy w życiu, nawet jeśli nie są one już aktywne. Rola matki, nauczycielki, najmłodszej córki – wszystkie te role kształtują naszą tożsamość i wpływają na postrzeganie siebie. Szczególnie szkodliwe jest utwierdzanie się w rolach takich jak rola ofiary, ofiary czy obwinianie się za przeszłe wydarzenia, co może negatywnie wpływać na funkcjonowanie osobowości.

Powszechnie przyjmuje się, że jedną z głównych cech osobowości ludzi starszych jest markotność, a nawet zgryźliwość. Czy tak musi być?

Zgryźliwość to cecha charakteru, która przejawia się w złośliwym i uszczypliwym sposobie mówienia lub zachowy-

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

wania się wobec innych. To nie musi być domena wyłącznie osób starszych. Ale przede wszystkim pomyślmy o przewlekłych chorobach i związanym z nimi bólem. Zapominamy, że osoby starsze często zmagają się z dwoma, trzema, a nawet większą liczbą chorób przewlekłych jednocześnie. Te schorzenia mogą powodować stały ból, dolegliwości fizyczne, dyskomfort czy problemy z codziennym funkcjonowaniem. W takich warunkach niezwykle trudno jest zachować pogodę ducha i niezachwiany optymizm. Ból znacząco wpływa na sposób reagowania i zachowanie. Dodatkowo, z wiekiem często dochodzi do pogorszenia zmysłów. To wszystko prowadzi do narastającej frustracji, a gdy staje się ona przewlekła, łatwo może objawiać się jako zrzędlivość, irytacja czy skłonność do narzekania. Zamiast przypisywać tym osobom negatywne cechy osobowości, powinniśmy zrozumieć sytuację, w której się znajdują.

Widziała Pani w swojej pracy klinicznej spektakularne zmiany w osobowości spowodowane starzeniem się?

Musimy odróżnić naturalne procesy starzenia się od zmian patologicznych. W mojej pracy klinicznej jako gerontologa rzeczywiście obserwowałam spektakularne zmiany w osobowości, jednak rzadko kiedy były one wyłącznym efektem samego procesu starzenia się. Znacznie częściej okazywały się symptomem innych, poważnych schorzeń. Jeden z najtrudniejszych przypadków w mojej praktyce dotyczył właśnie takiej sytuacji. Zgłosiła się do mnie pani, której mąż zaczął doświadczać dezorientacji. Zauważyła również, że stał się nieoczekiwanie opryskliwy i nerwowy. Ponieważ towarzyszyła temu utrata pamięci, wstępna diagnoza wskazywała na chorobę Alzheimera. Jednak niezwykle szybkie tempo i radykalny charakter zmian w osobowości tego pacjenta wydawały mi się nieadekwatne do typowego przebiegu choroby. Zaleciłam przeprowadzenie pogłębionych badań diagnostycznych. I niestety – przyczyną zaobserwowanych zmian był guz mózgu. Ten przypadek ilustruje, jak ważne jest, aby przy nagłych i drastycznych zmianach w osobowości w starszym wieku nie ograniczać się do najczęstszych diagnoz, lecz zawsze brać pod uwagę szersze spektrum



ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA LESZKO jest psychoterapeutką, psycholożką i gerontolożką. Wykłada na Drexel University w Pensylwanii oraz na Uniwersytecie Szczecińskim. Prowadzi kanał na YouTube poświęcony psychologii.

możliwych przyczyn, w tym te neurologiczne.

Z wiekiem subiektywnie czas płynie coraz szybciej. Jak przemijający czas wpływa na osobowość na starość?

To prawda, że subiektywne odczuwanie upływu czasu ulega zmianie wraz z wiekiem, często przyspieszając. Ta perspektywa wpływa na sposób, w jaki osoby starsze postrzegają swoje życie i własną osobowość. Podczas gdy młodsze osoby zazwyczaj koncentrują się na dalszym przebiegu życia, seniorzy częściej zaczynają myśleć w kategoriach pozostałego czasu.

Ostatnia faza rozwoju psychospołecznego według teorii Erika Eriksona obejmuje dokonanie bilansu własnego życia. Osoba starsza wchodzi w fazę refleksji, w której podsumowuje swoje dotychczasowe doświadczenia, osiągnięcia, porażki, relacje i wybory. Wiąże się to z refleksją nad tym, co zostało osiągnięte, czego się żałuje, z czego czerpie się zadowolenie, a co zrobiłoby się inaczej, gdyby istniała taka możliwość. Stara się nadać sens całości swojego istnienia.

Niewielu ludzi przechodzi przez życie, podejmując wyłącznie trafne wybory. Wiele osób doświadcza głębokiego żalu, często związanego z fundamentalnymi aspektami życia, takimi jak relacje rodzinne, przyjaźnie czy miłość. Sposób,

w jaki ludzie radzą sobie z tym żalem, jest różnicowany, lecz zazwyczaj negatywnie wpływa na ogólne samopoczucie i na osobowość. Może to prowadzić do wycofania społecznego, obniżonej samooceny, nadmiernej sentymentalności, a także demotywacji do podejmowania nowych działań. Zrozumienie tych procesów jest kluczowe dla wsparcia psychologicznego osób starszych.

Takim punktem przełomowym dla wielu jest pewnie przejście na emeryturę?

Często panuje mylne przekonanie, że emerytura to czas bezczynności. Tymczasem obserwujemy, że wielu seniorów staje się niezwykle aktywnych, angażując się w różnorodne kursy, zajęcia grupowe, spotkania towarzyskie czy podróże. Miejscowości takie jak Ciechocinek są tego doskonałym przykładem, gdzie życie towarzyskie seniorów wręcz kwitnie.

Z perspektywy psychologicznej proces adaptacji do emerytury często przebiega w kilku fazach. Badania wskazują, że początkowo po odejściu z pracy bywa postrzegany jako „miesiąc miodowy”. Charakteryzuje się ulgą, radością z odzyskania swobody i braku konieczności codziennego wstawania do pracy. Jednakże po tym początkowym okresie optymizmu może nastąpić faza kryzysu, a jest to często związane np. z brakiem rutyny i struktury dnia, którą zapewniała praca lub osłabieniem kontaktów społecznych. Niektórzy zaczynają bardziej skupiać się na zdrowiu, częściej odwiedzają lekarzy i koncentrują się na dolegliwościach.

Wiedza psychologiczna o osobowości w okresie starości wciąż wydaje się być jednak dość wątpliwa, w porównaniu do czasu dzieciństwa i dorastania. W końcu każdy był dzieckiem i badań na dzieciach było wiele.

To, co wiemy o dynamice zmian osobowości w starszym wieku, jest rzeczywiście wciąż relatywnie ograniczone, ale wraz ze starzeniem społeczeństwa zmienia się także liczba badań na ten temat. Jestem przekonana, że w nadchodzących dekadach rozumienie psychiki i potrzeb seniorów znacznie wzrośnie, co pozwoli na lepsze wspieranie ich dobrostanu i jakości życia.

© Rozmawiał ŁUKASZ SAKOWSKI

ZEW OCEANU

Co się z nami dzieje? Gwałtowny rozwój technologii i kryzys wyobraźni.

Współzależność gospodarek i globalne kryzysy.

Poszukiwanie życia na dnie oceanów.

Podobne przemiany świata obserwował wielki Juliusz Verne.

MONIKA OCHĘDOWSKA

PONOĆ FANTASTYKA NARODZIŁA SIĘ z chwilą, gdy dzieci były już znudzone baśniami. Pełne grozy opowieści braci Grimm czy pouczające historie o Piotrusiu Rozczochrańcu ustępowały już miejsca opasłym powieściom Karola Maya, Jacka Londona i Henryka Sienkiewicza. Złoty wiek literatury przygodowej przypadał na czasy, w których świat zaczął się gwałtownie kurczyć, a życie stawało się coraz bardziej przewidywalne i komfortowe. Rozczytani i dobrze sytuowani mieszczanie pragnęli doświadczać ryzyka przynajmniej na papierze.

Na krańcach świata

Mały Juliusz Verne (1828-1905), dorastając w portowym zgiełku handlowego miasta na francuskim wybrzeżu, także marzył o przygodach. Obserwując z niewiele starszym bratem wracające z dalekomorskich wypraw żaglowce, klipery i szkunery, musiał się czuć jak Alicja z Krainy Czarów w domku Białego Królika (gdyby znał tę historię).

Zapewne pamiętacie ten fragment z książki Lewisa Carrolla, w którym dziewczynka po zjedzeniu ciasteczka rosła tak bardzo, że przestawała się mieścić pod da-

chem. W drugiej połowie XIX w. dokładnie coś takiego działo się z proporcjami świata. Odległe miejsca zaczynały się do siebie zbliżać dzięki coraz szybszym i coraz bardziej dostępnym środkom komunikacji. Przez Europę pobiegły tysiące kilometrów torów kolejowych, przez Atlantyk płynęły ogromne statki pasażerskie, a po dnie oceanów przeciągnięto kable telegraficzne, umożliwiające przesyłanie informacji z Paryża czy Londynu do Nowego Jorku i Tokio. Wszystkie kraje zostały naniesione na mapy i zaczęły funkcjonować wedle tego samego zegara. Strefy czasowe, w których dziś funkcjonujemy, zawdzięczamy epoce Verne'a.

Nieprzypadkowo historia opisana w „20 000 mil podmorskiej żeglugi” rozpoczyna się na brzegu Nowego Świata. Juliusz Verne był z bratem na wycieczce w Nowym Jorku, a statek, który ich tam zabrał, był naprawdę ogromny: liczył 210 metrów długości i ważył 30 tys. ton. Nazywany początkowo „Lewiatanem”, do historii przeszedł jako „Great Eastern”. Mimo że mógł wziąć na pokład cztery tysiące pasażerów, podczas pierwszej podróży przez Atlantyk miał ich zaledwie czterdziestu. Wkrótce potem sztorm

zniszczył cały jego górny pokład, a właściciel zbankrutował.

Podziurawionego „Lewiatana” odkupił po atrakcyjnej cenie Amerykanin Cyrus Field. Jako „Great Eastern” miał mu posłużyć do ułożenia na dnie oceanu kabla telegraficznego. Projekt doszedł do skutku w roku 1865, tuż przed tym, jak na morzach i oceanach zaczął grasować kapitan Nemo. Kabel położony przez Fielda, jak zauważą dociekliwi czytelnicy i czytelniczki, jest zresztą dla Nautiliusa punktem orientacyjnym w jego podwodnej podróży. Verne płynął statkiem „Great Eastern” na Wystawę Światową w roku 1867. Do roku 1870 kable telegraficzne opłoty niemal cały glob. Przekazywanie informacji było teraz dziecinnie proste.

Kiedy pisarz tworzył postać Fileasa Fogga, ziemię można było także fizycznie okrążyć w niebywałym czasie osiemdziesięciu dni, choć ledwie dwie dekady wcześniej taka wyprawa nie mogłaby trwać krócej niż rok. „Cały świat podróżuje”, notuje w roku 1873 niemiecki pisarz i dziennikarz, Theodor Fontane. Przedsiębiorca Thomas Cook zakłada pierwsze w historii biuro podróży, które organizuje jednodniowe wycieczki koleją – alternatywną ↪



Andre Gill, karykatura Juliusza Verne'a na okładce pisma „L'Éclipse”, grudzień 1874 r.

→ wobec alkoholu formę rozrywki. A że w podróży dobrze jest poczytać, książki drukuje się w ogromnych ilościach. W samej tylko Francji wydawca Louis Hachette posiada pięćset przydworcowych księgarni.

Kiedy świat zmieniał proporcje, a białe plamy na mapach zanikły, przeobrażeniu ulegała także literatura. Ponieważ Europa zostaje dokładnie opisana w przewodnikach, twórcy przygód muszą uciekać dalej – na Dzikie Zachód, do wnętrza ziemi, na Księżyc albo dno oceanu. Czytelnicy pragną opowieści, których bohaterami są śmiało ryzykujący kontakt z nieznanym. Tak rodzi się między innymi powieść naukowa, matka *science fiction*, a wraz z nią nowy typ bohatera: naukowiec w stylu Pierre'a Aronnax, bohatera „20 000 mil podmorskiej żeglugi”.

Głębia pytań

Jak przewiduje w swojej najnowszej książce przyrodnik David Attenborough, na dokładną mapę oceanicznego dna bę-

dziemy musieli poczekać jeszcze co najmniej kilka lat. Biolożka morską Helen Scales policzyła, że badaniem oceanicznych głębin zajmuje się dziś na całym świecie około pięciuset osób. Gdyby całą przestrzeń wód podzielić między nich po równo, każdemu przypadłoby do spenetrowania ponad dwa miliony kilometrów sześciennych, całkiem sporo.

Eksplorowaniem oraz opisem abisalu i hadalu (miejsc, do których nie dociera światło) zajmuje się również Leah, bohaterka wydanej niedawno w polskim tłumaczeniu powieści Julii Armfield „Nasze podmorskie żony” (zob. ramka). Brytyjska autorka podzieliła swoją książkę na rozdziały wedle porządku podwodnych stref. Zanurzając się w fabule, schodzimy – niczym batyskaf – coraz głębiej w codzienność i myśli bohaterek, ale też w całkowite ciemności, do granicy życia jako takiego. Angielskie słowo *abyss*, oznaczające otchłań oraz głębinową strefę oceanów, ma wiele znaczeń. Słowem tym określano na przykład pierwotny chaos, z którego powstał świat. *Abys*s to także „przepaść”, będąca jednocześnie „kolbą i grobem” – jak czytamy w „Raju utraconym” Johna Milтона. Otchłań jest po prostu wszystkim, co niezgłębione. W kulturze Zachodu to słowo zakorzeniło się na dobre wraz z interpretacjami czterdziestego drugiego psalmu po łacinie: „*Abysus abyssum invocat*”, czyli „Otchłań woła otchłań”. I było to wiele wieków przed użyciem owej frazy przez zespół Behemoth.

Za czasów Verne'a, czyli wówczas, gdy na dobre rozpoczęto pomiary głębokości wód, słowo to było już jednoznacznie kojarzone z oceanem. Pierwowzorem Pierre'a Aronnax mógłby być na przykład Edward Forbes, brytyjski przyrodnik, który w roku 1841 jako jeden z pierwszych badał Morze Egejskie, zamieniając kajutę kapitańską w ogromne laboratorium i muzeum jednocześnie. W niedokończony „Historii naturalnej mórz europejskich” Forbes notował, że „w miarę jak schodzimy coraz głębiej, mieszkańcy mórz coraz bardziej się przeobrażają i stają mniej liczni, co wskazuje, że zbliżamy się do otchłani, w której życie wygasło”.

Dziś wiemy, że życie trwa nawet bez światła i tlenu, na przykład dzięki chemosyntezie, energii uwalnianej na skutek przeróżnych reakcji chemicznych.

Głębia nie jest pustką, a żywiołem drobnowstrojów, małych, świecących rybek i dziwnych, galaretowatych stworzeń, które są w stanie znieść ogromne ciśnienie – nieznośne dla ludzkich ciał.

Ale wróćmy do Leah. Kapsuła, w której bohaterka zostaje opuszczona na dno oceanu z dwójką innych badaczy, ulega przedziwnej awarii. Zamknięci na małej przestrzeni naukowcy przez wiele tygodni nie mają kontaktu z bazą. Jak niedgysiejsi stęsknieni za domem żeglarze zaczynają widzieć w ciemnościach morskie potwory, demony i bóstwa, a może po prostu ogarnia ich szaleństwo? To, co stanie się pod wodą, będzie miało wpływ na to, co wydarzy się na powierzchni, nie tylko w relacjach badaczy z najbliższymi, także na powierzchni ich ciał. Opowieść o oceanie jest przecież zawsze opowieścią o zależnościach.

Wielki krach

Na przykład takich, które organizują handel i gospodarkę. Bohater powieści Johna Ironmongera „Wieloryb i koniec świata” jest matematykiem odpowiedzialnym za stworzenie programu analizującego łańcuchy dostaw – zarówno towarów, jak informacji. Joe Haak pracuje dla londyńskiego domu maklerskiego, a jego algorytmy mają zarabiać pieniądze. Jak to działa? Wystarczy ustawić aktualną temperaturę relacji pomiędzy Arabią Saudyjską a Iranem, by program Haaka wypluł prognozę: spadną nie tylko ceny ropy, w całym zamieszaniu straci również szereg nieznanym importer bawelny. Należy prędko shortować jego akcje.

Nazwany przewrotnie Cassie (na cześć Kasandry) algorytm działa nieco inaczej niż programy pozostałych domów maklerskich w City. Zbudowany jest bowiem jak generatory tekstów, z których korzystamy na co dzień – na silniku semantycznym. Cassie czyta wszystkie gazety codzienne, szczególnie kolumny o rynkach i gospodarce: trzysta publikacji w dwunastu językach, ponad dziesięć tysięcy tekstów dziennie. Do tego zaopatrzona jest przez swojego twórcę w pokaźne prasowe archiwa i mnóstwo innych danych.

Jeśli dwie firmy występują w tekście blisko siebie to znaczy, że istnieje między nimi powiązanie i Cassie to zapamiętuje. Do tego zna i uwzględnia słowa takie jak „paliwo”, „woda”, „konflikt” oraz „dobry”, „zły”, „zdrowy” albo „rosnący”. Mając te

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM

Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

wszystkie dane i nieustannie się ucząc, algorytm potrafi „przewidzieć”, co się stanie z akcjami dowolnej firmy na skutek dowolnego zdarzenia. Wszystko to oczywiście działa, dopóki nie nastąpi nieprzewidywalny dla programu – zależny od nielogicznej ludzkiej decyzji – krach na giełdzie. Haak ucieka z londyńskiego City na kraniec Kornwalii i nagi wskakuje do Atlantyku, jakby szukał swojego Nautilusa.

Także dla bohatera najnowszej powieści Richarda Powersa ocean i algorytm są równie tajemniczymi czarnymi skrzynkami. Zafascynowany głębią oceanu chłopiec patrzy w czarne lustro niczym w hadal, próbując dociec, z czym tak naprawdę ma do czynienia. Powers na stronach „Placu zabaw” prowadzi obok siebie dwie historie: jedna opowiada o życiu bezkompromisowej badaczki morskiego dna, druga – o perypetiach przedsiębiorcy technologicznego powoli tracącego pamięć. Ich drogi nieprzypadkowo zbiegają do przecięcia.

Kiedy na świat przychodzą profesor Aronnx i kapitan Nemo, rodzący się globalny świat doświadcza pierwszych międzynarodowych kryzysów. Francuski lekarz i ekonomista Clément Juglar rozpoznaje zjawisko tzw. cyklu koniunkturalnego, publikując swoje przemyślenia w eseju „Des crises commerciales” („Kryzysy handlowe”). Mamy rok 1856. Kiedy w roku 1857 upada bank w Nowym Jorku, ze Stanów kryzys błyskawicznie przenosi się do Wielkiego Brytanii, potem do Niemiec i dalej. Dziś ten rodzaj współzależności nazywamy konektywnością. Wiemy też, że konektywność szybko staje się źródłem międzynarodowych konfliktów – wiele pisze o tym w wydanej właśnie po polsku książce „Wiek nie-pokoju” analityk Mark Leonard.

Doskonale wiemy, że niebezpieczeństwa konektywności sprawiają, że tajemniczy kapitan Nemo postanawia schować się przed skonfliktowaną, zbrojącą się ludzkością w Oceanie, na pokładzie Nautilusa. Z tego samego powodu ucieka z Londynu na wybrzeże Kornwalii twórca Cassie, Joe Haak.

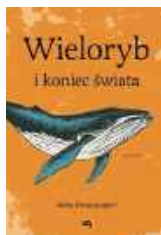
Zanurzeni w lekturze

Ale zanurzenie całej ekipy profesora Aronnaux, a także ich wycieczka po dnie oceanu mogą mieć jeszcze inny sens. Kiedy kapitan Nemo zabiera nowych

Ocean i pytania o świat



- **Julia Armfield**
NASZE
PODMORSKIE ŻONY
tłum. Agnieszka
Walulik,
Wydawnictwo
Poznańskie, 2024



- **John Ironmonger**
WIELORYB
I KONIEC ŚWIATA
tłum. Jowita Mak-
symowicz-Hamann,
Relacja, 2024



- **Mark Leonard**
WIEK NIE-POKOJU.
WSPÓŁZALEŻNOŚĆ
JAKO ŹRÓDŁO
KONFLIKTU
tłum. Andrzej
Wojtasik,
Wydawnictwo
Krytyki Politycznej,
2025



- **Richard Powers**
PLAC ZABAW
tłum. Anna
Halbersztat,
Wydawnictwo
Poznańskie, 2025



- **David Attenborough**
COLIN BUTFIELD,
OCEAN.
OSTATNIE DZIKIE
MIEJSCE
tłum. Sławomir
Królak,
Wydawnictwo
Poznańskie, 2025

pasażerów na pokład podwodnego okrętu – a wraz z nimi nas, jako czytelników, uczestników przygody – obiecuje im doświadczenie charakterystyczne dla nowoczesnego świata.

Warunkiem zwiedzenia głębin jest obietnica, że Aronnaux oraz jego kompani zostaną w Nautilusie na zawsze. Zanurzając się, powoli odcinają się od znanego im świata – tego, na którym trwa właśnie brutalna walka o zasoby, a „człowiek kieruje wszystkie swoje wysiłki, by pomnażać swą zbrojną potęgę” (tłum. Agnieszka Włoczevska). Zanim Aronnaux skorzysta z zaproszenia kapitana Nemo, nie ukrywa, że jest „wielce prawdopodobne, że któryś z krajów, działając w tajemnicy przed innymi, podjął się wyprodukowania i wypróbowania niezwykłej maszyny”. W oczywistym domyśle – nowej broni. Statek Nautilus jest formą schronienia przed światem.

Jak odległe jest tamto doświadczenie od obietnic współczesnej rzeczywistości wirtualnej, która spełnia metafizyczne marzenie uwolnienia się z materialnej powłoki? Wchodząc do jakiegokolwiek gry komputerowej, jesteśmy jak głębinowe zwierzątko, które zostawia światu na przynętę swojego ducha, w rzeczywistości zmykając daleko w fantastyczną ciemność.

Obietnica kapitana Nemo to zaproszenie do wzięcia udziału w przygodzie, zatracenia się w nowoczesnej, immersyjnej narracji – na dobre i na złe. Nieprzypadkowo Hugo Gernsback, żyjący na przełomie XIX i XX w. wynalazca i wydawca pierwszego magazynu *science fiction*, marzył o istnieniu swoistego izolatora, który całkowicie i szczerze oddzieliłby kogoś, kto doświadcza przygód wyobraźni, od realnego świata. Wbrew przekonaniu o społecznej szkodliwości takiej decyzji – to do nas ostatecznie należy ocena postawy kapitana Nemo i jego towarzyszy.

Grozoznawca i teoretyk narracji fantastycznych Krzysztof M. Maj napisał w jednym ze swoich tekstów, że immersja „obmywa brzeg rzeczywistości niczym morze, zabierając ze sobą zarówno odbiorcę, jak i substancję realności – którą eroduje do momentu, w którym to, co realne, staje się jednością z tym, co wirtualne”. Tego właśnie spodziewał się po naszych czasach Juliusz Verne.

No właśnie. Czy wiemy, dokąd płyniemy? ©© MONIKA OCHĘDOWSKA



Nie ma czytania bez chichotania

Od lewej od góry: „Świerszczyk” nr 1/1945, nr 43/1969, nr 116/1984, nr 8/2025

MAŁGORZATA WĘGRZECKA, REDAKTORKA NACZELNA „ŚWIERSZCZYKA”:

Zawodowo zajmujemy się produkcją endorfin, bo we wszystkich rubrykach pisma zaszyte jest poczucie humoru.

Albo wzruszenie – coś, co wywoła emocję i przyciągnie dziecko.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Rok 1945

– wojna wciąż trwa, a tymczasem, 1 maja w Łodzi ukazuje się pierwszy numer pisma dla dzieci. Jak to było możliwe?

MAŁGORZATA WĘGRZECKA: Czasy były niezwykle trudne – kraj w ruinie, świeża trauma, życie dopiero zaczynało się podnosić z gruzów. A jednak grupa niezwykłych ludzi – ilustrator Jan Marcin Szancer, pisarka i tłumaczka Stefania Grodzieńska oraz grafik i satyryk Eryk Lipiński – postanowiła dać dzieciom coś, co rozjaśni tę mroczną rzeczywistość. Dodatkowo – skoro wojna zniszczyła niemal wszystkie podręczniki, trzeba było stworzyć coś nowego. Coś, co oswoi dzieci z literami, słowem, światem. Tak narodził się „Świerszczyk”.

Świetny tytuł – w świecie prasy do dziś jeden z bardziej rozpoznawalnych.

Kojarzy się z ciepłem, spokojem, bezpieczeństwem, jak domowy duszek zza komina, czyli przeciwieństwo rzeczywistości dookoła. Zaproszenie do innego, przyjaznego świata.

Dużo się od tego czasu zmieniło...

Wtedy pismo uczyło czytać i pisać – nie tylko dzieci, ale też dorosłych, bo po wojnie analfabetyzm był powszechny. Dziś znów jesteśmy pismem edukacyjnym, uczymy czytać – ale już tylko dzieci, na szczęście.

Sposób mówienia do dzieci też uległ zmianie.

„Świerszczyk” zawsze podążał za dziećmi i ich światem – od klasycznych bajek i wierszy, po komiksy, gry czy eksperymenty graficzne. Zmieniało się też spojrzenie na dziecko: kiedyś oczekiwano posłuszeństwa, dziś liczy się rozmowa i partnerstwo. W XX wieku dzieci traktowano przedmiotowo – słynne: „dzieci i ryby głosu nie mają”, „co wolno wojewodzie, to nie tobie, kasztelanie”. Zobaczyliśmy, że można wychowywać inaczej – z szacunkiem, bez przemocy, ale też z jasno postawionymi granicami.

Dlatego zrezygnowaliśmy z mówienia z pozycji autorytetu, teraz stawiamy na dialog, szacunek i rozwijanie ciekawości. Niewątpliwie każde pokolenie czytelników dostawało „Świerszczyk” skrojony pod swoje czasy.

Przed wielką polityką nie zawsze się jednak udawało uchronić...

No tak. Pojawił się i Stalin na okładce – takie były czasy. Ale redaktorzy umieli to jakoś przepracować. Zamiast nachalnej propagandy – publikowali na przykład baśnie narodów Związku Radzieckiego.

A potem przyszły kolejne zmiany – technologiczne, społeczne...

Rozwój technologii sprawił, że „Świerszczyk” stał się bardziej magazynem niż literackim czasopismem. Ale dziś wróciliśmy do tamtej formy – znów jesteśmy bliżej słowa, bliżej opowieści.

Ta zmiana myślenia o dzieciach wpłynęła także na rodziców?

Zrozumieliśmy, że edukacja to także wsparcie dorosłych. Dlatego jako pierwsi w Polsce stworzyliśmy magazyn dla rodziców – dzisiaj nazywamy go strefą dla rodzica – by pokazać, że wychowania można się nauczyć. Bo nikt nie rodzi się rodzicem.

Jak dziś dzieci uczą się ze „Świerszczykiem”?

Dajemy im proste narzędzia do radzenia sobie z emocjami. W tym roku mamy cykl „Urodzinowa Podróż Świerszczykowi”. Nasz bohater – Bajetan – odwiedza różne zakątki świata, spotyka zwierzęta, które dzieci mogą wyciąć i złożyć. Ale to coś więcej niż zabawa.

W jakim sensie?

Gry opracowała psycholożka dziecięca. Pomagają oswoić lęki: przed wystąpieniem w klasie, poznawaniem nowych kolegów, byciem niezauważonym. Uczymy budowania relacji, pewności siebie. A przy okazji rozwija się mała motoryka – wycinanie, klejenie, składanie. To ważne ćwiczenia.

Czyli papier wciąż ma znaczenie.

Ogromne. Papier to nie ekran. Angażuje całe ciało i umysł: rozwija koordynację ręka-oko, integruje zmysły, budzi przyjemność z czytania. Bez niego nie nauczymy się pisać ani rysować. Papier to podstawa. Mam rubrykę „Małe Czytanie” – dla tych, którzy dopiero zaczynają. Trudniejsze słowa zastępujemy obrazkami, by dziecko nie zniechęciło się na starcie i mogło cieszyć się tym, że „już czyta”.

Poezja zawsze odgrywała tu ważną rolę. Nadal tak jest?

Zdecydowanie, bo uczy rytmu języka, melodii, rymów – ale też pomaga nazwać to, co ulotne i trudne do uchwycenia. Poezja otwiera wyobraźnię, daje dzieciom słowa do nazywania emocji.

I to nie tylko klasyka?

Absolutnie nie. Mamy poezję użytkową, jak „Zwariowane litery” Małgorzaty Strzałkowskiej – to wiersze-zadania, które trzeba zrealizować, wyszukując elementy na ilustracjach. Dzieci śmieją się, trenują spostrzegawczość i uczą się odczytywać ukryty humor ilustracji Marcina Bruchnalskiego.

A proza i komiksy?

Oczywiście! Są dwa stałe komiksy i bardzo dbamy o oprawę wizualną. Przy każdym numerze pracuje około siedemnastu ilustratorów, dzięki czemu dziecko odkrywa różne style i uczy się, co je przyciąga. Jest też „Kopnięte Królestwo” Natalii Usenko – pełne wyobraźni i humoru. Coraz więcej form zbliża się do picturebooka, bo obrazkowe opowieści wreszcie są u nas doceniane.

W „Świerszczyku” także ilustracje uczą podstaw estetyki.

Mamy coś, co nazywamy spacerem po minigalerii sztuki. W każdym numerze dziecko styka się z różnymi stylami – od akwareli, przez grafikę komputerową,



MATERIAŁY PRASOWE

MAŁGORZATA WĘGRZECKA jest od 2008 r. redaktorką naczelną magazynu dla dzieci „Świerszczyk”.

po przestrzenne kolaże, które trudno zaklasyfikować. To pozwala rozwijać gust, wrażliwość, poczucie estetyki. Dziecko może samo zobaczyć, co mu się podoba – czy bardziej malarskość, czy nowoczesność, czy może ilustracje uszyte z różnych materiałów i koronek lub kolaże przedstawiające na przykład fortepian stworzony z kółek zębatych, kurków i metalowych kluczyków.

Jakie miejsce zajmują w „Świerszczyku” dłuższe formy?

Mamy „Wielkie czytanie” – miniksiążeczkę wewnątrz numeru, ilustrowane opowiadanie na sześciu stronach. A zaraz po nim rubrykę „Prawda czy fałsz”, gdzie dziecko sprawdza, czy dobrze zrozumiało tekst. Ale to tylko początek, bo najważniejsze – i powtarzam to zawsze – jest to, że w „Świerszczyku” zawodowo zajmujemy się produkcją endorfin, bo we wszystkich rubrykach zaszyte jest poczucie humoru. Nie ma czytania bez chichotania. A jeśli nie śmiech, to wzruszenie – coś, co wywoła emocję i przyciągnie dziecko. To działa tak samo u dorosłych: jeśli książka nie wciąga przez pierwsze strony, odkładamy ją. Dzieci reagują identycznie. Dlatego tekst musi być świetny – zabawny, poruszający, taki, który zatrzymuje. Tylko wtedy dziecko zostaje z nami.

Kto zostaje z Wami najdłużej?

To piękne – mamy czytelników, którzy są już piątym pokoleniem. Licząc od 1945 r. co dwadzieścia lat, dziś w „Świerszczyku” spotykają się babcie, rodzice i dzieci. Są tacy, którzy znają go od zawsze, i tacy, którzy dopiero niedawno odkryli, że to pismo istnieje.

Czytelnicy „Tygodnika” to też wielopokoleniowa wspólnota.

Prasa dziecięca ma jednak inny status – bywa mylona z zafoliowanymi gazetkami z plastikowymi dodatkami. A my nie mamy folii. I mam nadzieję, że nigdy nie będziemy mieć. Bo wszystko, co jest w „Świerszczyku”, traktujemy jak prezent – pełen wartościowych treści i atrakcji.

Jesteście widoczni na półkach.

To zasługa świadomych sprzedawców. Ci lepsi nie wypychają nas w tłum gazetkowych dodatków, tylko stawiają osobno. Dzięki temu jesteśmy bardziej rozpoznawalni. To wymaga innego myślenia o obecności na rynku, ale jakoś się trzymamy. I cieszy, że Wy też.

80-lecie to czas świętowania, ale i planowania. Jakie są marzenia na kolejne dekady?

Chciałabym, żebyśmy mądrze gospodarowali zasobami – papierem, energią, czasem – i trwali niezależnie od mody czy chwilowych trendów. Papier powoli wraca, w wielu miejscach na świecie, na przykład w Skandynawii, znów sięga się po druk. Ludzie są zmęczeni elektroniką, a może po prostu szukają różnorodności. Nie chodzi o ucieczkę od cyfrowości, ale o równowagę. Nie wyrzucimy dzieciom z rąk tabletów i smartfonów – i nie powinniśmy. To część współczesnego świata. Ale trzeba dawać alternatywę. Niech będzie miejsce i na elektronikę, i na papier. Chodzi o to, żeby był wybór.

A wsparcie systemowe? Czy państwo mogłoby pomóc takim tytułom?

Byłoby dobrze, gdyby wspierało instytucje kultury i takie czasopisma jak „Świerszczyk”. Nie mówię tego z patosem – po prostu jesteśmy częścią dziedzictwa kulturowego. Fajnie byłoby wiedzieć, że nie musimy działać wyłącznie komercyjnie, że mamy zaplecze pozwalające spokojnie funkcjonować. Ale... nie wiem, czy to kiedykolwiek nastąpi. ©



DIA DIPASUPLI / GETTY IMAGES

Ozzy Osbourne podczas ceremonii wejścia do Rock & Roll Hall of Fame 2024. Cleveland, Ohio, 2024 r.

Ostatni bis

JACEK TARAN

MUZYKA | Black Sabbath zrobił coś, co rzadko udaje się w muzyce, zwłaszcza dziś, gdy kultura popularna eksploatuje artystów do granic możliwości. Powiedział „dość” we właściwym momencie – kiedy wszyscy założyciele zespołu byli jeszcze żywi.

BLACK SABBATH, NIEKWESTIONOWANI ojcowie chrzestni heavy metalu, postanowili pożegnać się ze sceną tam, gdzie wszystko się zaczęło: w rodzinnym Birmingham. To miasto, niegdyś symbol industrialnej potęgi, stało się miejscem ich narodzin i świadkiem ich odejścia. Ostatni koncert, przejmujący i dostojny, nie tylko zamknął pewien rozdział w historii muzyki, ale też pokazał, że nawet najcięższy, najbardziej surowy dźwięk może mieć godne i wzruszające zwieńczenie. Był to finał z klasą i z pełną świadomością dziedzictwa przekazanego następnym pokoleniom muzyków.

Kiedy nieco dwa tygodnie później, 22 lipca, nadeszła wiadomość o śmierci Ozzy’ego Osbourne’a, muzyczny świat spod znaku czerni i łomotu zamarzył niczym piekło. Ostatnie dźwięki zagrane ze stadionowej sceny nabrały niemal mistycznego znaczenia – jakby Osbourne przeczuwał, że tym razem pożegnanie jest naprawdę.

Looking for Today

W sobotni wieczór, 5 lipca 2025 r., na stadionie Villa Park w Birmingham zakończyła się historia, której początków należy szukać ponad pięćdziesiąt lat temu w zakurzonej garażu na przedmieściach

robotniczego miasta. Członkowie oryginalnego składu – Tony Iommi, Geezer Butler, Bill Ward i Ozzy Osbourne – po raz ostatni, a zarazem pierwszy od ponad dwóch dekad, stanęli razem na scenie. To było jak spotkanie starych przyjaciół po długiej rozłące, tyle że ich sceną był stadion wypełniony po brzegi, a nie lokalny pub.

Towarzyszyli im wykonawcy, którzy wielokrotnie powoływali się na dziedzictwo czwórki z Birmingham. W hołdzie często nagrywali na swoje płyty własne interpretacje utworów Black Sabbath. Przy ojcach założycielach na scenie stanęli m.in. Metallica, Pantera, Anthrax, Lamb of God, Slayer, Alice in Chains czy Zakk Wylde, grający przez wiele lat na solowych płytach Ozzy’ego.

Symboliczny tytuł koncertu „Back to the Beginning” zamknął nie tylko historię zespołu, ale wręcz całą epokę w muzyce rockowej. Był też pożegnaniem czasów, w których rock i heavy metal miały realną siłę oddziaływania, potrafiły burzyć porządek świata, prowokować, inspirować i niepokoić. Dziś ten gatunek stracił swój buntowniczy impet – nie szokuje, nie porusza, nie porывa nowych pokoleń.

Klasyczny heavy metal wszedł w swoją fazę schyłkową. Świadczą o tym nie tylko spadające nakłady płyt, co w dzisiejszych czasach jest zjawiskiem powszechnym bez względu na rodzaj muzyki, ale też coraz rzadsza obecność na listach przebojów czy starzejąca się baza fanów. I co chyba najważniejsze – brak nowych ikon z potencjałem na legendę, którą opowiadać się będzie przez kolejne pokolenia.

Metalowy smok nie ma już zębów, nie ziele ogniem. Zanurzony we wtórności i anachronicznych dekoracjach zjada własny ogon. I choć oczywiście publiczność wciąż wypełnia stadiony wielopokoleniowym tłumem, to jednak więcej w tym sentymentu, realizacji młodszych marzeń czy – dla najmłodszego pokolenia – próby zmierzenia się z legendą, której uroki i czar zachwalał nawet dziadek.

Na stadionie w Birmingham swoją legendę przyszło pożegnać ponad 40 tys. osób, a blisko 6 milionów fanów śledziło wydarzenie przed monitorami w swoich domach na całym świecie. Czy ktośkolwiek z nich spodziewał się, że będzie to też ostateczne pożegnanie z Księciem Ciemności, jak fani i branżowe media zwykły nazywać Ozzy'ego Osbourne'a?

Scenografia odwoływała się do estetyki pierwszych koncertów Black Sabbath: surowo, ciemno, z minimalizmem, który podkreślał esencję ich muzyki. Ozzy, zmagający się od dawna z chorobą Parkinsona i mnóstwem innych schorzeń, siedział na tronie zwieńczonym głową i skrzydłami nietoperza. Przykuty do siedziska wyśpiewywał wersy utworów, które ukształtowały brzmienie całego gatunku.

Jego głos, choć naznaczony latami życia i burzliwą karierą, wciąż emanował charakterystycznym, przenikliwym lamentem. „To mój ostatni bis. Nie mogłem zagrać mojego ostatniego koncertu nigdzie indziej. Musiałem wrócić do początku” – powiedział w wywiadzie dla magazynu „Classic Rock” na kilka dni przed finałowym występem. Jak się okazało – były to słowa prorocze.

Never Say Die

Black Sabbath powstał w 1968 r. jako Earth. Jednak jego członkowie, pod wpływem filmu z Borisem Karloffem z 1962 r., właśnie o tytule „Black Sabbath”, zmieniły nazwę na bardziej złowieszczą. Tony Iommi (gitara), Geezer Butler (bas), John „Ozzy” Osbourne (wokół) i Bill Ward

(perkusja) połączyli blues rocka z przesterowanym, potężnym brzmieniem i mrocznymi, refleksyjnymi tekstami.

Ich debiutancki album wydany 13 lutego 1970 r., z utworem tytułowym rozpoczynającym się słynnym dźwiękiem dzwonu i ulewnego deszczu, wprowadził nową jakość do świata muzyki rockowej. Powolne, transowe riffy, monumentalny ciężar, który rezonował ze społecznym niepokojem i nastrojami ówczesnego świata, naznaczonego zimną wojną i napięciami społecznymi. Kolejne albumy, takie jak „Paranoid” czy „Master of Reality”, ugruntowały ich pozycję jako pionierów nowego gatunku.

W 1979 r., po słabo przyjętej płycie „Never Say Die!”, a także ze względu na problemy Ozzy'ego z alkoholem i narkotykami, koledzy pożegnali się z wokalistą. I chociaż wówczas wielu przepowiadało koniec kariery zarówno jego samego, jak i czwórki z Birmingham, tytuł płyty okazał się znaczący.

Zespół, choć przez lata zmieniał skład i eksperymentował z instrumentami elektronicznymi, zawsze powracał do korzeni, a jego duch – ten pierwotny, mroczny, ciężki duch Sabbath – trwał niezmienny. Przez dekady grupa zmagala się z problemami, które są niemalże nieodłącznym elementem życia rockowych legend: uzależnieniami, wewnętrznymi konfliktami, presją branży muzycznej.

Sabbath Bloody Sabbath

Od samego początku Black Sabbath był niesłusznie oskarżany o promowanie satanizmu. Ich nazwa, brzmienie, a nawet okładki płyt – jak ta z samotną, enigmatyczną postacią wśród drzew na debiutanckim albumie, czy obrazek z narodzin szatana na płycie „Sabbath Bloody Sabbath” (1973) – budziły oburzenie konserwatywnych środowisk.

Media chętnie podsycaly te zarzuty. Ozzy i Iommi występujący na scenie z dużym krzyżami na szyjach, teksty o piekle, a nawet utwory takie jak „N.I.B.” (czyli „Nativity in Black”, choć często interpretowano to jako „Narodziny w piekle”) ze słynnym fragmentem tekstu „*My name is Lucifer, please take my hand*” – wszystko to składało się na medialny obraz złego zespołu, który sprowadza młodzież na manowce.

„Nigdy nie byliśmy satanistami. To wymysł mediów, szukających taniej sensacji,

aby sprzedać gazety” – dementował wiele razy w wywiadach Tony Iommi. Geezer Butler, autor tekstów, dodawał: „Pisaliśmy o ciemności, ale to była przestroga, jak lustro odbijające lęki ludzkości, a nie apoteoza”. Również Ozzy podkreślał wielokrotnie, że ich muzyka była raczej formą ekspresji lęków i obaw, a nie afirmacji ciemności i zła. Ich teksty często poruszały tematy społeczne, wojenne, egzystencjalne, a mroczna otoczka była raczej wyborem estetycznym niż ideologicznym. Ten styl chętnie przejęły późniejsze zespoły.

Warto pamiętać, że do świata muzyki metalowej Ozzy i spółka wnieśli nie tylko ciężkie riffy, ale też wiele tematów: od biedy, wojny, wykluczenia, politycznych manipulacji, poprzez okultyzm, magię, aż po transcendencję i rozważania wokół najważniejszych pytań dotyczących tego, co spotka nas po drugiej stronie. Realia życia klasy robotniczej, strach przed wojną nuklearną i koszmar konfliktu, samotność i wyobcowanie – to wokół takich tematów koncentrują się do dziś teksty muzyków tworzących w tym nurcie przez kolejne dekady.

Born Again

Tradycja powtarzanych co kilka lat przez zespoły „tras pożegnalnych”, które za każdym razem mają być już tą naprawdę ostatnią, jest mocno wpisana w marketingową historię muzyki rockowej. Black Sabbath też miał już swoje „ostatnie tango”. Po nagraniu albumu „13”, który stał się ich pierwszym od 35 lat studyjnym albumem z Ozzym na wokalu, zespół wyruszył w trasę nazwaną „The End”. Była to oficjalnie pożegnalna seria występów, podczas której wystąpili również w Krakowie.

Niestety trasa ta wywołała sporo kontrowersji wśród fanów i zespołu. Zabrakło na niej oryginalnego perkusisty, Billa Warda, którego na czas koncertów zastąpił Tommy Clufetos. Bill nie zagrał też na finałowej płycie „13” – tam zastąpił go Brad Wilk, znany m.in. z zespołu Rage Against the Machine. Ozzy tłumaczył dziennikarzom, że Bill jest zbyt słaby fizycznie, że nie dałby rady wziąć na siebie trudów trasy koncertowej. Zmagający się z chorobą serca muzyk wielokrotnie podkreślał jednak, że dużo udzielił i kondycyjnie był gotowy wziąć udział w koncertach. Miał żal do kolegów, że został pominięty. Oczywiście oficjalnie przyczyny →

→ kondycyjne to jedno, a spory kontraktowe i finansowe – drugie. Tym większe znaczenie miało więc pojawienie się całej oryginalnej czwórki na scenie w Birmingham. Nadało to wydarzeniu status autentycznego, pełnego domknięcia – z rozmachem, wzruszeniem i godnością.

Nie każdemu z wielkich udało się odejść w takim stylu. Led Zeppelin zamilkł po tragicznej śmierci perkusisty Johna Bonhama w 1980 r. Bez pożegnania, z nagłą ciszą, która co parę lat przerywana była okazjonalnymi występami pozostałych muzyków z Jasonem Bonhamem, synem Johna, w roli perkusisty. Pojawiające się co jakiś czas plotki o możliwym stałym powrocie Led Zeppelin na sceny i do studia ostro demontowali Jimmy Page i Robert Plant. Czy sami też te plotki podsycali? A czemuż by nie!

Deep Purple funkcjonuje do dziś nieczym objazdowy cyrk z licznymi zmianami składu i stylistyki, nieustannie, choć nie zawsze z sukcesem, próbując redefiniować swoje brzmienie i miejsce w rockowym panteonie. Nagrywają nowe płyty, grają koncerty, ale coraz bliżej im do parodii samych siebie sprzed lat niż do autentycznej siły, którą stanowili w złotej erze hard rocka. Szans na odejście w stylu Black Sabbath nie mają żadnych – jeden z założycieli, gitarzysta Ritchie Blackmore, za żadne skarby nie chce stanąć na scenie z dawnymi kolegami, a drugi – klawiszowiec, Jon Lord, zmarł w 2012 r.

Black Sabbath, w przeciwnieństwie do kolegów, zrobił coś, co rzadko udaje się w muzyce, zwłaszcza dziś, kiedy kultura popularna eksploatuje artystów do granic możliwości. Powiedział „dość” we

Ozzy wielokrotnie mówił, że jego muzyka

była raczej formą ekspresji lęków i obaw, a nie afirmacji ciemności i zła.

właściwym momencie, nie czekając, aż zgaśnie pamięć fanów. I, co nie bez znaczenia, kiedy wszyscy założyciele zespołu byli jeszcze żywi.

Children of the Grave

Wpływ Black Sabbath na muzykę jest niezaprzeczalny. Nie byłoby metalu w takiej formie, jaką znamy, ani thrashu, grunge'u czy stoner rocka, bez ich pionierskiego brzmienia. Lars Ulrich z Metaliki, sam będący ikoną ciężkich brzmień, powiedział wprost: „Black Sabbath to ojcowie metalu. Zrobili wszystko pierwsi. I lepiej niż ktokolwiek inny mógłby to sobie wyobrazić”. James Hetfield, również z Metalliki: „Bez Sabbath nie byłoby Metalliki. To proste. Ich riffy to nasza biblia”. Tom Morello z Rage Against the Machine przyznał, że „pierwszy raz w życiu poczuł gniew i transcendencję naraz”, słuchając „Into the Void”, co pokazuje, jak głęboko ich muzyka oddziaływała na emocje muzyków młodszych o pokolenie. Bez Black Sabbath nie byłoby też Slayera, Soundgarden, Iron Maiden, Judas Priest, Sepulchury – wszyscy oni (i dziesiątki innych) wymieniali grupę z Birmingham jako tych, którzy zainspirowali ich do wzięcia instrumentów do ręki.

Dziedzictwo Sabbathów to także duch niezależności, odwagi w eksplorowaniu mroku i umiejętności przekształcania „brudu” w coś, co stało się formą piękną. To oni ustanowili ciężar jako sposób na wyrażanie skomplikowanych uczuć i refleksji. Riffy grane przez Tony'ego Iommiego to dziś kanon dla każdego, kto chce zgłębiać tajniki ciężkich brzmień. Na ironię zakrawa fakt, że „człowiek, który wymyślił heavy metal”, w młodości stracił końcówki palców w wypadku przy pracy w fabryce. Grał dzięki specjalnym, stworzonym przez siebie gumowym nakładkom, a obniżony strój gitary sprawiał, że była ona bardziej „miękką” – i właśnie ten przymusowy kompromis techniczny w dużej mierze ukształtował unikalne brzmienie grupy.

Tommorow's Dream

Pożegnalny występ Black Sabbath miał jeszcze jeden wymiar, który może się stać odpowiedzią wszystkim tym, którzy w muzyce metalowej czuli jedynie oddech diabła. Koncert w Birmingham przyniósł dochód w wysokości około 200 mln dolarów, który zostanie przekazany na cele charytatywne. Pieniądze mają być podzielone między organizacje zajmujące się badaniami nad chorobami neurodegeneracyjnymi, wsparciem dla zdrowia psychicznego oraz pomocą dla muzyków w trudnej sytuacji.

W świetle śmierci Osbourne'a wydarzenie to było starannie postawioną kropką – nie tylko w biografii zespołu, ale i w całym rozdziale muzyki, który Black Sabbath przez dekady współtworzył i definiował.

© JACEK TARAN

FOT. GRAZYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

KULTURA W TYGODNIKU

Literatura, teatr, sztuka, muzyka, zjawiska i trendy.

Recenzje, eseje i rekomendacje, które otwierają nowe perspektywy.

Prowadzi MICHAŁ SOWIŃSKI



dowiedz się więcej!



TygodnikPowszechny.pl/newsletter

■ **FANTASTYCZNA 4:
PIERWSZE KROKI,**

reż. Matt Shakman, w kinach

Gdybym przed seansem „Fantastycznej 4” nie sprawdził, że za jej wyreżyserowanie odpowiada Matt Shakman, który dokonał wspaniałych rzeczy w serialu „WandaVision” (2021), pewnie uznałbym, że wygodniej będzie się zdrzemnąć w domu niż przed ekranem wyświetlającym obrazki przerośniętego i znużonego własnym istnieniem uniwersum Marvela. Tytułowa grupa komiksowych superbohaterów, stworzona przez Jacka Kirby’ego i Stana Lee, nie miała zresztą do tej pory szczęścia do filmów. Przyjmijmy więc, że marvelowska koncepcja alternatywnych rzeczywistości jest prawdziwa i akurat znaleźliśmy się w tej, w której „Fantastyczna 4” faktycznie stawia pierwsze kroki na dużym ekranie. Bywa, że lekko się zachwieje, ale generalnie idzie pewnie, unikając nadmiaru efekciarstwa oraz głupawych odzywek i ograniczając patos. Historia toczy się w stylowym retrofuturystycznym świecie przypominającym lata 60., tyle że z zaawansowaną technologią. Dla tych, którzy nie znają postaci, Shakman przygotował zreczne wprowadzenie: z telewizyjnych skrótów dowiadujemy się o tym, co spotkało śmiałków podczas podróży w kosmos i z jakimi mocami stamtąd wrócili.

■ **KIERUNEK PARYŻ.
POLSKIE ARTYSTKI
Z PRACOWNI BOURDELLE’A,**

Królikarnia, Warszawa,
wystawa czynna do 26 października

Wymagające fizycznej krzepy rzeźbiarstwo przez wiele lat uchodziło za typowo męskie zajęcie. Barierą wejścia do zawodu dla kobiet był także brak dostępu do studiów artystycznych. W warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych mogły one studiować dopiero od 1904 r., a w krakowskiej – od roku 1920. Nie zniechęcało to na szczęście kobiet do zajmowania się rzeźbą. Dwa lata temu warszawskie Muzeum Narodowe przygotowało fascynującą wystawę „Bez gorsetu” poświęconą pierwszemu pokoleniu polskich rzeźbiarek tworzących w II połowie XIX w. Obecnie w warszawskiej Królikarni można oglądać kolejną: „Kierunek Paryż”, prezentującą ich następczynię. Artystki przypomniane na wystawie musiały szu-



MATERIAŁY PRASOWE

„Fantastyczna 4: Pierwsze kroki”, reż. Matt Shakman

Moce te posłużą im, a jakże, do ratowania świata. Ściślej, USA, a dokładniej Times Square z przyległościami. Stop, wcale nie: moce te częściej przecież stają się tu źródłem udręki – emocjonalnej i fizycznej – niż niepowstrzymanym narzędziem do zwalczania zła. Sami to być może odczujecie, widząc najdłuższego w historii kina Pedro Pascala, który wciela się w postać Reeda Richardsa – w tej akurat scenie niemiłosiernie rozciąganego przez głównego antagonistę – albo snując się ulicami z nieodwracalnie odmienionym fizycznie Benem. Może więc fantastyczność tej niekiedy supersmutnej czwórki polega na tym, że wszyscy razem tworzą dla siebie sieć wza-

jemnego wsparcia. Banalne? Zapewne nie dla Richardsa, który co jakiś czas przyznaje, że coś z nim jest nie tak, i że wciąż musi obracać w głowie najgorsze scenariusze. Świat jednak to za mało, choćby jego centrum było USA. Stawka w pewnej chwili rośnie i gra toczy się już nie tyle o ludzkość, ile o jedno życie. Czy to jednak nie to samo? Takich etycznych pytań, krążących wokół tego, jakie dobro można poświęcić dla ratowania innego dobra, film i bohaterowie stawiają więcej. Niesie to sporo niepokoju i podskórnej grozy, bo trudno odsunąć myśl, że ten ciemny, głodny bóg z „Fantastycznej 4” przychodzi też do naszego uniwersum.

© © GRZEGORZ BOGDAŁ



MATERIAŁY PRASOWE 22



Od lewej: Olga Niewska,
„Pelikan”, 1931 r.
Mika Mickun,
„Kobieta siedząca
na cokole”, 1929 r.

Bourdelle’a. Są wśród nich Luna Drexler, Mela Muter czy Olga Niewska, których prace w ostatnich latach zaczęto ponownie wystawiać. Większość z obecnych w Królikarni prac jest jednak znanych wyłącznie

specjalistom. Czas to zmienić. Dlatego „Kierunek Paryż” pokazuje ich twórczość szerszej publiczności. Zobaczmy tu m.in. dzieła Jadwigi Bohdanowicz, Zofii Trzczińskiej-Kamińskiej, jednej z nielicznych rzeźbiarek, które mogły w tamtym czasie realizować zamówienie na pomnik (m.in. Tadeusza Kościuszki w Poznaniu), czy eksperymentującej z ceramiczną rzeźbą Miki Mickun.

Wystawa przypomina o kilkunastu artystkach, które uczyły się w pracowni

specjalistom. Czas to zmienić. Dlatego „Kierunek Paryż” pokazuje ich twórczość szerszej publiczności. Zobaczmy tu m.in. dzieła Jadwigi Bohdanowicz, Zofii Trzczińskiej-Kamińskiej, jednej z nielicznych rzeźbiarek, które mogły w tamtym czasie realizować zamówienie na pomnik (m.in. Tadeusza Kościuszki w Poznaniu), czy eksperymentującej z ceramiczną rzeźbą Miki Mickun.

© PIOTR KOSIEWSKI

Ostatni taniec

ANITA PIOTROWSKA

W najnowszej adaptacji Stephena Kinga dostajemy potoczyćcie opowiedzianą gawędę o demonach uniwersalnych, o końcu świata w skali mikro i makro.

NIE SPODZIEWAJCIE SIĘ ZBYT WIELE po końcu świata. Najpierw nieopstrzeżenie znikną pszczoły, padnie internet i z początku będzie to wyglądało na przerwę techniczną. Ale kiedy wyłączy się na dobre szpitalna aparatura, innego końca nie będzie. Jako ostatnie, zgodnie z pradawnymi przepowiedniami, zgasną gwiazdy. Tylko dlaczego przed tym ostatecznym blackoutem wyświetla się wszędzie (na ekranach, w oknach domów, na niebie) postać mężczyzny o imieniu Chuck z podziękowaniem za „39 wspaniałych lat”? W najnowszej adaptacji Stephena Kinga (a było ich już około półsetki) chodzi nie tyle o tajemnicę, bo ta wyjaśnia się dosyć szybko, ile o czelny humanistyczny przekaz. Co prawda Bóg dawno temu umarł, przyszłość więdnie na naszych oczach i jesteśmy ledwie kilkusekundowym epizodem w kosmicznym kalendarzu, warto jednak opowiedzieć, póki samemu jeszcze się żyje, czyjeś pojedyncze życie. Choćby i od końca.

Stąd „Życie Chucka” Mike’a Flanagana przeprowadza nas od wielkiego finału do dzieciństwa tytułowego bohatera. Na początku opowieści jest on jedynie wiralem prześladowującym jednego z ostatnich ludzi – rozwiedzionego nauczyciela o imieniu Marty (w tej roli Chiwetel Ejiofor). W kolejnych wstecznych aktach dowiadujemy się, na czym polegała osobliwość tej szarej w gruncie rzeczy biografii. Kim był, niedługo przed swoją śmiercią, ów skromny urzędnik bankowy, zagrabny przez Toma Hiddlestona, i co sprawiło, że kiedyś został księgowym, a nie tance-



rzem, wbrew swojej dziecięcej pasji. I dlatego jego twarz uśmiecha się teraz z billboardów. Opowieść, cofając się w czasie, tworzy także zaskakujące pętle, w których losy Marty’ego przecinają się z historią Chucka na przekór linearnej logice. Tak oto fantazja Kinga poszukuje odtrutki na egzystencjalny bezsens.

Znajduje też inne sposoby, ażeby oblaśkawić nieuchronne. Czymś takim jest taniec, zwłaszcza z drugiego aktu, kiedy to dorosły Chuck, będąc w nudnej delegacji, zostaje zwabiony i niejako sprowokowany do tańczenia przez uliczną perkusistkę (gra ją The Pocket Queen, autentyczna mistrzyni wybijania rytmów). Ta brawurowa scena wydaje się esencją „Życia Chucka” i życia w ogóle. Budzące się ciało uruchamia czułe wspomnienia i zarzucone ongiś marzenia. Intuicyjnie nadrabia czas, skrócony przez terminalną chorobę i nadciągającą katastrofę. Dopiero na końcu, a właściwie bliżej początku tej odwróconej historii, dowiadujemy się, jakie impulsy popchnęły sztywniaka pod krawatem w ekstatyczną choreografię. Do tego z przypadkową tancerką i na oczach przechodniów. Ponieważ King pisał „Życie Chucka” jeszcze przed pandemią (ukazało się w kwietniu 2020 roku), można dopatrywać się w nim jedynie luźnych przeczuć związanych z pande-

micznym stanem ducha. Bądź sięgnąć po wytrychy w rodzaju „epidemia samotności” czy „tęsknota za bliskością”. Zwłaszcza że każda apokaliptyczna opowieść aż się prosi o wysokie C, zrównoważone międzyludzkim ciepłkiem.

Flanagan, podobnie jak autor literackiego pierwowzoru, odsunął na bok paranormalną groźbę na rzecz tej całkiem realnej, powszechnie wyczuwanej, i sięgnął po filozofującą przypowieść. Opowiadanie z tomu „Jest krew...” to już trzecia jego adaptacja prozy mistrza, po filmach „Gra Geralda” (2017) i „Doktor Sen” (2019). Napisany przezeń dla Amazon Prime Video miniserial „Carrie”, zapowiadany na przyszły rok, też otrzymał błogosławieństwo Kinga, choć ma być zupełnie nowym spojrzeniem na historię o demonach dziesięcioletniego dorastania – minie wszak równe pół wieku od premiery głośnego filmu Briana De Palmy. Teraz dostajemy potoczyćcie opowiedzianą gawędę o demonach uniwersalnych, o końcu świata w skali mikro i makro. Jakże kojącą swym spokojnym tonem, tanecznym rytmem i zmienioną chronologią. W naszych srogich czasach nagrodzone przez publiczność festiwalu w Toronto „Życie Chucka” ma działać niczym melancholijny otulacz i z pewnością byłoby doskonałym filmem świątecznym.



MATERIAŁY PRASOWE

ŻYCIE CHUCKA

(„*The Life of Chuck*”) – reż. Mike Flanagan. Prod. USA 2024. Dystryb. Monolith Films. W kinach.

Mike Flanagan od lat łączy funkcje reżysera, scenarzysty i montażysty swoich filmów. W każdej z tych dziedzin uchodzi za sprawnego rzemieślnika, wyspecjalizowanego w kinie grozy („*Nawiedzony dom na wzgórzu*”, „*Doktor Sen*”) i w serialowych horrorach („*Klub Pólnocny*”, „*Zagłada domu Usherów*”). Obecnie pracuje nad kolejną adaptacją Stephen Kinga, miniserialem „*Carrie*”.

Na zdjęciu: Annalise Basso i Tom Hiddleston

Bo nie da się ukryć, wiele zawartych w tym filmie mądrości brzmi niczym wypisy z Paula Coelho czy złote myśli z darmowych e-kartek, wysyłanych wraz z życzeniami dobrego dnia i serią emotek. Wiadomo, że lepiej spędzić koniec świata z kimś niż samotnie. Że świat bardziej potrzebuje księgowych, aczkolwiek kocha tancerzy (z tym akurat chciałoby się polemizować). Że każde życie ma swój własny unikalny rytm, a każdy człowiek, jak mówi przywoływana tutaj „Pieśń o sobie samym” Walta Whitmana, to osobny wszechświat, zawierający w sobie nieskończoność wieloświatów... Ta narzucona od pierwszych scen kosmiczna perspektywa pozwala zdystansować się od przyziemnych realiów, popatrzyć na swoje życie z góry, wszelką „fizykę” (choroby, problemy społeczne, zmiany klimatyczne, politykę) rozbroić na chwilę czystą metafizyką. I właściwie czemuż by nie. Tyle że Flanagan za bardzo stara się stworzyć coś na miarę współczesnego „*Forresta Gumpa*”. Ma do tego wszelkie atuty: dobry materiał literacki, rękę nabitą w kinie gatunkowym i ciekawie obsadzonych aktorów (na przykład zapijaczego dziadka Chucka gra sam Mark Hamill, pamiętny Luke Skywalker z „*Gwiezdnych wojen*”). Jego własna „choreografia” (scenopisarska, reżyserska, montażowa) wydaje się jednak nazbyt dopięta, zbyt wygładzona w każdym najdrobniejszym ruchu, za bardzo szeleszcząca scenariuszem. Nie chodzi nawet o wszechwiedzącą narrację czytaną za kadrem przez Nicka Offermana, ale o domknięcie w ładnym kadrze czy mądrym słowie owej whitemanowskiej „mnogości”. Niekończonego potencjału zdarzeń, emocji, lecz także środków artystycznego wyrazu.

Można jedynie spekulować, jak wyglądałby ten film w wydaniu Darrena Aronofsky’ego, który pierwotnie miał reżyserować „*Życie Chucka*”. Lub pod skrzydłami Terrence’a Malicka w jego najlepszych czasach, zanim popadł w męczący manieryzm. W obu tych przypadkach różnie wyrażana autorska skłonność do ekscesu mogłaby okazać się bardziej twórcza dla tej historii. Flanagan, pomimo igraszek z czasem i musicalowych nawiązań, opowiada ją bardzo po bożemu – trzyma się wyjściowego tekstu, upraszcza, spłaszcza, przesładza. Dobrze wie, że zanim zgaśnie na dobre internet i wszystkie gwiazdy, większa część ludzkości wolałaby dostać od kogoś sympatyczną e-kartkę zamiast wyszukanego w swojej ironii mema. Albo po prostu pierwszy i ostatni raz zatańczyć na ulicy. ©

Lektor: Teatr inicjacyjny



■ Etienne Leroux

SIEDEM DNI U SILBERSTEINÓW

Z języka afrikaans przełożył, przypisami i posłowiem opatrzył Jerzy Koch. Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2025, ss. 264.

„VAN EEDENOWIE CZULI, ŻE CZAS JUŻ NAJWYŻSZY OŻENIĆ ich jedynaka z kimś, kto pod każdym względem odpowiadałby ich pozycji. Dzięki Bogu wychowano młodego człowieka na tyle światowo, iż wiedział, że miłość wchodzi w grę dopiero na ostatnim miejscu”. Rzecz się dzieje w Afryce Południowej, van Eedenowie są starym afrykanerskim rodem, niestety zubożałym, natomiast Silbersteinowie, żydowska rodzina kandydatki na żonę, to nowobogaccy właściciele ziemscy i winiarze. Młody Henry rusza do ich majątku, by poznać nieznaną Salome; towarzyszący mu wuj ma „przeprowadzić niezbędne czynności wstępne” i wesprzeć „delikatną sprawę kontraktu społecznego”.

A więc powieść obyczajowa? Nic z tych rzeczy, choć o jej tle historycznym, społecznym i nawet przyrodniczym, a także o rozmaitych wplecionych w tekst aluzjach i odniesieniach kulturowych dowiedzieć się mnóstwo, wspomagani przez skrupulatne przypisy tłumacza, wybitnego germanisty i niderlandysty. „*Siedem dni...*” przede wszystkim można by uznać za powieść inicjacyjną nieco w duchu Mannowskim; jest tu nawet, jak w „*Czarodziejskiej górze*”, noc Walpurgi, a także postacie stanowiące parodię Settembriniego i Naphty. Każdy z dni toczących się wedle utartego schematu stanowi kolejny etap wtajemniczenia Henry’ego w topografię majątku Welgevonden – i przy sposobności w wiele innych spraw. Dokonuje się ironiczna dekonstrukcja narodowych i, szerzej, cywilizacyjnych mitów, wywracająca przy tym na nice wzorzec *plaasroman*, tradycyjnej „powieści farmerskiej”, o czym więcej można przeczytać w posłowiu.

Jak pisze Jerzy Koch, Etienne Leroux (1922-1989) uważany jest za najwybitniejszego powieściopisarza lat 60. w Afryce Południowej. Mamy co nadrabiać – jego pierwsza książka po polsku to pierwsza część (rok 1962) drugiej z trzech trylogii, które napisał, wydana w 1976 r. powieść „*Magersfontein, o Magersfontein*”, została zakazana za rewizjonizm historyczny – a równocześnie nagrodzona przez Akademię Nauki i Sztuki. Dotąd czytaliśmy przede wszystkim Coetzee’go – Afrykanera, który za język swojego piarstwa wybrał angielski, a obecnie jest obywatelem Australii, André Brinka, piszącego w afrikaans i po angielsku, oraz Nadine Gordimer, anglojęzyczną córkę litewskiego Żyda, emigranta z carskiej Rosji. No i wiersze Breytana Breytenbacha, laureata Nagrody Herberta. Teraz na lekturę czeka kolejny – fascynujący! – autor. ©

PAWEŁ

Bravo:

Propaganda jak po maśle



DZIESIĘĆ MILIARDÓW ZŁOTYCH miała kosztować ustawa o asystencji osobistej, na którą sobie jeszcze poczekamy, bo są pilniejsze, ogromne wydatki na obronę. Ogromne, liczone w setkach tychże abstrakcyjnych

miliardów czy też w okrągłych procentach tak zwanego produktu krajowego brutto. Nikt z nas, maluczkich, nie rozumie tych pojęć i nie umie ocenić takich liczb, ale wniosek ma zostać taki, że pieniędzy jako wspólnota mamy generalnie mało. „Každy odpowiedzialny premier musi szukać działań, które nas nie wyrwocą do góry nogami” – rzekł tenże premier w trakcie spotkania w Pabianicach, na pewno o nim słyszeliście, bo tego rodzaju przykre wiadomości w duchu „nie ma i nie będzie” trudno przeoczyć.

Z otoczenia naszej władzy płynie też narracja, że żyje się nam zbyt wygodnie, bo mamy rzekomo szwedzkie wydatki (czytaj: państwo mocno finansuje sferę opiekuńczą), a przy tym irlandzkie (czytaj: niziutkie) podatki. Trochę to przesada, już nam procenty chrzesczą w zębach i nie będę dalej wylizcał, ale wiercie mi, jest w Brukseli taka instytucja – Eurostat, wspaniały, pełen tabel, darmowy supermarket dla ciekawskich. Wynika z nich, że nasza państwowa mamusia trochę o nas dba, ale bez szaleństw – tzw. opiekuńczość jest grubo poniżej unijnej średniej, o Szwecji nawet nie wspominając.

Oj, spin doktorzy stojący za tym zestawieniem spóźnili się na pociąg dziejowy i stoją w białych skarpetkach na zaroiętym perzom peronie lat 90., bo odwołują się do przeczasiałych stereotypów szwedzkiego rozpasania socjalnego, bezdennej gnuśności i wyludzeń pod okiem strasznej lewackiej władzy. A jest przecież pod ręką odporny na działanie czasu slogan, przydatny, kiedy trzeba wbić ludziom do głowy, że mają się wstydzić swoich roszczeń do wygody i bezpieczeństwa życiowego: „Armaty zamiast masła”. Nie można mieć i tego, i tego. Jak bardzo skuteczny jest to chwyt za gardło, niech świadczą jego historyczne zastosowania.

Po raz pierwszy sformułowania tego użyła amerykańska prasa w 1916 r., kiedy Stany Zjednoczone niechętnie, mimo wyznawania przez niektórych polityków izolacjonizmu, zaczęły szykować się do wojny. Żeby strzelać, trzeba mieć proch. Ameryka była całkowicie zależna od importu saletry z Chile. Prezydent Wilson chciał więc środków na szybką budowę zakładów azotowych, obiecując, że w czasie pokoju będą może częściowo produkować



wać nawozy. Czyli masło ewentualnie później, najpierw jednak armaty.

W żadne obietnice nie bawił się dwadzieścia lat później klasyk komunikacji politycznej Joseph Goebbels: „Możemy się obyć bez masła, ale nie bez armat”. A jego kolega z sektora, by tak rzec, bezpieczeństwa, Hermann Göring dodawał: „Armaty dadzą nam potęgę, od masła tylko się tyje”. Sądząc z dostępnych zdjęć i świadectw spisanych przez współczesnych, miał niezłe doświadczenie w tyciu, ale to jest problem w każdym ustroju, że na ogół cięcia projektują eksperci, a wdrażają politycy o pozycji społecznej i statusie majątkowym chroniącym przed skutkami oszczędności.

Benito Mussolini dwa lata później zagrał *va banque* i podczas wiecu w Belluno zapytał wprost wierny tłum: „chcecie masła czy armat?”. Odpowiedzi się sami domyślicie. To była reszta część szerokiej kampanii wciskania narodowi, że ma żyć skromnie, chudo i bez dóbr nagle niedostępnych z powodu sankcji, na jakie naraziły go poczynania głupiej władzy. To jej zawdzięczamy popularność risotta, a szczególnie odmianę ryżu carnaroli, rozwiniętą i rozpropagowaną w latach 30. jako najlepszą alternatywę dla pszenicy z importu. A że risotto wymaga sporo masła? Cóż, nawet monolit faszyzmu miał na sobie rysy i pięknięcia.

Jak to się szybko zapomina, prawda? Owszem, masło jakieś dwie-trzy dekady temu stało się znowu celem propagandy, tym razem finansowanej przez przemysł olejarski: ale wtedy chodziło o cholesterol, a nie o luksus i gnuśność. Masło miało zagrażać zdrowiu, nie moralności. Nikt już dziś



R. CLASSEN / SHUTTERSTOCK

w naszej części świata nie dba o to, że masło to szczyt swoistej piramidy mleczarskiej, produkt faktycznie marnotrawny, jeśli się pomyśli, ile trzeba przerobić mleka, żeby dostać jego bryłkę. Dobrze, że chociaż maślanka stała się popularnym napojem i nie dajemy jej już świniom. Ilość surowca i pracochłonność procesu – to sprawiało, że masło długo było oznaką dostatku danego kraju, który miał dość pastwisk, krów i w konsekwencji mleka, z którym można się było pobawić.

Jeśli chodzi o efekty zabawy w przetwórstwo, to zdecydowanie wolę sery. Kanapek właściwie nie jadam, więc niczego masłem nie smaruję, ale i tak muszę je mieć w lodówce, bo jest niezbędne do gotowania. Pytanie: „lepsze masło czy oliwa?” uważam za podły szantaż typu „kochasz bardziej mamusię czy tatusia?”. Choć jednak bardziej bałbym się sytuacji, gdy nagle kończy mi się w kuchni oliwa. Ale to tylko teoria, bo obsesyjnie pilnuję jej zapasów.

Ostatnio późnym wieczorem odkryłem, że zabrakło mi masła, a w planach było kruche ciasto. W czynnym do późna sklepie kostka miała czip zabezpieczający przed kradzieżą. Sklep nazywał się Lewiatan, może więc coś z tym grzesznym luksusem jest na rzeczy...

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



SERGEY / ADOBE STOCK

Fettuccine Alfredo

Oto najbardziej maślany przepis „na bogato”, jaki znam. Choć składniki i procedura są prościutkie, na pewno nie jest to kuchnia uboga. W istocie, jego pierwotna nazwa brzmiała „fettuccine z potrójnym masłem”, bo, jak się przekonacie, jego ilość jest faktycznie rozkosznie przegięta. Dlatego, choć powstał w Rzymie jako danie regeneracyjne dla kobiet w połogu, najpopularniejszy jest w USA. Legenda głosi, że w 1920 r. natknęła się nań w pewnej rzymskiej trattorii para ówczesnych gwiazd z Hollywood, Douglas Fairbanks i Mary Pickford, po czym zanieśli ze sobą ten przepis do kraju, gdzie „zazari”. Tyle że Amerykanie zawsze się spieszą, więc zamiast cierpliwie uzyskiwać kremowość przez powolne łączenie masła ze skrobią wypłukaną z klusek, dodają dla efektu śmietany. Pokażmy im, jak się to robi po bożemu!

350 g włoskiego makaronu jajecznego (tzw. pasta fresca)
100 g najlepszego, lipcowego masła 150 g świeżo utartego parmezanu (można i więcej) ■ pieprz

Gotujemy makaron w dużej ilości osolonego wrzątku. Jeśli nie chce wam się robić klusek z dziesięciu jajek na kilo mąki zwanej semola rimacinata, kupcie niezłej jakości paczkowane tagliatelle firmy Rana. Równocześnie na dużej patelni topimy na wolnym ogniu masło. Kiedy kluskom będzie brakowało minuty, rozprowadzamy masło chochelką wody z garnka. Gasimy ogień pod patelnią, wsypujemy połowę parmezanu, delikatnie mieszamy, żeby powstał rzadki sos. Kiedy makaron dojdzie, przekładamy go stopniowo na patelnię, ciągle mieszając, ostrożnie, aby go nie uszkodzić. Dodajemy resztę sera, dalej pracowicie mieszamy, a gdyby danie wyszło za suche, dolewamy niewielką ilość wody z garnka. Na koniec oprószamy pieprzem. Natkę pietruszki i inne upiękшення zostawmy czcicielom nadmiaru zza oceanu. To jest, jak się rzekło, danie de facto szpitalne. ©©

CISZA NA ŁOŻU

Pytany o celowość scen erotycznych w swoich filmach, reżyser David Cronenberg odpowiadał: „Jeśli można, to trzeba”.

Takie było podejście do seksu w kinie lat 90. Zupełnie inaczej jest teraz. Dlaczego?

MICHAŁ WALKIEWICZ

W 1871 r. w REKLAMIE PRASOWEJ JEDNEJ Z FILADELFIJSKICH firm tytoniowych pojawiła się naga kobieta. W zgodzie z podwójnym estetycznym kluczem flamandzkiego malarstwa oraz popularnych wówczas kart kolekcjonerskich wyłaniała się z morskiej piany na tle zachodzącego słońca. Z perspektywy XX-wiecznej popkultury był to zwiastun niespodziewanego mariażu marketingu ze sztuką; zapowiedź hasła, które jest tak pojemne i do tego stopnia istotne w kształtowaniu naszej świadomości, że musieliśmy wymyślić je wspólnie: *sex sells*.

Po 154 latach od narodzin tytoniowej Wenus seks wciąż się sprzedaje, choć w kulturze głównego nurtu jego status jest paradoksalny. O ile media społecznościowe oraz internetowa pornografia nie pozwalają o nim zapomnieć, o tyle w amerykańskim kinie jest go najmniej od lat 60. ubiegłego wieku. Jasne, stężenie scen erotycznych oraz nagich ciał na centymetr taśmy filmowej to niezbyt poważne kryterium, ale lepszego nie mamy. No chyba że zaczniemy przerzucać łopatą dwuznaczności i aluzje, albo weźmiemy pod lupę filmy niezależne, w których transgresja bywa punktem wyjścia i dojścia.

Czy to kolejny przyczółek kulturowej wojny? Zmiana odzwierciedlająca globalny wzrost konserwatywnej wrażliwości (zwłaszcza wśród pokolenia Z)? A może jakiś rodzaj systemowego odwrotu od mechanizmów marketingowych, które straciły swoją moc? Jedno jest pewne: gdy następnym razem bohaterowie nowego filmu lub serialu niespodziewanie i bez wyraźnego powodu wskoczą do łóżka, zapamiętajcie tę chwilę. Może się długo nie powtórzyć.



Wiek naiwności

Milenialsi wyrosli w czasach agresywnej, choć odsuniętej w czasie kapitalizacji owoców seksualnej rewolucji lat 60. W Stanach Zjednoczonych jej symbolem była wielka ikonografia lat 80., obejmująca modę, muzykę, popularny wówczas gatunek thrillerów erotycznych, a także ewoluującą telewizję rozrywkową. Wszystko to mogło być obciążone strachem przed AIDS oraz reaganowską cenzurą, ale i tak nadawało się na towar eksportowy. Nic więc dziwnego, że w państwach bloku wschodniego, na nowych posttransformacyjnych rynkach, stało się popkulturowym dobrem pierwszej potrzeby.

Nawet oglądając w 2024 r. świetną „Substancję” Coralie Fargeat, czyli film o kodach estetycznych, z którymi kojarzymy młodość, starość, seks i przemijanie, nie potrafimy uciec



PICTORIAL PRESS LTD / ALAMY / BE&W

Heather Graham w filmie „Boogie Nights”, reż. Paul Thomas Anderson, 1997 r.

myślami z Polski. Oczami wyobraźni widzę „Fitness Club” (1994), czyli jedną z pierwszych rodzimych telenowel, w której Adrianna Biedrzyńska zarażała rodaków pasją do aerobiku (będącego, oczywiście, symbolem frywolnego Zachodu). Obydwie produkcje dzielą trzy dekady, a jednak i film, i serial odsyłają nas właśnie do chwili przełomu, gdy lokalne wypożyczalnie kaset wideo oraz telewizyjne ramówki zostały zalane konfekcją z Ameryki.

Komuś, kto wychował się w takiej rzeczywistości, trudno wyobrazić sobie czasy, w których dolinę San Fernando, czyli mekkę branży porno, od Hollywood oddzielało jedynie kilka przecznic. Nie bez powodu większość filmów podejmujących temat aspiracji przemysłu dla dorosłych traktuje nadejście lat 80. oraz rozwój technologii domowego wi-

deo jak opowieść o końcu niewinności. Oto zmierzch epoki, w której oglądanie hardcorowego seksu w kinie miało być poważnym społecznym rytuałem. W „Boogie Nights” (1997) Paula Thomasa Andersona moment tranzykcji w lata 80. ukazany jest niczym armageddon – to blisko dwudziestominutowy festiwal ludzkiego upodlenia, z wywijającą hołubce kamerą oraz trąbami jerychońskimi na ścieżce dźwiękowej.

Mówiąc o tym, co wydarzyło się przez kolejne dwie, trzy dekady – zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy – trudno używać tej samej retoryki. Faktem stała się jednak galopująca erotyzacja kultury głównego nurtu. Jej natura była paradoksalna: seks to „zakazany owoc”, a jednocześnie jego ekspozycja nie ma granic. I nie mówię jedynie o serialach telewizyjnych, reklamach, MTV, czy raczkującej internetowej pornografii, →

→ ale o tzw. „kinie środka”, czyli średniobudżetowej produkcji filmowej z komercyjnym potencjałem, zagranicznej i lokalnej.

Pytany o sens i celowość scen erotycznych w swoich filmach, reżyser David Cronenberg odpowiada: „Jeśli można, to trzeba”. To oczywiście strzał na odlew w rozmowach z irytującymi dziennikarzami, ale i całkiem niezła metafora podejścia do seksu w kinie lat 90. Erotyka była wtedy nie tylko motorem napędowym rozmaitych opowieści oraz fabularną bazą całych gatunków, ale również niezbędnym komponentem „dobrego kina”. Stąd zalew kuriozalnych scen seksu w produkcjach wszelkich kategorii wagowych. A także – po dekadach wstrzemięźliwości powodowanej misyjnymi celami kinematografii – tradycja nieuzasadnionej nagości w polskim kinie.

Trudno wspominać te czasy z rozrzwiniem. Jeśli o czymś świadczyły, to raczej o niedojrzałości – i widza, i artystów. Dominującą poetyką był wówczas kicz (wszystkie te świece, powiewające firany, jazzowe kawalki, gry światła i cienia na przysłoniętych żaluzjach), zaś granice faktycznej odwagi obyczajowej kończyły się na heteronormatywnych układach i męskocentrycznej optyce.

No i kołdry. Kołdry w kształcie litery L. Ją zakrywały po pachy, a jego do pasa. Wie ktoś, gdzie mogą taką kupić?

Bez wstydu

W kwietniu ubiegłego roku dziennikarz Stephen Follows nie miał nic ciekawszego do roboty, więc przeanalizował cały XXI wiek pod kątem ilości scen erotycznych w mainstreamowych amerykańskich filmach. Jego badanie potwierdziło, że przez ostatnie dwie i pół dekady ich liczba systematycznie malała. W 2024 r. było ich aż o 50 proc. mniej niż pod koniec lat 90. i że jest to wartość, którą ostatni raz odnotowano w okresie tużpowojennym. W podobnym czasie swoje badania na temat seksualności pokolenia Z oblikowało wiele naukowych ośrodków, w tym Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles. Wynika z nich, w dużym skrócie, że seks na ekranie zaczął kojarzyć się młodym widzom z dyskomfortem. To znaczy: za mileniałkami.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele i niemal wszystkie dotyczą gwałtownych zmian kulturowych. Po pierwsze, banalizacja seksu zatacza coraz szersze kręgi, a tabuizowanie pornografii dobiegło symbolicznego końca. Za cezurę uznałbym w tym przypadku włączenie portalu Pornhub w obręb dominującej narracji na temat zdrowia seksualnego jako ważnego narzędzia badawczego (coroczne raporty platformy są przywoływane i w artykułach naukowych, i w publicystyce). Z tej perspektywy kino głównego nurtu pozostaje zbyt konserwatywne obyczajowo, by wniesić coś do tej dyskusji.

Po drugie, żyjemy w czasach dynamicznej technologicznej ekspansji i jak na dłoni widać, że to branża pornograficzna decyduje w dużej mierze o kierunku rozwoju popkultury. To dzięki niej odtwarzacze wideo odniosły ekonomiczny triumf w walce z projektorami kinowymi, kasetą VHS i nośnik Blu-ray wyparły mniej popularne formaty Betamax i HD-DVD, a wirtualna rzeczywistość stała się czymś więcej niż sezonową ciekawostką.

Seksualny influencig, kultura inceli, sextingu, aplikacji randkowych, hook-upów, casual seksu czy anarchii związko-

wej... Niemal wszystkie zjawiska prowadzące do społeczno-seksualnej atomizacji są efektem technologicznego rozwoju. Nie wspominając nawet o algorytmach personalizujących treści pornograficzne, zalewających internet deepfejkach, erotycznych chatbotach czy seksie ze sztuczną inteligencją. Filmy takie jak „Wstyd” (2011) Steve’a McQueena, w których bohater pada na kolana i złorzeczy Bogu w odwecie za własną impotencję oraz uzależnienie od „klasycznej pornografii”, przypominają dziś niewinne ramotki. Nawet jeśli przyjemni, że opowiadają o egzystencjalnym pacie.

Po trzecie, ruch #metoo oraz szeroko pojęta „nowa obyczajowość” przesunęły granice tego, co dozwolone w samej branży filmowej. Coraz częściej pytamy o to, w jakich warunkach kręci się sceny erotyczne, o relacje władzy i podrzędności na planie, o empatię, wrażliwość oraz transparentność strategii artystycznej. I choć nie istnieją żadne badania, które wiązałyby obawę przed zajmowaniem się seksem z krajobrazem tych gwałtownych przemian, to słuchając rozmaitych wywiadów z filmowcami, zaryzykuję stwierdzenie, że musi chodzić o strach.

Jest się czego bać?

Lęk jest potężną motywacją, dlatego trudno sobie wyobrazić, by ktoś podpisał się dziś pod słowami Cronenberga. Przestaliśmy myśleć o kinie jako o strefie ryzyka i niebezpieczeństwa, co ma swoje wady i zalety. Nie widzę nic złego w zerwaniu z anachroniczną wizją sztuki, wedle której tylko w takiej strefie da się stworzyć arcydzieło. Zwłaszcza, jeśli powstaje w niej pole do nadużyć. Z drugiej strony – ciągle uniformizowanie i standaryzowanie procesu twórczego (*vide* nietrafiony pomysł obowiązkowej koordynacji intymności) prowadzi do dalszego uprzemysłowienia sztuki filmowej. Efekty tego procesu widzimy w amerykańskim „kinie środka” ostatniej dekady: nudnym, zachowawczym, wyzutyk z seksu i erotyki.

Ryzyko fetyszycacji rozmaitych elementów kultury erotycznej, stereotypizacji tożsamości seksualnych, queer-baitingu (czyli sugerowania wątków LGBT bez ich faktycznej reprezentacji na ekranie) jest dziś zaporą ogniową w wielkich hollywoodzkich wytwórniach.

Do tego dochodzi miękka autocenzura. Platformy streamingowe lubią ograniczać treści erotyczne już na etapie produkcji, bo ekspansja na międzynarodowe rynki oznacza często konieczność unifikacji treści. Zaś plany dystrybucyjne to jest już temat na książkę. Pożądane we Francji, odważniejsze filmy mogą być nie do strawienia, dajmy na to, w Chinach. Wbrew obiegowej opinii, tendencja ta dotyczy również nowych seriali – z wyjątkami od reguły, które trendują później w mediach społecznościowych (*vide* balansujący na granicy dobrego smaku pierwszy sezon „Rodu smoka”).

Ero-polo

Za najbardziej liberalny w kwestii podejścia do filmowej erotyki region Stephen Follows uznaje Azję Środkowo-Wschodnią. Za najbardziej konserwatywny – Skandynawię. Polska leży w połowie drogi, a jednocześnie – w wymiarze X. Choć twórczynie formatu Kamili Tarabury („Rzecz niezbędne”, „Absolutni debiutanci”) czy Olgi Chajdas („Imago”) dbają

Dojrzałe o seksie

- **SEX EDUCATION** (2019-2023), twórczyni: Laurie Nunn



Ilustrowany przewodnik po wszystkich najważniejszych pojęciach seksuologii XXI wieku. Bezpretensjonalna konwencja

i charyzmatyczna obsada działają tutaj cuda – zwłaszcza jeśli widzami są milenialsi.

- **NORMALNI LUDZIE** (2020), twórcy: Lenny Abrahamson, Sally Rooney



Melodramat, psychodrama, rom-com bez „rom” i „com”. Jak zwął, tak zwął. Nie ma lepszej panoramy współczesnych

związków niż „Normalni ludzie”, czyli opowieść z cyklu „dzieliło ich wszystko...”, tyle że z emocjonalnym oraz formalnym twistem.

- **PAMIĄTKA: CZĘŚĆ II** (2021), reżyseria: Joanna Hogg



Ciało jako przedmiot i podmiot sztuki, seks jako strefa pamięci, tożsamości i samostanowienia. Same wielkie sprawy w jednym

z najciekawszych filmów ostatniej dekady.

- **MIĘSO** (2016), reżyseria: Julia Ducournau



Kanibalizm jako akt seksualny to nieco zwietrzała metafora, ale w „Mięsie” działa. Debiutancki obraz Julii Ducournau

(nagrodzonej Złotą Palmą w Cannes za „Titane”) to kawał kina grozy. I jak każdy dobry horror, demonów szuka w otaczającej nas kulturze.

o to, by pokazywać seks w sposób dojrzały oraz daleki od stereotypów, to przypominam, że mamy za sobą największy boom na erotyczną „naftalinę” w historii rodzimego kina. Mowa o gatunku zwanym ero-polo, który rozpoczął swój zwycięski bieg za sprawą Blanki Lipińskiej oraz jej „365 dni”.

Wyłowilem z tego nurtu wszystkie perły – od trylogii „365”, przez „Pokusę”, „Heaven in Hell” oraz „Pokolenie Ikea”, po „Miłość, seks i pandemię” Patryka Vegi. To aspiracyjne bajki o żelaznym wilku, zbiory potwornych komunałów na temat wolnej miłości, komunikacyjnej aporii oraz tzw. wielkiego świata, do którego musimy odbyć mentalną podróż. Gdy je oglądałem, raz po raz wracałem myślami do monologu dyrektora szkoły z filmu „Billy Madison”: „To, co właśnie powiedziałeś, jest jedną z najbardziej idiotycznych rzeczy, jakie kiedykolwiek usłyszałem. W żadnym momencie twojej bełkotliwej, niespójnej wypowiedzi nie zbliżyłeś się do czegoś, co można by uznać za racjonalną myśl. Wszyscy w tym pomieszczeniu są teraz odrobinę głępsi, ponieważ słuchali tego razem z mną. Nie przyznaję ci żadnych punktów i niech Bóg ma w opiece twoją duszę”.

Oczywiście, dojrzałość narracji to jedno, a reguły wyplacalności – zupełnie co innego. Popularność ero-polo nie może dziwić, zwłaszcza w kontekście popkulturowego statusu „literatury pościelowej”. To jednocześnie punkt graniczny między dwiema wizjami świata. Jako że targetem tych filmów są głównie milenialsi, mają one ugruntować nas w przekonaniu o kiczu jako neutralnym sposobie prezentacji erotyki na ekranie. Nic dziwnego, że nawet drobne odstępstwa od tych estetycznych reguł traktuje się dziś (także w krytyce filmowej) niczym rewolucję.

Idzie nowe?

W artykule „Pokolenie seksualnej recesji. Jak generacja Z podchodzi do relacji i zbliżeń?” z magazynu „Vogue Polska” Aleksandra Charzewska, opierając się na rozmaitych badaniach (m.in. na Raporcie Kinseya z 2021 r.), dowodzi, że owa „recesja” jest zazwyczaj mylnie rozumiana. Tak, statystycznie „zetki” uprawiają mniej seksu i znacznie rzadziej szukają treści erotycznych w tekstach kultury. Sęk w tym, że jest to kultura nieodpowiadająca ich seksualnym potrzebom.

„Pokolenie Z często zmaga się z neurotycznymi tendencjami związanymi z wysokim poziomem lęku i dużą potrzebą kontrolowania bodźców, by nie »przejechać się« na czymś, co może wywołać nieprzyjemne konsekwencje. Ta potrzeba kontrolowania sytuacji ma oczywiście pozytywne aspekty, ale w kontekście seksu może prowadzić do problemów. Seks nie odbywa się w próżni – nasze oczekiwania, lęki i doświadczenia wpływają na naszą gotowość do intymności – lub jak w tym przypadku – jej brak” – zapewnia w przytoczonym przez autorkę cytacie seksuolożka Agata Loewe.

Zakładanie, że kino (czy szerzej: popkultura) nie jest za owe lęki współodpowiedzialne, byłoby naiwnością. Dziwi więc oburzenie na rozmaitych forach, że film przestał być uniwersalnym afrodyzjakiem. Zamiast sarkać na purytańskie czasy, trzeba zastanowić się, czego symptomem jest ta erotyczna posucha. A nuż się okaże, że myślimy o okresie przejściowym, w którym popkultura powoli szuka nowego języka opowiadania o intymności; takiego, który pozwoli kolejnym pokoleniom cieszyć się seksem. I w życiu, i w kinie.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

TOMASZ

Stawiszyński:

Jak w koszmarze



HISTORIA ANDY'EGO BYRONA I KRISTIN Cabot, dyrektora zarządzającego i szefowej kadr firmy Astronomer, wyłowionych (przygwożdżonych?) z tłumu na koncercie grupy Coldplay przez precyzyjne a bezwzględne oko kamery, jako żywo przypomina

najstraszniejsze senne koszmary. Znacnie to, prawda? Idziecie ulicą w słoneczny dzień, dookoła pulsuje miasto, ale przechodnie, nie wiedząc czemu, zbyt natarczywie wam się przyglądają. Na ich twarzach majaczą niedowierzanie, oburzenie, złość. Nie wiecie, czemu nagle staliście się obiektem powszechnego zainteresowania, ale odczuwacie coraz większy niepokój i wstyd. Nie rozumiecie, z czego się te uczucia biorą, nie rozumiecie, z czego się bierze narastająca dziwność i niecodziennosc całej sytuacji. Przyspieszacie, próbujecie uciekać, ale wiadomo jak to jest z przyspieszaniem i uciekaniem w snach – nogi przrastają do ziemi, powietrze gęstnieje. Brniecie więc z mozołem dalej... i nagle wiecie już, dlaczego wszyscy się na was patrzą. Dlatego mianowicie, że paradujecie po zatłoczonej metropolii bez ubrania.

Ten oniryczny scenariusz ma oczywiście wiele wariantów. Może się rozgrywać w szkole (do której po kilkunastu albo kilkudziesięciu latach musicie wrócić, żeby coś tam zdać), w pracy albo na przyjęciu rodzinnym. Esencjalnym doświadczeniem obecnym w każdej jego odsłonie jest jednak ów blamaż na widoku, bezceremonialne ujawnienie tego, co powinno pozostać w ukryciu.

Otóż właśnie coś takiego przydarzyło się tym sekretnym kochankom, kiedy ni stąd, ni zowąd wyświetlili się, przytuleni, na stadionowym telebimie. To skądinąd – a dokładniej: ich trwożna reakcja, która przyciągnęła uwagę – był dopiero początek złego snu, nie zaś wcale jego epicentrum. Nagranie błyskawicznie stało się „wiralem”. Wyświetlono je – jak podają szacunki – ok. 122 milionów razy (do chwili, gdy to piszę), w każdym zakątku kuli ziemskiej, do którego tylko dosięgają fale radiowe lub światłowodowe.

Nasuwa się pytanie, skąd się wzięła łapczywość, z jaką pochłaniamy tę migawkę, skąd obsesyjna wręcz atencja, poświęcana jej w niezliczonych udostępnieniach i komentarzach? Czy to tylko podniesiona do niewyobrażalnej potęgi wścibskość, motor napędowy obmawiania, knucia i podglądactwa? A może – jak zasugerowała Aleksandra Przeglasińska, przenikliwa obserwatorka cyfrowej współczesności – chodzi o specyficzną zbiorową satysfakcję: że oto publicznie na-

piętnowano i ukarano tych, którzy postępowali nieetycznie? Owszem, moralistyczny szał, z jakim rzesza komentujących rzuciła się na dwójkę ludzi, o której losach przecież nikt tak naprawdę zupełnie nic nie wie, nosi znamiona klasycznych mechanizmów psychologii tłumu. Poza funkcją oczywistą, czyli redukcją napięcia, mamy tu jak na dłoni egzorcyzmowanie własnych grzeszków, zaniechań i kłamstw poprzez głośne potępienie innego. Wiadomo: nic tak nie dezynfekuje sumienia jak afektowane oburzenie cudzymi niecnymi postępkami.

Ale jest jeszcze coś więcej. A mianowicie to milczące, przyjmowane bez najdrobniejszych zawahań przekonanie, że czyjś wizerunek, a więc czyjeś życie, ba, najintymniejsze, najbardziej prywatne i wrażliwe tego życia obszary, mogą stać się, ot tak, w jednej sekundzie, stuprocentowo publiczną własnością. I że w związku z tym mamy prawo pastwić się nad nimi, wyrwać je sobie z rąk, dokonywać kolejnych wiewidekacji, nurzać się w moralnych i innych egzaltacjach, publicznie komentować, obgadywać, sarkać, prychać i zaśmiewać się do rozpuku.

Oczywiście, nic w tym nowego. Takie zjawiska występowały i przed epoką mediów społecznościowych. W formie nowocześniejszej datują się co najmniej od czasów wynalezienia prasy, a już na pewno tabloidów. Ale każdy wytrawny historyk kultury wysledziłyby je także w starożytności (albo i wcześniej), bo się wywodzą wprost z naszej natury. Wiadomo: plotkowanie i sianie zamętu są tak stare jak sama ludzkość. Niemniej, w dzisiejszych, wirtualnych realiach urastają do rozmiarów gargantuicznych. A na dodatek dzieje się to w towarzystwie nieustannego podkreślania, jak ważne są bezpieczeństwo i autonomia osoby, w towarzystwie całej tej hiperwrażliwości na najdrobniejsze, faktyczne i wymyślone, formy przemocy i opresji, obecne (albo i nie) w języku. Cóż, nie po raz pierwszy się okazuje, że hiperwrażliwość, a nawet zwykła wrażliwość – o przyzwoitości już nie wspominając – znikają w jednej chwili, skoro tylko na horyzoncie pojawia się opcja pospolitego ruszenia, wzmożenia albo innej nagonki.

Osobną zaś zupełnie sprawą jest imponujący marketingowy potencjał, jaki można kosztem takich rzucanych na publiczny żer ludzi wygenerować. Doskonale zdają sobie z tego sprawę PR-owcy firmy Astronomer. Najpierw jej nowy dyrektor zarządzający opublikował w portalu X efektowne oświadczenie, potem zaś pojawiło się żartobliwe nagranie, w którym jako „rzeczniczka” firmy występuje... Gwyneth Paltrow, a więc była żona Chrisa Martina, wokalisty Coldplay (który ponoć nie dochowywał jej wierności). Tym sposobem szerzej nieznanemu startupowi osiągnął naraz imponującą rozpoznawalność. Wprawdzie za cenę cudzej prywatności (i – zapewne – cierpienia), ale któż by się takimi drobnostkami przejmował.

Koszmar senny, nieprawdaż? No, może z tą tylko różnicą, że z koszmaru sennego można się jednak w końcu obudzić. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



C 17.
NADZIEJA
RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 – 26.X.2025
KRAKÓW

W następnym numerze Magazyn Conrad
Przedstawimy w nim **kolejnych gości** Festiwalu.

Benzydamine
neo-angin[®]

REKLAMA

NOWOŚĆ!

na ostry ból gardła!

NIE ZAWIERA CUKRU

OD 6. ROKU ŻYCIA



Działa poczwórnie:

PRZECIWBÓLOWO

PRZECIWZAPALNIE

ZNIECZULAJĄCO

ANTYSEPTYCZNIE

Benzydamine neo-angin smak cytrynowy[®], 3 mg, pastylki twarde. Każda pastylka twarda zawiera 3 mg benzydaminę chlorowodoru (co odpowiada 2,68 mg benzydaminę). **Wskazania do stosowania:** Benzydamine neo-angin smak cytrynowy[®] wskazany jest w objawowym miejscowym leczeniu ostrego bólu gardła z towarzyszącymi typowymi objawami stanu zapalnego, takimi jak ból, zaczerwienienie lub obrzęk w jamie ustnej i gardle. Do stosowania u dorosłych, młodzieży i dzieci w wieku powyżej 6 lat. **Podmiot odpowiedzialny:** M.C.M. Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania i tylko wtedy, gdy jest to konieczne. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

NEO.2025.08.01